



EMIL LUCJAN MIGASIŃSKI
DELEGAT POLSKIEGO TOW. KOLONJALNEGO

POLACY W PARANIE WSPÓŁCZESNEJ

1923.— WARSZAWA.— KSIĘGARNIA „KRONIKI RODZINNEJ”.

<http://rcin.org.pl>

H 5811

PAŃSTWOWE
MUZEUM ZOOLOGICZNE

BIBLIOTEKA

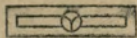
Inw. Nr. K 785.

STUDJA NA DOBIE. VIII.

EMIL LUCJAN MIGASIŃSKI

Delegat Polskiego Tow. Kolonjalnego.

POLACY
W PARANIE WSPÓŁCZESNEJ
(OBRAZY KRAJU I LUDZI).



Z KSIĘGOZBIORU
D^{ca} WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

WARSZAWA — 1923.
KSIĘGARNIA „KRONIKI RODZINNEJ”
Plac Zamkowy (Podwale 4).

war. 1923

Biblioteka Muzeum i Inst. Zoologii PAN

K. 785



1000000000086

DRUK KLAMKOWSKIEGO i RAJSKIEGO
WARSZAWA, CIASNA 5 (przy Ś-to Jerskiej)

<http://rcin.org.pl>

PRZEDMOWA.

O Paranie pisano dużo w Polsce. Opisy tego kraju i bytu mieszkających tam Polaków tyczą się przeszłości. O współczesnej Paranie mamy bardzo skąpe wiadomości. Z chwilą odzyskania przez Polskę bytu niepodległego ten odległy stan brazylijski, w którym żyje sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków, zaczął nas znów żywiej interesować, tembardziej, iż nawet w obecnym okresie dążenia do własnej, niepodległej Ojczyzny wielu jest rozproszonych po szerokim świecie rodaków, mamy również i wychodźtwa z kraju, wychodźtwa zarobkowe. Powracają Polacy ze wszystkich stron świata do Ojczyzny, ale są i tacy, którzy wyjeżdżają z niej, szukając bytu lepszego. Nasi robotnicy pracują we Francji, ale naogół ruch wychodźczy z Polski jest dzisiaj ograniczony.

Ameryka północna z powodu swego przesilenia ekonomicznego jest na razie zamknięta dla naszego wychodźstwa zarobkowego. Nasz ruch wychodźczy i osadniczy szuka ujścia. Polska nie ma własnych kolonij, do których udawaćby się mogli nasi wychodźcy w poszukiwaniu polepszenia bytu. Zjawiły się nawet projekty dania ujścia naszemu wychodźstwu na odległym Madagaskarze — o gorącym, niezdrowym klimacie. W tym stanie rzeczy przy rozważaniu naszych spraw wychodźczych i odległa, zamorska Parana obecnie żywiej musi nas interesować. Powinniśmy wiedzieć dokładnie, jakim jest ten kraj w dobie współczesnej, jak żyją tam Polacy, osiedleni w okresie ostatnich lat pięćdziesięciu, do jakiego rozwoju materialnego i cywilizacyjnego doszli, jakim jest ich stosunek do kraju ojczystego.

Temu tematowi poświęcona jest praca niniejsza, napisana na podstawie zwiedzenia wielu kolonij polskich w Paranie i zapoznania się z najwybitniejszymi tamtejszymi Polakami.

Autor.

Z KSIĘGOZBIORU
Dra WACŁAWA ROSZKOWSKIEGO

Do Parany.

— Pojedzie pan do Parany?

W mroźny ranek styczniowy 1922 r. takie słowa na powitanie wyrzekł do mnie w Warszawie dyrektor Polskiego Towarzystwa Kolonjalnego, towarzystwa, które stworzyła potrzeba wzmocnienia więzi narodowej, łączącej Polaków w kraju z Polakami na obczyźnie. Oczywiście, niepodległe państwo polskie ma obecnie swych urzędowych przedstawicieli poza krajem, ma poselstwa i konsulatory, ale obok nich może i powinno rozwijać się Polskie Towarzystwo Kolonjalne z zadaniem określonym wyżej.

Zapytanie sprawiło na mnie silne wrażenie. Oddawna interesowały mię polskie kolonje, rozsiane na ogromnym obszarze, przeszło 200.000 kilometrów kw. w Paranie. Uniósł mnie więc temperament dziennikarza i bez wahania odrzekłem:

— Pojadę.

— Prosimy pana o zbadanie warunków bytu Polaków, zamieszkałych w Paranie, oraz samego ruchu emigracyjnego.

— Zgoda, odparłem. Przenoszę więc na pewien czas swój warsztat pracy z Warszawy do Parany. Celem moim zbadanie obecnych stosunków wśród Polonji tamtejszej. Zbadam je i zdam sprawę publicznie. Poznanie tamtejszego wychodźstwa polskiego i nawiązanie stosunków między niem i Polskim Towarzystwem Kolonjalnem uważam za pracę nie tylko wielce zajmującą dla siebie ale i użyteczną dla ogółu.

— I aktualną — dodał dyrektor.

— Istotnie — odparłem.

Z podręcznej biblioteczki wziąłem książkę Antoniego Hempla p. t. „Polacy w Brazylii“, wydaną we Lwowie w 1893 r. i odczytałem głośno to, co ten publicysta polski pisał przed laty blisko trzydziestu z powodu naszych rodaków w Brazylii: „Brak spójni w kraju, do którego mogłyby się schodzić interesy i wiadomości o rodakach naszych poza krajem, z drugiej strony brak informacji dla zmuszonych emigrować, co już dziesiątkami tysięcy ofiar opłaciliśmy, brak zresztą zrozumienia, szerszego poglądu na sprawę emigracji. Trzeba więc zbudzić się z obojętności do spraw emigracyjnych, dążyć do tego, by za-

den emigrant *niepotrzebnie nie wychodził z kraju*, by, jeżeli już wychodzi, wiedział, gdzie i poco idzie, by nie był straconym dla życia polskiego, dla myśli polskiej, żeby o tysiące mil czuł łączność językową i plemienną ze swoją macierzą, metropolją. Słowem, dążyć do tego, by budzić życie narodowe wśród emigrantów i układać stosunek z krajem normalny, z korzyścią dla obu stron“.

— Te złote słowa mają taką samą wartość dzisiaj, jak i dawniej w okresach gorączek emigracyjnych — zawołałem.

W Trieście.

Wyjechałem z Polski, spowitej jeszcze w okowy zimowe. Tutaj w Trieście, w lutym, powitało mnie słońce. Pociąg mknął wzdłuż winnic. Zdała ukazywała się wspaniała zatoka triesteńska. Dawniej przez to miasto płynęła potężna fala emigracji polskiej. Tysiące, dziesiątki tysięcy wieśniaków polskich z Galicji płynęły do Brazylii, zaludniały Paragę. Dzisiaj Triest jest portem, z którego wyrusza corocznie sporo emigrantów do Palestyny. W roku zeszłym odpłynęło stąd około 7.000. Do Argentyny emi-



gracja jest mniejsza. Tyczy się to wychodźtwa z Polski, gdyż ruch wychodźczy z Włoch jest większy. Wydane niedawno doskonałe prawo emigracyjne włoskie otacza emigrantów, odpływających z Triestu i innych portów włoskich baczną opieką rządową. Rząd włoski dba o to, aby emigranci od chwili swego wyjazdu z ziemi włoskiej aż do końca swego pobytu na obczyźnie mieli opiekę państwa włoskiego, stara się ułatwić im walkę o byt pod obcym niebem. Dzisiaj i emigrant Polak chroniony jest od wyzysku przez władze włoskie. Z tego względu Triest jest portem korzystnym dla wychodźtwa naszego, nie można z nim porównać portów niemieckich, gdzie Polak zdany jest na łaskę i niełaskę okrętowych towarzystw niemieckich, gdzie władze niemieckie nie dbają o niego.

Z prawem tem zaznajomił mnie nasz wicekonsul, p. Zbigniew August Miszke, wykazując jego dobre strony. Dzięki uprzejmości p. Miszkego, zostałem przedstawiony naczelnemu komisarzowi emigracyjnemu, p. Marzianiemu, który dostarczył mi egzemplarz prawa emigracyjnego i inne włoskie wydawnictwa o emigracji, wpytując, co u nas się czyni w zakresie opieki nad emigrantami. Wkrótce potem poznałem komisarza królewskiego, p. Einpohla, mającego towarzyszyć

okrętowi, którym wybierałem się do Brazylii. Każdemu okrętowi włoskiemu, wiozącemu emigrantów, towarzyszy komisarz królewski, opiekując się emigrantami.

W najruchliwszym punkcie Triestu, na Piazza della Borsa pod nr. 4 obrał swą siedzibę wicekonsul polski, oddając wielkie usługi Polakom, wyruszającym za morze z portu triesteńskiego.

Zwiedziłem w Trieście hotele dla emigrantów. Jeden z nich jest własnością wielkiego towarzystwa okrętowego „Cosulich”. Jest doskonale urządzone, mieści się na krańcu Triestu, przy ul. Chabriola, tuż przy wiosce Servola. W hotelu tym jest nadzwyczajna dbałość o zdrowotność, gdyż emigrant powinien wyjechać z Triestu zdrowy, zasobny w siły żywotne, aby tam zdala od Europy rozpocząć skuteczną walkę o byt. Pod tym względem Triest dzięki hotelom emigracyjnym należy do portów najszczęśliwszych, góruje nawet na Antwerpję i innymi portami europejskimi.

Emigrant z Warszawy jedzie do Triestu kilka dni, nie jednym ciągiem, lecz przesiadając się. W Krakowie przebywa noc i odjeżdża przez Piotrowice (granica czeska) do Wiednia, dokąd przybywa po południu; wieczorem odjeżdża do granicy włoskiej w Tarvis (Taivisio), stąd do

Triestu przez Udine. Emigrant podlega rewizji paszportów i bagaży przez Czecho-Słowaków, Austriaków i Włochów i przyjeżdża przemęczony, niewyspany, zakurzony. Przybywszy do Triestu znajduje nareszcie pożądaną czystość, pożądaną wypoczynek po trudach podróży na via Chabriola, we wspomnianym powyżej hotelu, o zielonych, odsłoniętych żaluzjach, otoczonym ogrodem. Wkrótce wykąpany, oczyszczony z pyłu podróznego, staje w progach sali jadalnej, i chociaż jako przybyszowi z Wschodniej Europy kuchnia włoska (makaron, sałata, zupa z jarzyn i t. d.) wydaje się nowością, je z apetytem, bo zgodnie z przysłowiem: *l'appétit vient en mangeant*. Więc choć narazie podniebieniowi polskiemu to i owo mniej smakuje, rychło się godzi z nowymi potrawami i przyprawami.

Warto opisać ten hotel szczegółowo. Rzeczy emigranta podlegają dezynfekcji natychmiast: bielezna w parze stustopniowej, ubranie w gazie, zdaje się formalinowym — dopiero po zdezynfekowaniu rzeczy dostarczane są do osobnego składu na bagaż.

Sal jadalnych jest w hotelu kilka, mogą pomieścić jednocześnie kilkuset emigrantów. Sam hotel przygotowany jest na 3.000 bez mała emigrantów. Przy takiej liczbie emigrantów jedna

grupa wstaje od stołu, gdy druga siada doń. Sal sypialnych, doskonale przewietrzonych, o 8—10 oknach, jest w hotelu 35.

Zwiedzałem cały ten hotel, widziałem wszystko, i doprawdy, jest nadzwyczaj czysty, higieniczny, wygodny, odpowiedni dla pobytu paru tysięcy emigrantów, utrzymania ich w zdrowiu i wesołym nastroju ducha. Widziałem wspaniałe urządzonej kuchnię, bez ognia, dymu i swędu: potrawy gotuje się na parze wodnej (hotel ma specjalne maszyny i na parze się tutaj gotuje, parą ogrzewa mieszkania, parą dokonywa dezynfekcji). Metalowe, ogromne naczynia lśnią jak lustra, personel niewielki, ale dostateczny; porządek wzorowy.

Jeżeli emigrant zasłabnie, jest natychmiast izolowany do osobnej sali przy ambulatorjum; o ile po dniu czy dwóch dniach izolacji choroba się określi jako poważna, natychmiast bywa odwożony do szpitala w Trieście. W razach lekkiej niedyspozycji przebywa parę dni w salce przy ambulatorjum w hotelu i wychodzi zdrowym. Ten system natychmiastowej izolacji przy najłżejszem zasłabnięciu daje doskonale rezultaty: w hotelu panuje zdrowotność.

Wspomnę jeszcze o jednym urządzeniu: oto emigracja do Palestyny obejmuje oczywiście rów-

nież emigrantów, dla których kuchnia rytualna jest niezbędna, jest więc i ona, odpowiednio urządzona.

Wogóle w urządzeniu hotelu przewidziana jest obsługa emigrantów różnej narodowości. Wchodzimy więc i do pięknej kaplicy, w której widzimy skrzydlatego anioła: to archanioł Gabriel, opiekun wszystkich emigrantów, udających się do krajów dalekich. Przez okno kaplicy zagląda złote słońce, chociaż dopiero luty, opromienia łagodną, szlachetną twarz archanioła, która zdaje się dawać zapewnienie pomyślnej podróży tym wszystkim, co tutaj zachodzą.

Dyrektorka hotelu, pani Pia Dabinowicz, patrząc na ozłoconą słońcem postać archanioła, powiada do mnie z westchnieniem:

— Ach, podczas wojny było tutaj pełno, modlono się, błagano Boga o zakończenie wojny, a dzisiaj... dzisiaj... już mniej pamiętają o Bogu.

Myślę więc sobie: nie tylko w Polsce, kiedy trwoga to do Boga.

Prócz tego hotelu jest jeszcze w Trieście hotel drugi, urządzony przez miasto, na kilkuset emigrantów, bardzo tani, bardzo skromny, dający emigrantowi nocleg i pożywienie.

Na pokładzie okrętu.

Parowiec oceanowy *Francesca* zapełniał się powoli gromadą emigrantów z Polski, jadących do Brazylii i Argentyny. Przypatrywałem się rozgorączkowanym twarzom emigrantów, o rasowych, semickich rysach. Słońce grzało, jak u nas w lipcu — i tutaj w porcie Triestu dzień 24 lutego był tak piękny, jak najpiękniejszy nasz dzień letni. Na wybrzeżu nikt nie żegnał emigrantów, mimo to mieli błyszczące radością oczy. Kosmopolici, bez ojczyzny, czuli zadowolenie, udając się do południowej Ameryki dla robienia lepszych geszeftów.

Nareszcie okręt zakołysał się na fali morskiej. Był cudny zachód słońca. Zatoka lśniła się purpurą i złotem. Na wybrzeżu z oddalającego się samochodu żegnały mnie sympatyczne wejrzenia wicekonsula polskiego p. Miszkego, jego małżonki i panny Bobińskiej, dyrektorki biura wicekonsulatu.

Na morzu drżały karminowe blaski. Jakiś Niemiec zawołał: Adieu, Europa!

Wkrótce byliśmy na otwartym morzu.

Francesca wiozła 160 emigrantów z Polski, prawie samych Żydów, jadących do Brazylii i Ar-

gentyny. Miałem z urzędu przyjrzeć się warunkom ich przejazdu.

Nazajutrz i parę dni następnych aż do przybycia do portu Patras w Grecji Adrjatyk był zupełnie spokojny, chorych na chorobę morską względnie niewielu, to też na pokładzie okrętu było wesoło. Wieczorami tylko, gdy wiał wiatr chłodny, emigranci chronili się pod pokładem.

Pasażerów w kajutach względnie niewielu. Kilku Niemców, wiertników, jadących do Argentyny do pracy w kopalniach nafty. Po wojnie światowej Argentyna rozszerza swe kopalnie olejów ziemnych i nafty, nie chcąc być zależną od Europy, która podczas wojny nie mogła jej dostarczyć węgla i innych niezbędnych materiałów palnych. To też do puszczenia w ruch maszyn elektrycznych, kolei, fabryk musiano używać wiele tysięcy ton kukurydzy, używano też drzewa, którego Argentyna nie ma w nadmiarze. Wiertnicy Niemcy udawali się w głąb Patagonji do Comodoro Rivadavia, zakontraktowani przez rząd argentyński na lat trzy.

Podczas ciepłej nocy letniej, o łagodnym powiewie na morzu, płynęliśmy do Patras w Grecji. Nad ranem powiał wiatr chłodny. Wczesnym rankiem zawiñęliśmy do wybrzeża Grecji. Portowe miasto Patras tuliło swe niewielkie do-

my u stóp wyniosłych wzgórz. Wstęgi tam z latarniami morskimi wybiegały daleko w morze, osłaniając kilka okrętów. Na jednej z tam przy stolikach w kawiarni siedziało kilku greków, przypatrując się naszemu okrętowi. Niebawem do naszego parowca oceanowego podpłynęły łodzie przekupniów i wszczął się handel owocami, orzechami, papierosami za pomocą koszyków przesuwanym z łodzi na pokład na sznurku.

Zabrawszy kilku podróżnych, *Francesca* odpłynęła do Neapolu. Podczas dwudniowej podróży nie brak było wrażeń. Płynęliśmy zatoką Messyńską, mając przed oczyma gaje oliwkowe na wzgórzach, miasta, które zdala wydawały się niewielkimi osadami. Nareszcie ukazała się nam Etna, wyniosła, groźna, z kraterem w chmurach. Później mniejszy od niej Stromboli.

1-go marca mglistym rankiem ujrzeliśmy Wezuwusz i port Neapolu. Wkrótce mgła opadła. Słoneczne, gwarne, rojne wybrzeże nęciło podróżnych do zejścia z pokładu. Okręt zatrzymuje się na cały dzień. Podróżni z *Francesca* rozbiegają się po mieście. Gorąco, upał prawie... Co krok eleganckie panie i eleganccy panowie przy kramikach kwiaciarok. W oddali na górze kołysały się lekko wierzchołki palm wyniosłych. Wmieszałem się w tłum, zatrzymując się co

chwila, zainteresowany dziwną uprzężą mułów, dzwonekami stad kóz, pędzonych przez pasterzy środkiem ulic — każda gospodyni ma swą wybraną kozę, której mleko jest dla niej przeznaczone. Minawszy dzielnicę portową, uśmiechając się na widok festonów zawieszonych przed domami i na ulicach wypranej bielizny, wszedłem na bardzo ruchliwy plac Garibaldiego, zdobny wspinałym pomnikiem tego bohatera narodowego. Neapol jest prześlicznym miastem. Rozkoszną była wólcze ga po ulicach, kawiarniach. Czas mijał niepostrzeżenie. Trzeba było wracać na okręt.

W Neapolu *Francesca* zabrała operetkę włoską, udającą się na występy do Brazylii. Przybyło też podróżnych trzeciej klasy (pod pokładem), sami Włosi. Emigranci z Polski, którzy dotychczas byli umieszczeni w środku okrętu, gdzie kołysanie okrętu nie dawało im się bardzo odczuwać, zostali obecnie przeniesieni na sam przód, gdzie kołysanie jest silniejsze. Oczywiście, Żydzi są niezadowoleni, mają dużo chorych na morską chorobę, wysyłają delegację do kapitana o pozostawienie ich na dawnym miejscu. Kuchnia włoska, gdzie makaron gra główną rolę, również im nie smakuje.

Wieczorem płynęliśmy w kierunku wybrzeża afrykańskiego, do Oranu, gdzie okręt miał

zaopatrzyć się w węgiel i wodę słodką. Na okręcie była operetka włoska, więc sądziłem, że po opuszczeniu Neapolu usłyszę piękną barkarolę na pożegnanie cudnego miasta. Tymczasem fale morza Śródziemnego rozkołysały się i piękne śpiewaczki musiały... ukryć się w kajutach.

Gorzej jeszcze było w okrętowych suterenach pod pokładem, gdzie na siennikach, wypchanych słomą, chorych było co niemiara. Władza okrętowa nie uwzględniła żądania delegacji żydowskiej o przeniesienie Żydów z przodu na środek okrętu, wypełniony włoskimi emigrantami, zabranymi w Neapolu. Nie chciano mieszać dwu narodowości, i Żydów pozostawiono na przedzie okrętu.

Na naszym okręcie byli emigranci z 20 narodowości. W tej różnojęzycznej masie dochodziło do sporów i bójek. Byłem raz świadkiem bójki Włochów z Arabami. Spór powstał o stoły, których brakowało, więc jedni wydzielali je drugim. Włosi wydobyli noże, Arabowie nie pozostali w tyle. Służba okrętowa wyrwała noże za pańnikom i rzuciła je do morza.

Szukam wśród pasażerów trzeciej klasy Polaków. Znajduję ich zaledwie kilku. Powraca do Brazylii małżeństwo, które przed rokiem przy-

było do Polski z kilku czy więcej tysiącami dolarów, po dwudziestokilkoletnim pobycie w Rio de Janeiro, San Paulo i innych miastach brazylijskich, gdzie utrzymywało restaurację. W kraju kupili dom w Bydgoszczy za 2 miliony marek, lecz — niezadowoleni z prawa o ochronie lokatorów — sprzedali ten dom za 3 miliony marek. Następnie przenieśli się do Gdańska, gdzie założyli sklep. Po sprzedaniu towarów z dużym zyskiem spostrzegli, że ceny towarów skoczyły w górę, trzeba było za nie płacić po cenie wyższej, niż uprzednio sprzedawali. To ich zniechęciło do handlu. Dążą więc obecnie do Brazylii z powrotem, z niewielką, lecz z pewną jednak pretensją do kraju polskiego, że nie powiększyli w nim swego brazylijskiego kapitału, tak, jak się spodziewali.

Jedzie też do Argentyny młody technik dentystyczny, który opowiada, że w Polsce w ciągu roku zarobił przeszło milion marek na czysto, po opędzeniu wydatków, ze swego zakładu dentystycznego; obecnie pozostawił swój zakład, sam zaś udaje się do Ameryki południowej, aby... zrywać złote jabłka z drzew. Jedzie jako pasażer trzeciej klasy... dla oszczędności, wśród gromady Żydów, z których ani jeden nie powie dobrego słowa o Polsce, co młodzieńca ogromnie

i słusznie rozdrażnia, grozi więc, że wszystkich Żydów powystrzela. Oczywiście nikt słów tych poważnie nie bierze, nikt, prócz Żydów, którzy wysyłają znów delegację do kapitana okrętu. Awantura kończy się czasowem skonfiskowaniem młodzieńcowi rewolweru aż do czasu jego wylądowania na ziemi amerykańskiej.

Takie i tym podobne incydenty urozmaicają życie na okręcie, które wogóle jest dość nudne. Operetka włoska, jadąca do Brazylii, nie jest śpiewająca, lecz w dalszym ciągu chorująca.

W niezbyt przyjemnym nastroju z powodu silnych fal morskich przybyliśmy do Oranu. Tutaj, pod wpływem pięknej, upalnej pogody i widoku pięknego miasta, na okręcie zapanowała radość. Podróżni zapomnieli o przeżytych przykrościach.

Oran, miasto kilkudziesięcioletnie w Algierze, przepelnione Arabami, ma uliczki wijące się wzwyż na wzgórze, na których miasto rozkłada się amfiteatralnie. Gorące promienie afrykańskiego słońca prażą niemiłosiernie. Do miasta prowadzi tama, zbudowana z olbrzymich głazów. Burzliwe fale potrafiły jednak zrobić szczyrby i w tej potężnej budowie. Na szczycie wyniosłego wzgórza wznosi się fort.

Emigranci z Polski rozbiegli się po tem mieście, gdzie czwarta część ludności — Żydzi, wśród nich wielu bogatych. Ale ci Żydzi orańscy nie rozumieją wcale żargonu Żydów z Polski, to też jedynym sposobem porozumienia staje się język hebrajski, który trochę rozumieją niektórzy Żydzi z Polski. Byłem świadkiem a zarazem i uczestnikiem takiej sceny na okręcie. Do Żydów polskich przybył w odwiedziny ich współwyznawca z Oranu, młody monter fabryczny. Nie mógł się z nimi porozumieć, gdyż mówił po francusku i znał język hebrajski, oni zaś mówili słabo po polsku i po rosyjsku i poza żargonem mieli bardzo słabą znajomość hebrajszczyzny. Porozumiewanie odbywało się pisemnie przy pomocy hebrajszczyzny, nie rozumiano jednak wielu zapytań i odpowiedzi. Proszono mnie, abym był tłumaczem. Dopiero przy pomocy francuszczyzny i języka polskiego rozmowa potoczyła się żwawo.

— Widzi pan — powiada do mnie mieszkaniec Oranu — my jesteśmy cywilizowani obywatele francuscy z Oranu, dlatego trudno nam się porozumieć z Żydami polskimi.

Twarze spotykanych w Oranie Arabek, chociaż okryte płóciennymi zasłonami, uchylają często rąbek swej tajemnicy. Przechodzień europejski cofa się zdumiony, niemal przerażony... widzi

nie płeć piękną, lecz brzydotę. Wolę już spoglądać na stare Arabki, gardzące bezceremonjalnie zastonami, szkaradnie pomarszczone, bezzębne. Jest to brzydota szczerą, nie udającą... piękności zawołowanej. Mężczyźni są inni, wspaniale wyglądają w swych szatach powiewnych, białych i w ogromnych turbanach. W kawiarniach portowych te fantastyczne postacie w pozach nie dbałych, napoły leżąc, popijają kawę i palą fajki. W Oranie wszystkie ciężkie prace przy ładowaniu i wyładowaniu okrętów spełniają murzyni.

Malownicze są ulice Oranu, dużo pięknych gmachów wśród wspaniałej roślinności. Palmy na ulicach i placach. Kupcy są uprzedzająco grzeczni, pełni tej uprzejmości, która jest charakterystyczną cechą Francuzów, różniącą ich od innych narodów. W jednym sklepie Niemłoda Francuska zapytała mnie, jakiej jestem narodowości. Dowiedziawszy się, że jestem Polakiem, zaczęła z wielkim zainteresowaniem wypytywać mnie o Polskę, co słysząc właściciel sklepu rzekł: „Ah, les Polonais sont comme les Français“! Życzono mi szczęśliwej podróży. Ten drobny epizod świadczy, że ogół francuski interesuje się Polską i sprzyja nam.

Po powrocie na okręt, podczas śniadania, sąsiad mój zapytał mnie o wrażenia z Oranu.

Mimowoli, pod wpływem wesołego nastroju, napeliłem szklanke winem i trącając się z nim, zawołałem.

— Ah, Oran, vive la France!

Skrzywił się, jak gdyby zjadł zbyt mocną paprykę i nic nie odrzekł. Był to Niemiec. Na dalszych miejscach przy stole siedzieli Niemcy, jadący do Argentyny. Ujrzałem miny charakterystyczne, które my Polacy tak dobrze znamy z czasów okupacji niemieckiej. Dowiedziałem się później, że wahali się bardzo, czy zwiedzić Oran (byli w nim tylko niektórzy i bardzo krótko). O swych wrażeniach z Oranu ci Niemcy nikomu nie opowiadali, no, bo na ulicach Oranu trudno popisywać się niemieczyzną. Jeden z Niemców wyrzekł tylko sentymentalnie: „Francuzi to naród egoistów, lubią tylko swoich“. Podczas wizyty w Oranie widocznie nie doznał gościnnego przyjęcia.

Po opuszczeniu Oranu noc na morzu była bardzo burzliwa. *Francesca* tańczyła na falach jakąś sarabandę. Z wnętrza kajut rozbrzmiewały nieharmonijne, żalosne odgłosy, nie mające nic wspólnego z arjami operetki włoskiej. Nie można zasnąć. Wyszedłem na pokład. Świeże, chłodne powietrze morskie orzeźwia. Obawiałem

się, że morze rychło się nie uspokoi, że ulegnę losowi ogólnemu, któremu dotychczas we wszystkich swych podróżach morskich oparłem się zwycięsko. Smutny, zimny poranek na pokładzie okrętu, który sunął chyżo wzdłuż wybrzeża hiszpańskiego i dążył jak najprędzej do portu Almeria. Na wybrzeżu widać było jakieś małe miasteczko czy wioskę. Brzegi płaskie, żadnej zatoki. W oddali mały statek rybacki walczył z falami i wichrem, który tak silnie uderzał w jego jedyny żagiel, iż zdawało się, że oto za chwilę łódź wywróci się i morze ją pochłonie. Ale zręczny żeglarz unikał zguby i płynął wytrwale do portu.

Na wybrzeżu hiszpańskim w Almerji nie wolno było wyjść na brzeg z jakichś względów politycznych. Ktoś na okręcie rozpuścił pogłoskę, że... w Madrycie rewolucja. Mimo to, zdołałem przekonać urzędnika policyjnego, że nie jestem wrogiem monarchji hiszpańskiej i wyszedłem. Przed okrętem uwijało się dużo żebrzących cyganów, cyganek i cyganiątek. Cyganki szczyrzyły zęby i gestykulowały gwałtownie. Z pokładu rzucano im bułki, napełniano makaronem blaszane pudełka i spuszczano na sznurku, co wywoływało wśród żebrzących głośne objawy radości.

Nocą przepłynęliśmy cieśninę gibraltarską, nie widząc Gibraltaru, olbrzymiej skały, warowni morskiej. Jesteśmy na oceanie Atlantyckim. Mijamy wyspy Kanaryjskie, patrzymy na puste piaszczyste wybrzeża. Niedawno na jednej z nich mieszkał na wygnaniu człowiek, który rządził b. monarchją austro-węgierską, b. cesarz Karol. Nie ujrzelśmy nietylko Funchalu na Maderze, lecz nawet Las Palmas, choć początkowo nasza marszruta okrętowa nam to obiecywała. Madera to jedna z najzdrowszych miejscowości na ziemi, chorzy piersiowi ściągają tutaj ze wszystkich stron świata.

Pogoda piękna. Dnia 10 marca termometr wskazywał 15 — 17° C. Nie zawinęliśmy do wysp Zielonego Przylądka (św. Antoniego i św. Wincentego), znajdujących się na środku oceanu Atlantyckiego. Ostatnia jest angielską stację węglową.

Dowiadujemy się, że monotonję naszej podróży ma przerwać spotkanie się okrętu *Francesca* z innym okrętem *Sofia* tego samego towarzystwa okrętowego. *Sofia* powracała z Ameryki południowej do Europy. Spotkanie nastąpiło w odległości 60 metrów, według przepisów morskich. Bliższe zetknięcie się dwu kolosów oceanowych groziłoby niebezpieczeństwem. Kiedy

Zobaczono przygotowania do spuszczenia łodzi okrętowej z *Francesca*, jeden bok okrętu tego zaroił się emigrantami, skutkiem czego statek nasz silnie się pochylił. Spuszczona łódź zakotyła się mocno na falach i omal nie uderzyła o bok okrętu, lecz pchnięta silnie wiosłami popłynęła szybko ku okrętowi *Sofia*, wioząc małego, dwunastoletniego chłopca, pochodzącego ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, gdzie obecnie mieszkają jego rodzice. Mały ten pasażer wkradł się na okręt bez biletu. *Sofia* zabrała go z sobą do Europy. Nasz okręt nie mógł go wysadzić bez dowodów w Ameryce Południowej z obawy zapłacenia za to wysokiej kary pieniężnej.

Dnia 15 marca zbliżamy się do skał, znanych pod nazwą wyspy św. Pawła, na której mieszkają tylko ptaki, pokrywając ją guanem i znosząc jaja. Cała wyspa jest biała z powodu porozrzucanych na niej skorup jaj.

Wpływamy w pas zwrotnikowy. Upał. Steward okrętowy mówi, że wkrótce nie będziemy mogli sypiać w kajutach z powodu upału. Płótna, rozciągnięte nad pokładem chronią nas od palących promieni słonecznych. Przepędzamy cały dzień na pokładzie. Spanie w kajucie nie należy do przyjemności. Wielu podróżnych śpi na po-

kładzie. Niektórzy emigranci, przepędzając całe dnie na pokładzie, zdążyli już się przemienić na czerwonoskórych. Młody Niemiec, który jedzie do Argentyny, sprawia wrażenie wodza Botokudów, indjan parańskich, plemienia nienawidzącego białych ludzi i walczącego z nimi dotychczas. Dnia 17 marca syrena okrętowa oznajmiła nam, że przepływamy równik. Z tego powodu kapitan okrętowy ma wydać bal. Prażą nas teraz prostopadłe promienie słoneczne. Prysznic ze słonej wody jest przepelniony przez emigrantów.

Ustały już wszelkie skargi emigrantów Żydów na niesmaczną dla nich kuchnię włoską. Podczas upału równikowego apetyt nie jest duży ani wybredny. Na morzu widać ryby latające. Nie widać rekinów. Gdyby płynęły za okrętem, doznałyby gościnnego przyjęcia od wielu emigrantów; podzieliliby się z nimi jedzeniem, zamiast rzucać je na fale.

Wieczorem odbywa się ów zapowiadany bal z powodu przepłynięcia równika. W improwizowanej sali balowej, na którą przeznaczono jadalnię pierwszej klasy, zgromadzili się zaproszeni przez kapitana podróżni kajutowi. Artyści operetki wykonali szereg produkcji śpiewnych i tanecznych. Gorąco było nieznośne. Śpiewacy przepraszali publiczność, iż zmuszeni byli rozpi-

nać kołnierzyki, aby zaczerpnąć oddechu. W tej tropikalnej atmosferze czułem się, jak rak w gotowanej wodzie, mimo iż chłodziłem się szklankami kruszonu. Dość wczesnie goście rozeszli się po kajutach, aby jaknajprędzej pozbyć się nieznośnych strojów wizytowych.

Niemcy nie poszli na bal równikowy. Wogóle ceniał oni nadewszystko wszystko, co niemieckie. Na okręcie unikałem wdawania się z nimi w spory polityczne. Jeden z nich tylko, t. zw. Niemiec międzynarodowy nie zdradzał szowinizmu narodowego, którym przeniknięci byli jego towarzysze. Słyszałem jego uszczypliwe, krytyczne uwagi o brutalności prusaków. Podczas wojny przebywał on na wybrzeżu morza Białego, z czego był zadowolony. Nie pragnął wrócić do ojczyzny, zadowolony był, że jedzie do Argentyny, gdzie praca obecnie opłaca się lepiej, niż w Niemczech. Niekiedy wieczorami, kiedy tafla wód marszczyła się lekko, nienczonem, lecz dość przyjemnym głosem śpiewał swój *Seemannslied*, piosnkę o burzliwej nocy na morzu: Okręt walczył z falami, lecz uległ burzy i uszkodzony poszedł na dno oceanu. Nikt nie uszedł śmierci. Piosnka kończy się wezwaniem do marynarza, aby bacznie wsłuchiwał się, co mówią mu wicher i morze. Otóż

życie ze swą walką o byt podobne jest do okrętu, płynącego po bezdniach morskich — mówił.

Upał stale nam towarzyszy, staje się coraz większy, negliże na okręcie coraz powiewniejsze. Dnia 18 marca ukazuje się wyspa Fernando do Noronha. Należy ona do Brazylii, która deportuje tutaj swych przestępców. Okręt płynie dość daleko od jej brzegów skalistych, mało dostępnych. Na ławicach skał, dzielących jedną część wyspy od drugiej, fale spienione rozbijają się z hukiem bezsilne. Ucieczka z tej wyspy jest trudna. Z wysokich skał strażnicy zawsze wypatrzą zbiega. A w noc burzliwą łódź najniezawodniej rozbiłaby się na skałach. Smutny widok przedstawia ta wyspa.

Płyniemy teraz wzdłuż brzegów brazylijskich, choć ich nie widzimy. Dnia 19 marca mijamy Pernambuco, następnie Bahia, duże miasto portowe, stolicę stanu tejże nazwy, znanego z plantacji doskonałego tytoniu. Wczesnym rankiem 23 marca dowiadujemy się, że przepłynęliśmy już obok Cabo Frio (przylądek zimny), oddalony od Rio de Janeiro o 60 mil morskich (111 kilometrów, rachując mile morską 1850 metrów).

Po południu wpływamy w archipelag wysp i skał w pobliżu zatoki Rio de Janeiro. Widać zdala sławną Paô do Assucar (głowa cukru), skałę

strzegącą wejścia do zatoki, a istotnie podobną do głowy cukru. Z przeciwnej strony strzeżą wejścia mury fortecy Santa Cruz. Armaty błyszczą w słońcu. Przed nami olbrzymia zatoka, w pośrodku okręt wojenny, na którym odbywa się właśnie musztra żołnierska. Powietrze upalne, duszne, termometr wskazuje około 40° C. Na półkolistym wybrzeżu leży leniwie miasto Rio de Janeiro; nad niem wznoszą się szczyty łańcucha górskiego.

Rio de Janeiro.

Na pokładzie *Francesca* gorączkowy ruch. Oczekiwano rewizji sanitarnej, celnej i policyjnej. Kilkudziesięciu podróżnych ma wysiąść na ląd. Dokoła okrętu tańczą na falach łodzie motorowe z mieszkańcami Rio, oczekującymi krewnych z Europy. Nareszcie komisja sanitarna przybyła i sprawdza zdrowotność na okręcie. Niebawem widać celników i policjantów brazylijskich. Zamęt, ścisk. Każdy chciałby opuścić okręt jak najprędzej. Jakaś kobieta w średnim wieku, która wdrapała się na pokład okrętu po stromej drabinie, ujrawszy młodego mężczyznę z kilkuletnią dziewczynką, rozplakała się na głos. Była to jego ciocia, której nigdy w życiu nie widział. Bezdzienna i zamożna

ciocia sprowadziła na swój koszt z Polski siostrzeńca z rodziną do Brazylii.

Moje bagaże porywa murzyn i wrzuca do łodzi motorowej. Mój towarzysz podróży, technik dentystyczny, Polak, widząc, iż odjeżdżam, wznosi ręce do góry w niemej rozpacz. Policja brazylijska nie pozwala mu wylądować w Rio de Janeiro, gdyż ma on bilet okrętowy do Buenos Aires. Dowiedziałem się później, że pozwolono mu wysiąść, gdyż ofiarował policjantowi kopertę z pieniędzmi. Republikański policjant oczywiście pomyślał, że w kopercie jest spora suma, tymczasem był w niej tylko jeden dolar. Śmieliśmy się później z tej przygody. Po dwu minutach łódź motorowa dopływa do wybrzeża. Wyciągam 10 lirów włoskich i daję przewoźnikowi. Nie chce ich przyjąć, żąda 30 milrejsów (zwykła taksa jest 5 milrejsów). Następuje sprzeczka, przewoźnik grozi wrzuceniem moich waliz do morza, ostatecznie, dzięki interwencji przechodzącego komisarza królewskiego włoskiego z okrętu *Francesca*, przyjmuje 10 milrejsów.

Deszcz pada, mimo to jest bardzo gorąco. Zatrzymuję się w dzielnicy portowej, w pobliskim hotelu na rua Acre. Wieczór zapada. Dokoła jaśnieje mnóstwo lamp elektrycznych. Gwarne hotele, oświetlone a giorno, sale restauracyjne

otwarte naościę, tramwaje przelatujące z hałasem, tyle światła i ruchu, iż zdaje mi się, iż to jakiś wieczór świąteczny, że wszyscy są weseli i używają życia bez trosk. W moim pokoju hotelowym, o dwu balkonach i żaluzjach bez okien, brzęczą moskity, jest ich względnie niewiele, gdyż lekki powiew od morza chłodzi powietrze. Moskity nie lubią przewiewu, więc, chociaż spałem nie osłonięty siatką ochronną, obudziłem się nazajutrz ukąszony zaledwie przez parę tuzinów moskitów.

Dla przybysza z Europy, mieszkańca klimatu umiarkowanego, przywykłego do czterech pór roku, miljonowa stolica Brazylii jest ze swą aurą źródłem coraz nowych wrażeń. Cudne miasto rozłożyło się nad brzegiem cudnej zatoki morskiej, tonie w powodzi złotego słońca. Jest marzec, a więc nie skończyła się jeszcze pora wielkich upałów, które panują w grudniu, styczniu, lutym i marcu. Gdyby nie upał, zwiedzanie Rio de Janeiro byłoby jednym z najpiękniejszych snów nocy letniej oczywiście europejskiej, bo w cudnem mieście południowo amerykańskiem trudno marzyć podczas nocy letniej, gdy pot nie tylko zrasza czoło, lecz oblewa formalnie całe ciało; europejczyk kładzie się na jednym boku, przewraca na drugi, na wznak, w każdej pozycji jest mu gorąco w brazylijskiem łóżku, osłoniętem siatką,

nad którą brzęczą roje nieznośnych moskitów. W dodatku przybysz z Europy został uprzedzony jeszcze tam, w Europie, że żółta febra chwyta przeważnie cudzoziemców, nowoprzybyłych do Rio i nie przyzwyczajonych do gorącego klimatu brazylijskiego. Wprawdzie dzisiaj żółta febra nie jest już tutaj taka groźna, dzięki uporządkowaniu miasta, zburzeniu dzielnic niezdrowych, dzięki higienie, ale lepiej być ostrożnym w Rio, gdyż żółta febra zabija przeważnie niedbałych i nieostrożnych. Trzeba unikać długich przechadzek pod palącymi promieniami słońca, nie pić za dużo lodowatych napojów — na pragnienie gorąca kawa jest lepsza; słowem, nie trzeba jadać i pić zbyt obficie, gdyż niedyspozycja gastryczna jest punktem wyjścia żółtej febrы.

Żółta febra objawia się gwałtownym bólem głowy, łamaniem w krzyżu i stawach, ogromnym osłabieniem nóg. Wówczas ratunkiem jest położenie się niezwłocznie do łóżka, połknięcie kilkudziesięciu gramów oleum ricini i jaknajobfitsze poty. Choroba kończy się wtedy na strachu. O ile to nie pomoże, lekarz jest niezbędny.

Podczas mojej włości po Rio nie myślałem wcale, że *a febra amarella é uma doença brava* (żółta febra jest złą chorobą). Jakże o tem myśleć, gdy się jest np. na Corcovado, górze

zadrzewionej, wznoszącej się na 700 metrów nad poziom morza, lub w innem miejscu w Rio, gdzie tyle pięknych widoków. Góra Corcovado wydaje się prawie prostopadła. Zuchwały wagon zębatej kolei żelaznej wspina się po zboczach aż do szczytu. Droga do stacji kolejowej jest prześliczna, wzdłuż niej widać kwieciste gazony, gąszcz zieleni, zachwycające wille. Po wejściu do wagonu kolejowego na stacji aż do końca jazdy pod górę ogarnia widza wciąż uczucie zachwytu. Otacza mnie jakiś las tropikalny, mnóstwo paproci i ljan. Olbrzymie miasto jest już gdzieś daleko. Nagle kolej wynurza się z tropikalnych gąszczy i ukazują się zatoka i miasto. I znów zapadam w gąszcz leśny. Na szczycie Corcovado, zda się, prawie prostopadłym, stoję zdumiony. U stóp góry pienia się fale, a dalej, jak okiem sięgnąć, olbrzymie miasto.

Na ulicach, rozchodzących się od wspaniałego hotelu Avenida, na których mieszczą się teatry i kinematografy, ruch jest tak wielki, szczególnie wieczorem, gdy zabłysną wszystkie lampy i reklamy świetlne, iż chwilami zdaje się, że jesteśmy w Paryżu. Powódź świateł wprost olśniewa. Złudzenie szybko znika, skoro spojrzysz się na kawiarnie, na murzynów i mulatów których tu mnóstwo.

Kobiet spotyka się niewiele na ulicach. Brazyljanki przepędzają prawie cały dzień w domu, lubią w strojach bardzo powiewnych przyglądać się przez okno ruchowi ulicznemu. Piękne panie wychodzą na przechadzkę późno po południu, na krótko, i wracają do swych pięknych willi. Mężczyźni zaś nie lubią przechadzek w miejscach publicznych. W ogrodzie Botanicznym w Rio widziałem niewiele osób. Jest tutaj wspała aleja palmowa i takie bogactwo drzew i krzewów, iż europejczyk jest wprost oszołomiony tą cudną florą.

Prześliczne aleje i trawniki są nad zatoką. Ileż tu pięknych pałaców i willi! Każda rodzina zamożniejsza mieszka we własnej siedzibie, otoczonej przepiękną roślinnością. Liczba samochodów jest tutaj ogromna. Linij tramwajowych jest też dużo. Tramwaje t. zw. bond'y, krążą we wszystkich kierunkach tego ogromnie rozległego miasta, nie posiadającego drapaczy niebios, lecz piękne wille i niewysokie domy. Za 200 — 300 rejsów tramwaj wiezie długo w odległą dzielnicę, robiąc kursa nawet po 30 kilometrów. Tramwaje są otwarte, zatrzymują się krótko, więc przechodnie wskakują szybko, płacą, nie otrzymując biletu, bo niema tutaj tego zwyczaju, lecz jest kontrola mechaniczna (kon-

duktor pociąga sznurek przyrządu kontrolującego).

Dzielnica Botafogo, rozłożona nad zatoką, o ulicach, zdobnych wielkimi palmami, z kwietnikami, pełnymi egzotycznych roślin, o pięknych gmachach i hotelach wydaje się jakby tworzyła jeden prześliczny ogród.

Zajmująca jest wędrówka po Rio. Wsiadam w bond i jadę w odległe dzielnice: do Botafogo, do świętej Teresy (jedna z najzdrowszych, rozłożona na wysokości 300 metrów nad poziom morza) na górę Tijuca (o kilka kilometrów od Rio), obserwując hałaśliwe życie uliczne, bo tutaj prawie całe życie spędza się na powietrzu, co ułatwia temperatura, gdyż przez cały rok jest ciepło.

Zapominam o śniadaniu i obiedzie w hotelu. Niema czego żałować. Hotelowa kuchnia brazylijska nie jest zbyt wykwinna. Oczywiście wśród wielu potraw, przeważnie mięsnych, wśród nich i rozgotowane *carne de vacca* (wołowe mięso nazywa się tutaj krowiem), *carne vacca com milho* (mięso wołowe z sosem), była i sławna, narodowa *feiões* (czarna fosola), którą brazylijczyk potrafi jadać codziennie w mieście, w lasach zaś trzy razy dziennie. Nie brakowało też *aroz'u* (ryżu), brak było tylko mąki manjokowej, którą zastępował chleb.

Brazylja sprowadza mąkę ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej i z Argentyny, w miastach ma chleb, poza miastami najczęściej mąkę manjokową. Manjok czy mandjok rośnie w wielu okolicach Brazylji; roślina bardzo trwała, lubi ziemię wilgotną a korzeń daje mąkę białą, jedną z podstaw pożywienia większości brazyłjan. Sadzi się manjok na jesieni, zbiór otrzymuje się po roku.

Zapominając więc o hotelu, gdzie opłata za pokój łącznie z pensjonatem wynosiła dziennie 10 milrejsów (przeszło 5000 marek), odbywałem wędrowki po Rio, zjadając po drodze banany, pomarańcze, zakrapiając je kawą czarną. Za to zmysł wzroku rozkoszował się nielada widokami. Nad zatoką w Botafogo odbijały się w wodzie tysiące światel. Setki automobili przesuwwały się cicho. Palmy stały milczące zadumane. Lekki powiew wiatru chłodził rozpalone czoło. Dokoła było tyle bogactwa, tyle rozkosznych siedzib ludzkich, w otwartych oknach przesuwwały się postacie pięknych kobiet, zewsząd tryskało zadowolenie z życia bez troski, a jednak samotnemu wędrowcowi, wpatrzonemu w tę pełnię życia materialnego, stawało przed oczyma odległe miasto polskie, gdzie życie nie jest tak łatwem, gdzie wre wytężona walka o byt. I porzuciłby wszystkie piękności Rio bez żalu.

Na Avenida Rio Branco, jednej z najwspanialszych ulic w Rio de Janeiro, w dzień panuje szalony ruch. Mieszczą się tutaj najwspanialsze banki i kantory towarzystw okrętowych, piękne kawiarnie, hotele. Przechodząc obok sali koncertowej, o drzwiach rozwartych, tak, że przechodzeń mógł swobodnie słuchać, nie odczuwałem ochoty wejścia. Atmosfera była taka, iż zniechęcała do wejścia do przepełnionej sali, do ujżenia tłumu eleganckich Brazylijczyków i pięknych Brazyljanek. Mężczyźni i kobiety lubią się tu stroić; ich wykwintne ubrania dochodzą do przesady: usiłują prześcignąć paryżan, umiejących ubierać się skromniej, a bardziej elegancko. Spotykałem tych eleganckich Brazylijczyków na okrętach, widziałem ich stósy ubrań w kufrach, dbałość o strój tak wielką, jak u kobiet, a jednak obok Francuzów szyk ich gaś i sprawiali wrażenie lalek, przystrojonych w rozmaite fatałaszk.

Jest w Rio ulica Ouvidor, długa, wązka, gdzie nie widać nigdy automobilu lub tramwaju. Spotkać tam można najbardziej eleganckie kobiety i eleganckich panów. Dziwna rzecz, że bogate Rio obrało sobie właśnie taką ulicę za miejsce przechadzek, zazwyczaj jest ona przepełniona mężczyznami, dopiero między piątą i szóstą popołudniu spotyka się tutaj i kobiety. Ta modna uli-

ca ma piękne magazyny z towarami europejskimi, najczęściej francuskimi. Ulica Ouvidor nie posiada drzew, chodniki są tak wąskie, iż przechadzka odbywa się środkiem ulicy. W magazynach dostać można najwykwintniejszych towarów paryskich. Brazylijczyk o cenę niebardzo dba, nie widać tutaj takiego współzawodnictwa jak w Europie; na tej samej ulicy Ouvidor można kupić taniej i drożej towar równie dobry, importowany z Europy.

Przyjemna jest tutaj przechadzka późnym wieczorem lub w nocy, gdyż gorąco tutaj nie daje się tak odczuwać. Słyszcy się tylko zdalna łoskot przelatującego tramwaju (kursują przez część nocy); nerwy, zmęczone dzienną krzątaniną i hałasem, znajdują odpoczynek.

Kto chce ujrzeć, jak Brazylijczycy bawią się, niech jedzie w dzielnice odleglejsze. Ujrzy tłumne zabawy, rozigrane, śmiejące się murzynki, mulatki, bawiące się wspólnie z białą publicznością (Brazylijczycy nie żywią żadnych uprzedzeń do murzynów; słyszałem tylko, że bogaci Portugalczycy czystej krwi mają pewne uprzedzenie do ludzi kolorowych). Biało ubrane murzynki bawią się tak hałaśliwie, jak dzieci.

Zwiedzałem kościoły w Rio w dzień niedzielny. Nie były one tak pełne pobożnych,

jak w Europie. Na ulicy „1-go marca” znajduje się piękny kościół *Nossa Senhora do Carmo* (Najświętsza Panna z góry Karmelu) o pięknych rzeźbach, zbudowany, zdaje się, 1770 r. Brazylijczycy ubierają posągi świętych we wspaniałe stroje. Dziwaczny trochę zwyczaj.

W Brazylii jest rozdział Kościoła od państwa; kościoły należą do stowarzyszeń religijnych, które utrzymują duchowieństwo. Ciała zmarłych nie są wystawiane w kościołach, lecz przenoszone wprost na cmentarz, gdzie ksiądz ze stowarzyszenia, do którego zmarły należał, odmawia nad trumną krótkie modły, a w kilka dni później odprawia się msza św. za duszę zmarłego. Zupełnie inaczej, niż w Polsce. Wogóle w tym gorącym klimacie pogrzeb odbywa się jaknajprędzej. Karawany są złocone, zaprzężone w cztery muły, które pędzą galopem.

A jakże wygląda ubogie Rio? Dzielnica ta jest odległa od śródmieścia. Tworzą ją przytulone do skał, na zboczach wzgórz, domki przerożnego kształtu, w których gnieździ się ludność pracująca: robotnicy, rybacy i wszelkiego rodzaju wyrobnicy. Wąskie, dziwaczne, błotniste uliczki, nie zachęcają Europejczyka do dłuższego pobytu w tych zaułkach, zwłaszcza wobec skwarne go, dusznego klimatu.

Poselstwo polskie w Rio de Janeiro mieści się w pięknej, jednopiętrowej willi przy ul. Marquez de Olinda nr. 12. Odwiedziłem naszego *chargé d'affaires* p. Władysława Mazurkiewicza, który zachęcał mnie, abym poznał Paragę.

— Jedź pan do Kurytyby, tam klimat jest znośny. Tutaj w Rio Europejczyk z klimatu umiarkowanego z trudem przenosi upały. Cały rok gorąco nieznośne. Ja sam jestem już tak wyczerpany, iż przenoszę się do Bueonos Aires.

Spojrzałem na naszego przedstawiciela dyplomatycznego. Istotnie był blady i wymizerowany.

P. Mazurkiewicz i p. Rajchman, konsul polski opowiadali mi o propagandzie polskiej. W tym celu wychodzi w Rio de Janeiro miesięcznik: *Brazil Polonia*. Pismo to pragnie odegrać wybitną rolę w układaniu się stosunków pomiędzy republiką brazylijską a nową Polską. Celem pisma jest pośredniczenie pomiędzy dwoma społeczeństwami, zbliżenie ich ku sobie, ułatwienie wzajemnego poznania się, wykazanie w czym się dopełniają — jednym słowem wykonanie tej ogromnej pracy, jakiej urzędowe przedstawicielstwa same dokonać nie są w możności. Na czele pisma stanął dr. Leoncio Correia, który był posłem na sejm konstytucyjny parański, a następnie do kongresu federalnego w Rio de Ja-

neiro. W pierwszym numerze znalazłem artykuł informacyjny o Górnym Śląsku, artykuł o Krakowie, jako ośrodku sztuki polskiej, krótki rzut oka na historję literatury staropolskiej, sylwetkę J. Piłsudskiego i inne rzeczy, interesujące nietylko Brazyljan, lecz i polskich czytelników.

Rozmowa potoczyła się o wystawie narodowej Stanów Zjednoczonych Brazylii w Rio de Janeiro z udziałem wszystkich krajów dla upamiętnienia pierwszego stulecia niepodległości,

Brak w Rio de Janeiro polskich kupców i przemysłowców. Tymczasem Niemcy mają tutaj dużo swych rodaków. Bawiła w Rio polska misja przyrodnicza: pp. Chrostowski (ornitolog) i Jaczewski (entymolog) dla zbadania nieznanych jeszcze okolic Parany t. zw. sertao desconhecido — opowiadają mi pp. M. i R. — podejmowaliśmy ją, pisano o niej w prasie brazylijskiej. Tutejsi Niemcy skorzystali z tej okazji, aby przypiąć nam łątkę, pisząc, że Polska jest zbyt ubogą, aby sobie mogła pozwolić na misje naukowe.

W Rio de Janeiro jest drobna tylko grupka Polaków, złożona z rzemieślników, robotników i techników. Tow. polskie — Sociedade Poloneza — „Samopomoc“ mieści się przy rua de Senado № 215. Przewodniczy mu obecnie inżynier Bolesław Nowicki. Podczas mego krót-

kiego pobytu w Rio, usiłowałem zapoznać się z nim, aby dowiedzieć się o bycie tutejszej kolonji polskiej, lecz ilekroć zapukałem do drzwi domu № 65 rua Duque de Caxias, zastawałem je zamknięte. Hotel, w którym mieszkałem, oddalony był o kilkanaście conajmniej kilometrów, po kilku peregrynacjach wśród skwaru, dałem za wygranę. W owej siedzibie na rua Senado Polacy zbierają się tylko w soboty wieczorem. Poznałem p. Edwarda Płużańskiego, jednego z redaktorów miesięcznika *Brazil Polonia*, zamieszkałego na rua *Catette* № 355. Opowiadał mi, że pismo to nie jest poczytne wśród Polaków w Brazylii, że inteligencji polskiej w Brazylii jest niewiele. Koloniści polscy niewiele dbają o słowo drukowane. Mamy wprawdzie czytelników nawet w odległym Manaes, stolicy stanu brazylijskiego Amazonas; pismo więc wychodzi właściwie tylko dla propagandy Polski.

Wypytywałem p. Płużańskiego, czy mogliby liczyć na pracę w Brazylii ludzie inteligentni z Polski. Był ujemnego zdania. Potwierdził to, co mi mówił p. Rajchman, konsul polski w Rio de Janeiro, iż do zawiązania stosunków handlowych Polski z Brazylią byłiby użyteczni handlowcy Polacy, tacy, którzyby swe studia handlowe odbywali w Rio de Janeiro, i poznawszy rynek

tutejszy, staraliby się później zakładać tutaj interesy handlowe polskie. Tak robili Niemcy, którzy posiadają dużo swych rodaków wśród kupców i przemysłowców brazylijskich. Dopiero na terenie, gdzie jest kupiec polski, wytworzyć się mogą warunki, umożliwiające istnienia i Polaków innych zawodów. Obecnie nie warto, aby do Brazylii przybywali inteligenci Polacy. Doznają rozczarowań. Niedawno w Rio pojawili się dwaj ukształceni marynarze Polacy. Jeden z nich, nie mógł wstąpić do szeregów marynarki brazylijskiej; aby zarobić na utrzymanie, zajmuje się... pszczelnictwem; drugi udał się do Parany, gdzie zajął się... fotografją, podróżuje po kolonjach polskich, fotografuje kolonistów. Obydwaj nie znają języka portugalskiego, co jest niezbędnym warunkiem dla otrzymania pracy u Brazyljan. Zresztą nie mamy nadmiaru inteligencji w Polsce, aby choć jednostki szukały pracy w Brazylii; lepiej niech pracują w kraju.

W ojczyźnie kawy.

W początku kwietnia, w porze t. zw. chłodniejszej w Rio, upał był tak nieznośny, iż z zadowoleniem porzucałem stolicę Brazylii, udając się do Sao Pauls, ojczyzny kawy. Wprawdzie

i tam klimat jest ciepły. Średnia temperatura roku na wybrzeżu oceanu wynosi 25° C (20° R.). Na płaskowzgórzu, które obejmuje większą część stanu, średnia temperatura waha się pomiędzy 21 — 28° C. Najwyższa temperatura jest 30° w cieniu, najniższa 3°. Taka jest naukowa charakterystyka klimatu tego stanu, mającego 290876 kilometrów kw., większego niż całe Włochy lub Portugalja bez kolonji. Od północy stan ten graniczy ze stanem Minas Geraes, na wschodzie ze stanem Rio de Janeiro i z oceanem Atlantyckim, na zachodzie ze stanem Matto Grosso, na południe ze stanem Parana.

Na tej ogromnej przestrzeni mogłoby żyć przynajmniej 40 milionów ludzi, mieszka za ledwie parę milionów, wśród nich kilka tysięcy Polaków. Chociaż bawiłem niedługo w Sao Paulo (wymawia się San Paulo), jednak dzięki znajomościom z mieszkańcami tego stanu, którzy informowali mnie, jakim on jest w dobie współczesnej i dostarczyli najświeższych wydawnictw i opisów, mogę podzielić się z czytelnikami wiadomościami o ojczyźnie kawy.

Wieczorny pociąg kolei centralnej w Rio przybywa nazajutrz rano do Sao Paulo. Nocna podróż obiecywała trochę chłodu i wypoczynku po męczących peregrynacjach w stolicy Brazyliji.

Stałem obok wagonu, w którym umieściłem swoje dwie lekkie walizy, słuchając sporu mego przygodnego towarzysza podróży z oficjalistą kolejowym z powodu wielkich bagaży, jakie mój towarzysz posiadał. Oficjalista nie pozwalał wnieść ich do wagonu, chciał je zabrać, aby umieścić jako bagaż; pociąg miał odejść wkrótce. Mój towarzysz obawiał się, iż nie zdąży załatwić formalności bagażowych i zostanie w Rio. Mimo niewielkiego zapasu słów portugalskich, zdołałem zrozumieć, iż oficjalista chce wnieść bagaże do osobnego wagonu bagażowego, jadącego z pociągiem, bez żadnej opłaty za przewóz. Nieporozumienie się wyjaśniło. Mój towarzysz był zadowolony, że za przewóz bagażu kolej nie pobiera osobnej opłaty, gdyż jest już ona zawarta w cenie biletu osobowego. Jest to wielka wygoda dla podróżnych.

Szybko zapadła noc. Szerokotorowy wagon kolei centralnej pędził jak ekspres europejski, sypał iskrami z lokomotywy opalanej drzewem (Brazylja ma ogromne lasy, więc używa drzewa zamiast węgla), wpadał w tunele z hałasem, zamykaliśmy zawczasu okna wagonu, chroniąc się od pyłu, zdawało nam się, że jedziemy w jakiejś łaźni, która chwiała się jak kołyska, skutkiem szybkości biegu. Wagon kolejowy, chociaż sze-

rokotorowy, jest niewygodny, posiada ławki dłuższe i krótsze, z przejściem w pośrodku. Na mniejszych jest miejsce dla dwu osób siedzących, na większej dla czterech, nie mają one wysokiego oparcia, to też siedzenie jest niewygodne, nie ma zaś mowy o jakimkolwiek wypoczynku w pozycji leżącej. Towarzysze podróży, młodzi Portugalczycy, hałaśliwi, ruchliwi, co chwila przelatywali z ławki na ławkę. Pociąg posiadał wagon restauracyjny, to też co pewien czas podróźni mieli możliwość odświeżenia spalonych gorączką ust limonjadą, piwem, czarną kawą, pomarańczami, roznoszonemi po wagonie. Byli w wagonie i Polacy. Młody technik dentystyczny z Polski jechał do Kurytyby, oraz małżeństwo polskie, udające się do Sao Paulo, nieciekawa para. Wracali z Polski do Brazylii, w której poprzednio długo mieszkali. Sprawiali wrażenie ludzi, których poza groszem nic w życiu nie obchodziło, ludzi o minimalnej kulturze. Pani, draśnięta już zębem czasu, o groźnej minie Ksantypy — znać było, że całe życie królowała we własnej kuchni — pan znacznie młodszy, zahukany przez połowicę i strofowany surowo szczególnie podczas wydatków pieniężnych, był mało zachęcającym do znajomości towarzyszem podróży. Rozmowa się nie kleiła. Żyli długo w Brazylii, lecz nic prawie o niej nie

wiedzieli. Technik dentystyczny również swemi niedojrzalemi opinjami o Polsce, w której widział wszystko złe, drażnił. Wolałem gawędzić z b. włoskim oficerem, handlowcem z Neapolu, z którym zapoznałem się na statku *Francesca*.

Po północy spadł deszcz ulewny, i chociaż trwał krótko, usunął na pewien czas nieuchwytny pył, którym przesycone było powietrze. Linja kolejowa biegnie po gruncie spalonym słońcem. W ciemności nocnej migotała się kręta wstęga wód rzeki Parahiba. Od wody wiał przyjemny chłód, zdawało się chwilami, że jedziemy nad morzem. Zatrzymywaliśmy się na stacjach, rozbrzmiewających hałaśliwą wesołością murzynów. Budynki stacyjne, położone dalej od linii kolejowej, sprawiały wrażenie wspaniałych restauracyj, tyle tu było gwaru, tyle publiczności, przeważnie kolorowej, rozbawionej, czującej się świetnie w tej późnej nocnej porze, wolnej od palących promieni słonecznych.

Rankiem przed dziewiątą przybywamy do miasta Sao Paulo. Kto pierwszy raz przybywa do tego miasta, zdziwiony jest, przechadzając się po ulicach, ich międzynarodowym charakterem: jest tu więcej cudzoziemców, niż Portugalczyków. Stan Sao Paulo jest bogaty. Jego stolica, licząca dzisiaj 400.000 mieszkańców, nie jest położo-

na w takim uroczem miejscu jak Rio de Janeiro, nie upiększa jej tak wspaniale przyroda, ma jednak budowle piękne, pałace i wille wśród ogrodów, wśród zieleni palm, wawrzynów, palmit, różnorodnych krzewów. Wspaniały dworzec nie ustępuje europejskim (zbudowany przez Anglików).

Charakter tego miasta, założonego przez Portugalczyków, — ludność portugalska zamieszkuje miasta nadmorskie i inne tego stanu i na nich wyciska swe piętno — utracił cechę portugalską, stał się międzynarodowy. Przedmieścia miasta Sao Paulo zamieszkałe są przeważnie przez Włochów. Według ostatnich obliczeń, w Sao Paulo wśród 400.000 mieszkańców jest 220.000 Włochów. Nic dziwnego, włoska kolonizacja dążyła przeważnie do tego stanu.

Po zniesieniu niewolnictwa, rząd stanowy, potrzebując pracowników na plantacjach kawy, próbował ściągać kolonistów Portugalczyków, Hiszpanów i Włochów. Ci ostatni okazali się najodpowiedniejszymi pracownikami na plantacjach, ściągnięto ich więc najwięcej. Prócz kolonistów oczywiście przybyli z Włoch i inni pracownicy, którzy osiedli w miastach i szczególnie w stolicy stanu. Dużo tu robotników fabrycznych Włochów, furmani wyłącznie Włosi, w handlu drobnym, średnim i dużym Włosi odgrywają wielką, prze-

ważającą rolę i są działy przemysłu wyłącznie włoskie. W dolnem mieście Braz, gdzie mieszka połowa mieszkańców Sao Paulo, słychać prawie tylko język włoski i widzi się takie życie, jak w miastach włoskich w Europie. 20 września, w dzień narodowego święta włoskiego, zdaje się, że to nie Brazylja, lecz Włochy. Fabryki zamknięte. Na ulicach ludzie ubrani odświętnie. Na gmachach włoskich stowarzyszeń powiewają sztandary włoskie; wychodzą z nich pochody ze sztandarami, wieczorem w teatrach uroczyste przedstawienia. Na wielu rozporządzeniach i ogłoszeniach władz miejskich widać obok języka portugalskiego i język włoski. Mimo swej przewagi włosi żyją w doskonałej harmonji z innymi narodowościami w stanie. Do rozwoju ojczyzny kawy przyczynili się głównie Włosi, mający tutaj opinię bardzo pracowitych. Przed wielką włoską kolonizacją w Sao Paulo byli przeważnie Niemcy stolarze, ślusarze, krawcy i t. d., dzisiaj Włosi w znacznej mierze opanowali rzemiosła, nie wypierając Niemców; ludności włoskiej, przybyło, dopływ niemieckich rzemieślników ustał, przytem Włosi pracują bardzo tanio.

Widziałem w środku miasta domy kilkupiętrowe, na niektórych ulicach nawet sześciopiętrowe — dawniej były tutaj domy parterowe.

Jak w Anglii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, widać w Sao Paulo na górnych piętrach domów biura handlowe. Mieszkań prywatnych nadzwyczaj mało, w nowych domach ani jednego. Domów, przeznaczonych na biura jest tu podobno za dużo, sklepów zaś jest za mało w środku miasta, muszą więc nolens volens kupcy urządzać sklepy dalej od centrum; woleliby w środku miasta, bo miasto całe jest rozrzucone na kilku wzgórzach. Jest więc taka anomalja: są lokale na biura handlowe niezajęte, a jednocześnie brak lokali na sklepy w centrum w nowych domach; podobnież brak mieszkań prywatnych, chociaż w Sao Paulo klimat nie zmusza mieszkańców, jak w Rio de Janeiro, do mieszkania często za miastem. Środek miasta Sao Paulo nie jest podobny do londyńskiej City, gdzie po zamknięciu biur i sklepów wszelkie życie ustaje. W środku Sao Paulo mieszczą się wspinałe restauracje, hotele i kawiarnie. To też wieczorem idzie się do kawiarni lub restauracji przez ulice jakby wymarłe, co nie wywołuje wesołego nastroju.

Wśród 17 wielkich banków w Sao Paulo jest tylko 8 brazylijskich. Są tutaj wielkie browary, z tego powodu zowią często Sao Paulo brazylijskiem Monachjum. Wielki browar *Antar-*

ctica znany jest i w innych stanach Brazylii, również w Paranie. Piwo nie jest tak dobre jak niemieckie, psuje się dość szybko; przez dodanie jakichś środków chemicznych utrzymuje się w stanie świeżym, traci jednak smak. Jest również wielki browar „Germania”. Od kilku lat istnieje i trzeci „Cervejaria Guanabara”. Przed wojną do Brazylii sprowadzano nawet piwo z Niemiec, co się kalkulowało z powodu taniego przewozu na niemieckich parowcach. Dzisiaj europejskie piwo zniknęło zupełnie z Brazylii. Najwięcej piwa produkuje stan Sao Paulo, który zachęcił i inne stany, jak Paragę, Rio Grande do Sol, Rio do Janeiro, Santa Catharina do produkcji piwa. Rozwinięty jest również w stanie Sao Paulo przemysł tkacki. Z powodu wysokich ceł ustał zupełnie przywóz zagranicznej juty do wyrobu worków do kawy. Obecnie jutę wyrabia się w miastach Sao Paulo i w Santos.

Rozwija się również fabrykacja wyrobów bawełnianych. Plantacje bawełny są w okolicach Piracicaba, miasta oddalonego o 200 kilometrów od Sao Paulo; również pod Sorocaba i wzdłuż linii kolejowej te same nazwy widać plantacje bawełny.

Z uprawianych w Sao Paulo roślin oczywiście pierwsze miejsce zajmuje krzew kawowy.

Handel kawą niezawsze jednak dopisuje, więc rząd dla dobrobytu stanu popiera i plantacje bawełny oraz fabryki tkackie. Dla podniesienia plantacji bawełny rząd sprowadza nasiona bawełny ze Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, rozdaje je kolonistom i wysyła fachowców — instruktorów między kolonistów. Rząd sprowadza nawet fachowców z poza Brazylii.

Stan Sao Paulo produkuje również ryż w dolinie Ribeira pod Iguapé w bliskości portu Cananéa. Wyprodukowany tutaj ryż podobno nie ustępował japońskiemu. Obawiając się kryzysu z powodu nadprodukcji kawy, rząd zaleca kolonistom uprawę ryżu i pomaga im do tej uprawy. Uprawa ryżu tak się rozwinęła, iż przywóz z zagranicy zupełnie ustał. W dolinie Ribeira rząd osiedlił japończyków, którzy zajęli się uprawą ryżu na wielką skalę.

W S. Paulo koncentrują się koleje żelazne całego stanu, ma on jedną z największych sieci kolejowych w całej Ameryce południowej. Koleje są zbudowane nie tylko przez cudzoziemców, większość towarzystw kolejowych składa się z krajowców. Anglicy mają kolej, wiodącą z brzegu Atlantyku w Santos przez góry Serra do Mar do stolicy S. Paulo; kolej długości 139 kilometrów, jedną z najważniejszych w całym stanie, tworzącą

jedyne połączenie wewnętrznego płaskowzgórza z wybrzeżem morskim, panującą nad całym stanem, podobnie jak Gibraltar panuje nad wejściem do morza Śródziemnego. Cała kawa, którą się wywozi z Santos do Europy i innych części świata, ładowana jest na kolej tę, to też Anglicy mają w tej kolei żyłę złotą, bezkonkurencyjną.

Kolej, wiodąca do Sorocabana w tymże stanie ma wprawdzie koncesję, pozwalającą jej przedłużyć swą linią do Santos, od stacji Magrinsk, przed kilku laty rozpoczęto nawet roboty, ale przerwano je. Dlaczego? Bo funt sterling odegrał tutaj rolę decydującą. Kolej do Sorocabana jest własnością stanu S. Paulo, wydzierżawiono ją towarzystwu północno amerykańskiemu. Wuj Sam nie zrobi krzywdy John Bull'owi.

Stan S. Paulo posiada około 6.600.000 kil. kolei, ogólny dochód przewyższa 100.000 kont (konto 1000 milrejsów), 26 prywatnych towarzystw kolejowych ma duże dywideny, do czego oczywiście przyczynia się głównie eksport kawy. Cała sieć kolejowa w stanie S. Paulo jest przedewszystkiem przystosowana do potrzeb eksportu kawy. Podróżni mają też udogodnienia: wagony sypialne, restauracyjne.

Oglądając wystawy magazynów w S. Paulo, widziałem mnóstwo towarów, nowości sprowa-

dzonych z Europy. To samo zresztą obserwo-
wałem w Rio de Janeiro. O ile kawa dopisze,
fazendeiro, mając pieniądze, dąży do stolicy, aby
się zabawić, poczynić zakupy. Dla tych, właśnie
bogatyh właścicieli plantacji kawy i innych S. Pa-
ulo stara się o najświeższe i najmodniejsze to-
wary z Europy. Komiwojażer francuski może zna-
leźć w tutejszych oknach wystawowych nowości
paryskie; które widział, wyjeżdżając z Paryża.

Artyści operetki włoskiej, z którymi odbyłem
podróż z Neapolu do Rio de Janeiro, opowiadali
mi, że S. Paulo jest miastem sztuki. Przybywszy
do S. Paulo, ujrzałem wspaniałą, nowoczesny
teatr, który byłby ozdobą każdej wielkiej stolicy
europejskiej. Chcąc mieć o nim opinię sprawie-
dliwą, trzeba przypomnieć sobie widok najpięk-
niejszych teatrów francuskich i niemieckich. Może
godnie stanąć w ich rzędzie. Od mieszkańców
S. Paulo słyszałem, że jest ten Theatro Muni-
cipal (zbudowany przez zarząd miasta) nawet pięk-
niejszy od podobnego teatru w Rio de Janeiro.
Może to i słuszne, gdyż teatr w S. Paulo ma
ładniejsze otoczenie, które uwydatnia jego pięk-
ność, znajduje się na wolnym placu, zbudowany
jest w stylu renesansu; jego wspaniałe kształty
i linje widać ze wszystkich wyżej położonych
części miasta.

W Brazylii, która jest różnojęzyczna, trudno utrzymywać stałe trupy teatralne, oczywiście trudniej, niż w miastach o jednojęzycznej ludności. S. Paulo może sobie na to pozwolić.

Plany wymienionego teatru wykonane zostały w Europie. Figury brązowe, zdobiące teatr, sprowadzono z Francji. Kopuszy na dachu, kraty na froncie teatru, urządzenie sceny dostarczyły Niemcy; mozaikowe posadzki w korytarzach widowni i w wielkiej hali wejściowej pochodzą z Północnej Ameryki. Tylko kolumny marmurowe pochodzą ze stanu S. Paulo, który posiada kopalnie marmuru. Parter zawiera 500 miejsc. Na górnych 4 piętrach są łoże i miejsca balkonowe.

Prócz miejskiego teatru posiada S. Paulo jeszcze dwa wielkie teatry, teatr S. José i teatr Apollo, każdy na 1600 osób.

Kinematografy są rozrzucone po całym mieście, niektóre bardzo piękne.

W teatrach grane są głównie sztuki włoskie. Trupy portugalskie, które przez cały rok w Rio de Janeiro grają i mają zawsze teatry pełne publiczności, są w S. Paulo tylko trupami gościnnymi, na kilka tygodni. Tymczasem trupy włoskie mają tutaj zawsze wielkie powodzenie. Szczegól-

niej operetka święci tu triumfy. Na takiej „Wesołej wdówce“ i t. p., oczywiście śpiewanej po włosku, zawsze pełno.

Przed wojną przyjeżdżali tu na występy tacy artyści dramatyczni, jak Ermete Novelli, Eleonora Duze, Tina di Lorenzi, Clara della Guardia, ozdoby scen europejskich. Niemiecka trupa teatralna przybywa tu na krótkie występy, najwyżej na 3 tygodnie, gdyż kolonja niemiecka jest tu nieliczna. Posiada też S. Paulo konserwatorium muzyczne i sztuki dramatycznej.

W szkolnictwie stan S. Paulo zajmuje pierwsze miejsce wśród innych stanów Brazylii. Elementarne szkoły są prawie wszędzie wewnątrz stanu; wiele municypalności utrzymuje szkoły własnym kosztem. Szkoły państwowe są wszędzie bezpłatne, municypalności naśladowują w tym względzie rząd stanowy. Szkolnictwo w S. Paulo ma taką renomę w innych stanach, iż sprowadzają one nauczycieli z S. Paulo i urządzają swe szkoły na wzór tamtejszych. W mieście S. Paulo jest szereg wyższych uczelni, jak gimnazjum państwowe, szkoły normalne wyższe i niższe, które kształcą nauczycieli, wyższa szkoła politechniczna i ceniony w całej Brazylii fakultet prawniczy. W kilku miastach wewnątrz stanu są również gimnazja i inne wyższe szkoły.

Również obcokrajowe kolonie utrzymują w stolicy i wewnątrz stanu swe odrębne szkoły, w których obok języka portugalskiego wykłada się język rodzinny uczniów np. szkoły niemieckie, do których uczęszczają nawet dzieci Brazyłjan. W mieście S. Paulo są trzy niemieckie szkoły, utrzymywane przez stowarzyszenia, dwie mieszczą się we własnych gmachach. Jest również kilka niemieckich szkół prywatnych. Zakon benedyktynów utrzymuje od kilku lat gimnazjum, wzorowy zakład naukowy, posiadający wspaniałą salę gimnastyczną. Benedyktyni utrzymują nadto szkołę dla dziewcząt i szkołę elementarną dla chłopców i dziewcząt.

Kolonja niemiecka nie jest liczna w stanie S. Paulo i w jego stolicy politycznie Niemcy nie grają żadnej roli. Raz tylko wybrano naturalizowanego Niemca do izby deputowanych. Wśród naturalizowanych Niemców niewielu ma prawa wyborców, ci, którzy je mają, rzadko z nich korzystają. Nawet urodzeni w Brazylii Niemcy nie mieszają się do polityki. W handlu i przemyśle grają rolę znaczną. Dwa niemieckie banki robią duże interesy. Jak mi mówiono, wojna nie wpłynęła na zmianę stosunków. Walki polityczne w stanie S. Paulo nie są tak namiętne, jak

w innych stanach, wychodzi to na korzyść ojczyźnie kawy.

Swe bogactwa i wybitne stanowisko nietylko w stosunku do innych stanów Brazylii lecz i do Europy, zawdzięcza stan S. Paulo kawie, którą zaopatruje $\frac{3}{4}$ świata. Świat pije kawę brazylijską nawet pod nazwami Mokka, Java, Costa Rica, gdyż kawa brazylijska jest tak dobra, iż przewyższa nawet gatunki azjatyckie; dzisiaj doskonała kawa z S. Paulo ukazuje się na rynku światowym bez przybranych nazw. Zbiory kawy w roku 1921 były przeciętne, nie przewyższały 8 milionów worków (worek po 4 aroby, aroba = 15 kilog.), ceny są dość niskie.

Na plantacjach brak dostatecznej liczby rąk roboczych. W marcu 1921 r. stan S. Paulo zaciągnął z Anglii wielką pożyczkę na rozwój produkcji kawy i eksportu. Podobnie rząd chce zaciągnąć kolonistów z Europy do pracy na plantacjach, obiecując im wielkie korzyści.

W tym bogatym stanie brazylijskim było dawniej kilkanaście tysięcy Polaków. Rzemieślnicy z b. Królestwa Polskiego osiedli w stolicy stanu. Wielu dorobiło się własnych domów w mieście S. Paulo, łącząc się w tow. polskie „Bratnią pomoc”. Santos miasto portowe dawało zatrudnienie

przy ładowaniu okrętów Polakom, dochodzącym niekiedy do kilkunastu tysięcy. Port ten można porównać z Liverpoolem co do ruchliwości. Robotnicy polscy byli tu dziesiątkowani przez żółtą febrę, która grasowała w mieście z powodu błot niezdrowych otaczających Santos ze wszystkich stron. Ulice były tutaj brudne, źle utrzymane, ale to wszystko dzisiaj należy do przeszłości. Dzisiaj Santos jest uporządkowane. Klimat tutaj bardzo gorący, równie gorący jak w Rio de Janeiro. Panują wiatry południowo-zachodni i północno-wschodni, ostatni ściąga deszcz. Roślinność jest tu nadzwyczaj bujna, na co wpływa powietrze, przesycone wilgocią. Pory roku są tylko nominalne, bo mało się różnią. Kolonie polskie, jakie założono w tym stanie, w Rio Pequeno, Rio Grande i Capirary obok miasteczka Sao Bernardo, mało były przystosowane do potrzeb polskiego rolnika, który przybył tutaj, nie mając pojęcia o uprawie kawy, wina, kakao, ryżu, bawełny, batatów, fasoli czarnej. (Zboża europejskie nie znoszą tutejszego klimatu, to też mąkę S. Paulo sprowadza z Argentyny). Przytem najkorzystniejsza uprawa krzewu kawowego wymaga pewnego kapitału, gdyż w ciągu pierwszych kilku lat po posadzeniu krzew dochodu nie daje, potem potrzebuje ciągłego pielęgnowania, zaś po

20 — 30 latach już nie rodzi i wyniszcza ziemię do tego stopnia, że na tem miejscu przez lat kilkadziesiąt prawie nic się nie rodzi. Polacy byli tu przeważnie elementem wędrownym, dążącym do przeniesienia się do innego stanu o klimacie mniej gorącym, do Parany.

Co do robotników, ich zarobki zależą od dobrych interesów plantatorów; gdy te interesy gorzej idą, gdy jest nadprodukcja kawy (w latach przed wojną i później), mają robotnicy mniej zajęcia, muszą szukać pracy gdzieindziej. Miasto S. Paulo pamięta lata, w których tak się wyludniło z powodu zastoju w interesach, iż po kilka tysięcy domów było pustych.

Pod względem narodowym Polacy nie czują się dobrze w ojczyźnie kawy: otoczeni cudzoziemcami, nie mając księży Polaków, nauczycieli. O kolonji Rio Pequeno, gdzie osiedli galicyjscy wieśniacy, o niskim poziomie umysłowym, prawie wszyscy analfabeci, słyszałem, iż wynaradawiali się, że bliskość miasta S. Paulo tak na nich oddziaływała, iż zapominali mowy ojczystej. Na dobitkę zaopiekowali się nimi miejscowi żydzi w ten sposób, że córki kolonistów polskich wzmogły zastępy prostytucji. Żydów w S. Paulo można spotkać na ulicy Libero Barado, podorabiali się majątków, jak wszędzie, bez przebierania w środkach.

Polaków w stanie S. Paulo uważać trzeba za element wędrowny. Inspektorem naczelnym kompanji kolejowej Mogyano w Ribeirao Preto był inżynier Brodowski, i jedną ze stacji kolejowych nazwano jego imieniem. Znaczne plantacje kawy posiadał fazendeiro Majewski. W mieście Campinas, centrum kawowych plantacji, robotników polskich było w mieście i w okolicach do kilkunastu tysięcy; zostali zdziesiątkowani przez żółtą febrę. O Sao Bernardo, wielkiej kolonji polskiej między miastami S. Paulo i Santos i o kolonjach Rio Pequeno, Rio Grande, i Capivary, gdzie liczba kolonistów dochodziła do 200 familji, już wspomniałem, czeka ich wszystkie los Rio Poqueno. Dobrobytem cieszyli się mieszkańcy Polacy w kolonji Pariquara—Assu—Iguapé, w miejscowości położonej o 20 kilometrów od portu Iguapé w pobliżu granicy stanu Parana, ale pod względem narodowościowym znajdowali się w niekorzystnym położeniu, będąc pomieszani z włoską ludnością, skutkiem czego wynaradawiali się. W miasteczku fabrycznem Jundiahy, w bliskości miasta S. Paulo, znajdowali pracę robotnicy polscy; założyli nawet Tow. im. A. Mickiewicza.

Porozpraszali się Polacy po stanie S. Paulo nielicznymi grupkami lub pojedynczo, ale prędzej

czy później opuszczają ten stan, przenosząc się do Parany, mającej klimat nie tak gorący, pory roku odróżniające się. Ostatnio jednego z mieszkańców stanu S. Paulo, p. Artura Gocławskiego, trudniącego się handlem w mieście Franca, na pograniczu stanów S. Paulo i Minas Geraes poznałem w Kurytybie. Dorobił się on pewnego majątku w stanie S. Paulo, ale w końcu porzucił ten stan, woląc mniej gorący klimat Parany i otoczenie polskie, więc przeniósł się do Kurytyby, zakładając tu pensjonat-hotel dla Polaków. Państwo Gocławscy pochodzą z Warszawy.

Polacy naogół nie z bogactwami się w ojczyźnie kawy. Ci, których gorączka emigracyjna zagnała tutaj w latach, kiedy Polska nie miała jeszcze bytu niepodległego, marzą o powrocie do wolnej ojczyzny.

Iluż było tutaj Polaków, których zabiła żółta febra! Iluż rzuciło klimat gorący, niezdrowy wędrując gdzieindziej, do Parany lub Rio Grande do Sul, do Santa Catharina lub wreszcie do Argentyny! Ci, co przebyli piekło pierwszych lat pobytu tutaj, twardość nowych warunków w latach następnych, co przebyli jeden lub dwa dziesiątki lat tutaj, i ci, którym tutaj „natura cała się uśmiecha swoich blasków powabem, jak szatan ludzka“ myślą o rodzinnej strzesze w Polsce.

Instytut Butantan w S. Paulo.

Instytut Butantan pracuje bardzo owocnie, aby chronić ludność nie tylko Brazylii, lecz całej Ameryki południowej od śmierci od ukąszenia żmij. Brazylija nie prowadzi statystyki, nie wiadomo więc, ile ludzi, najczęściej skromnych rolników, ginie corocznie. Natomiast stan S. Paulo ma dane statystyczne. Biorąc je za podstawę, dochodzimy do wniosku, że w całej Brazylii przypuszczalna liczba wypadków śmierci od ukąszeń dochodzi do 4800 rocznie. Ciekawe jest zestawienie co do miejsc ukąszeń; — oto na 100 wypadków bywa ukąszeń w nogę 60, w łydkę 13, w rękę 22, w twarz 1,2, w klatkę piersiową 0,7 w pośladek 0,7 w brzuch 0,7 w inne części ciała 1,7 razem 100. Ginie zazwyczaj zdrowy, dzielny rolnik, co oczywiście dla państwa pociąga poważne straty nawet materialne, obliczane przez statystyków na miliony milrejsów.

W stanie S. Paulo rzadkie są *fazendas*, gdzie niema serum i szprycki do zastrzyknięcia serum. Za każdą żmiję dostarczoną instytutowi wysyłający otrzymuje tubę serum; o ile dostarczy sześć żmij, dostanie także szprykę. Instytut daje też przyrządy do chwytania żmij, skrzynki i etykiety naklejone na skrzynki, które służą do bezpiecznego prze-

wozu żmij na kolejach: S. Paulo, Sorocabana, Paulista, Mogyan, Sao Paulo — Rio Grande, Ferro Carril de Araraquara, Bragantina Noroeste do Brazil, Funilense, Central do Brazil, Minas e Rio Muzaibinho, Sapucahy, Sao Paulo e Gooleaz, Itatibense, Leopoldina e Estrada de Ferro do Parana.

Zmije spotyka się często przy ścinaniu drzew, przy koszeniu traw. Żmiję schwytać łatwo na drążek żelazny lub drewniany, zgięty na końcu pod kątem prostym, na którym się ją podnosi w górę. Nie mając punktu oparcia, żmija nie może atakować, łatwo ją wtedy umieścić w skrzynce. Instytut daje też stryczki; jest to rzemień nakładany na kawałek drzewa, jeden koniec rzemienia złączony jest ze sznurkiem, aby można było ściągnąć rzemień. Do rzemyka przymocowane jest kółko metalowe, przez które przesuwa się byle jaki kawałek drzewa. Aby schwycić żmiję zarzuca się rzemień na szyję i ściąga się następnie sznurek, aby rzemień objął tył łba żmiji. Żmija opiera się nieco, podnosi się ją i łatwo umieszcza w skrzynce. Można to zrobić bez niebezpieczeństwa, gdyż żmija jadowita nie skacze, „nie fruwa“, jak mówią powszechnie ludzie z gminu. Aby się bronić lub atakować, żmija musi zwinąć się i oprzeć, może więc rzucić się zaledwie na przestrzeni, stanowiącej połowę długości żmiji. Właściciele majątków

(fazendeiros) dają oczywiście serum bezpłatnie swym robotnikom ukąszonym. Instytut otrzymuje przeszło 5000 żmij rocznie, rozdaje więc 5000 ampułek serum do rąk różnych osób w Brazylii całej. Instytut projektuje założenie w każdym stanie stacji pomocy dla rozdawania serum. Instytut bada różne rodzaje jadów i stosuje stosowne serum.

Na południu Brazylii znane są powszechnie żmije cobra nova (*Drimobius bifossatus*), caninana (*Spilotes pulutus*) i mała jararaca polna (*Liophis almadensis*). Te, dzięki ustrojowi zębów, nie mogą zaszczepić jadu ukąszeniem.

Żmije jadowite poruszają się wolno, w razie niebezpieczeństwa wstrzymują swe ruchy i gotują się do obrony. Niejadowite żmije poruszają się szybko i trudno je schwytać. Gdy się je goni, starają się ukryć wśród liści lub usiłują kąsać, polowanie niełatwe! Trudno je znaleźć, gdyż nie mają stałych mieszkań, lokując się, gdzie przypadek zdarzy wśród zapuszczonych nieużytków, w skałach, pod pniami, w listowiu ljan, są w dziurach nawet pancernika. *Dasybus*. Prawie wszystkie żmije dobrze pływają. Niektóre gatunki kąpią się tylko przypadkiem. Inne żyją na brzegu rzek i jezior i spotyka się je często w wodzie; są takie, które mogą pozostać pewien

czas pod wodą. Są żmije umiejące czołgać się po drzewach. Są żmije niejadowite, które nigdy nie gryzą, nawet gdy się ją weźmie na rękę, dla obrony usiłują skryć tylko łeb. W tej liczbie jest Mussurana (*Oxyropus clelia*, *Oxyropus trigeminus*), bardzo zwykła w stanie Sao Paulo i niektóre Rhadinés, które lud nazywa żmijami wodnemi.

Żmije, które posiada instytut Butantan w Sao Paulo, pozostają w niewoli 6—8 miesięcy, bez pożywienia. Jeden grzechotnik żył tak przeszło rok. Ulubionym żerem żmij są szczury.

Przesądem ludowym jest jakoby żmija ściagała człowieka, skacząc, rzucając się. W Brazylii *caboclo* obawia się wymówić wyraz: żmija, szczególnie gdy udaje się po lekarstwo dla ukąszonego. Zamiast powiedzieć: A. został ukąszony przez żmiję, *caboclo* mówi: A. został ukąszony przez „bicho” (zwierzę, robak). Widać tu strach przesądny.

Bardzo popularną jest legenda, że żmije składają swój jad na liściu nad brzegem wody, gdy chcą zanurzyć się w wodzie. Nauką twierdzi, że w wodzie niema żmij jadowitych: gdy zaś jadowita żmija płynie, nie może ukąsić, bo nie ma oparcia do rzutu. Żmija płynie, wysuwając łeb nad wodę, więc łatwo ją zobaczyć i uchronić się od niej.

Inną legendą jest ta, że żmija ssie zwierzęta, a nawet kobiety. Mówią, że żmije wczołgują

się do mieszkań i korzystając ze snu swej ofiary, ssą mleko z jej łona, aby zaś zaspokoić dziecko ofiary, wsuwają mu w usta swój ogon.

Inni opowiadają, że krowy karmią żmije swem mlekiem na pastwisku, przyzwyczajając się tak do tej czynności, że w stałej porze zbliżają się do kryjówki żmiji i cierpliwie oczekują, aż ta się nasyci. Ta historyjka zapewne była wymyślona przez jakiegoś „czarodzieja“, który podstępnie sam zabierał mleko. W istocie żmije nie ssą, bo również jak ryby i ptaki, nie są ssakami.

W Brazylii są t. zw. magicy, czarodzieje żmij. Niektórzy podczas swych sztuk magicznych zaczarowania żmij zabezpieczają się przeciwko ukąszeniom, wyjmując żmijom zęby jadowite; inni, odważniejsi zanedbują tej ostrożności, ale prawie zawsze kończą swą karierę wskutek śmiertelnego ukąszenia żmiji podczas przedstawienia.

W stanie Sao Paulo znany był niejaki Cabo Cobra, „czarodziej“, który chwalił się, że go żmije nie kęsają, a nawet, gdy go żmija ukęsi, jej jad nań nie działa. Samochwalstwo skończyło się smutnie. U doktora Valeriani'ego w Pirassununga w obecności kilku osób, z którymi magik się założył, pozwolono mu pokazać swą zręczność ze żmiją jararaca, średniej wielkości, przeznaczoną do wysłania przez doktora Valeria-

ni'ego do instytutu w Sao Paulo, którą wyjęto w tym celu ze skrzynki. Cobra zaczął do żmiji przemawiać pieszczotliwymi wyrazami, nazywał żmiję „piękną Heleną“ i innymi czułymi nazwami. Wreszcie, sądząc, że przyszedł moment stosowny, schwycił żmiję w pośrodku i... został ukąszony w łokieć. Rzucił żmiję natychmiast i chciał się oddalić, udając, że go nie ukąsiła; wszyscy jednak widzieli, że zbłądł i bliski jest omdlenia z bólu i zastrzyknięto mu zaraz zbawcze serum.

W Paranie na campos jest dużo grzechotników, żmij koralowych, w lasach — dużo jararaca. Wypadków ukąszenia jest sporo; wyleczeni są właściwie do pewnego stopnia kalekami, gdyż odczuwają w dżdżystej, chłodnej porze cierpienia przez całe życie.

Grzechotnik jest bardzo leniwy. Potrzebuje dość czasu do ataku, lecz gdy się rzuci, rzadko chybia celu. Z 4744 żmij, wysłanych do instytutu w 1912 r., było grzechotników 1737. Jad grzechotników jest 5 razy silniejszy od jadu innych żmij. ¹⁾

¹⁾ Zawarte w niniejszym rozdziale wiadomości i dane statystyczne czerpałem z użyczonego mi dzieła dyrektora instytutu serum-terapeutycznego Butantan w S. Paulo w tłumaczeniu francuskim profesora J. Maibon „*La défense contre l'ophidisme*“, wydane w S. Paulo. Wyjeżdża-

Parana.

W lasów, jak Bóg odwiecznych, gęstwinie i chłodzie:
Wpóśród złotych pomarańcz, cedrów drogocennych,
Piniż wlecznie zielonych, palm wysokopiennych
Leży „lot” emigranta!...

(Piotr Słeciński: „Echo z Brazylii”).

Po przeczytaniu poprzedniego rozdziału czytelnik gotów zawołać: Ach, przekłeta Brazylja, pełna żmij jadowitych!, zaś zwolennicy dalszej emigracji polskiej do Parany (jest ich w Paranie pewna grupa, wśród nich b. konsul Kazimierz Głuchowski, — i chcą zdobyć miliony milrejsów na handlu „lotami” o setki kilometrów od kolei), powiedzą: Ależ on nam psuje interes, opisując ujemne strony Brazylii. Był w Paranie kilka miesięcy i nic nie widział!

Widziałem dużo. Kreślę wrażenia nietylko własne, lecz i opowiadania o przeżyciach setek ludzi, którzy zamieszkują Brazylię od lat dziesiątków. Nie zaprzeczam, do opisu kolonizacji polskiej w Brazylii przydałby się talent Fenimore Cooper’a, którego, niestety, nie posiadam. Opo-

jąc z S. Paulo, dowiedziałem się, że do Instytutu zwrócono się z Indji, prosząc o dane i informacje w celu założenia podobnego instytutu w Indjach.

wiadano mi w Kurytybie, iż kiedy przypadło 50-lecie emigracji polskiej do Brazylii, zebrali się tutejsi „notable” Polacy, aby naradzić się nad urządzeniem jubileuszu. Gdy jednak spojrzeli sobie wzajemnie w oczy, każdy je spuścił i... dano pokój jubileuszowi. Każdy pomyślał, że trzeba chyba wyprawić... stypę, bo połowa emigrantów polskich zmarnowała się, zginęła, wymarła z powodu strasznych warunków kolonizacji. Nie ja sam patrzę czarno na przeszłość, stanowczo zaś nie jestem entuzjastą przyszłości¹⁾.

Wagon kolei wązkotorowej (metr szerokości) trząst niemiłosiernie. Ach, podróż z S. Paulo do Parany nie należy do przyjemności. Kolej tutaj nie jest tak szybka, jak kolej centralna z Rio. Mimo to trzęsie strasznie. Ołówek na notesie podróżnym, książka w rękach tańczą sarabandę. Dłuższe siedzenie na wąskiej ławce o niziutkiem oparciu męczy. Niepodobna przejść jednego kroku w wagonie bez czepiania się swych przygodnych sąsiadów z obawy upadku. Wagony pierwszej klasy mają fotele twarde, obite jakimś

¹⁾ Kolonizacja polska w Brazylii datuje się od roku 1869, kiedy pierwsi przybyli górnoślązacy, sprowadzeni przez p. Sebastjana Edmunda Woś Saporskiego. Wkrótce przenieśli się oni do Parany.

domorosłom, koloru słomy, płótnem, są podróżni, którzy na nich zapadają... na morską chorobę.

Po wyniosłych palmach, rosnących w gorącym klimacie S. Paulo miałem zobaczyć wyniosłe sosny parańskie. Ujrzałem je po bezsennej nocy w wagonie dopiero nazajutrz raniem (podróż do Kurytyby trwa przeszło dobę). W ciągu nocy pociąg przebywał lesiste, dzikie przestrzenie, wspinał się w górę, spadał w dół, pędził wśród gęszczy leśnych i skał czerwonych, a mnie zdawało się, że jestem już na krańcu świata. Niewielkie stacyjki, właściwie budy drewniane, bufety pod otwartym niebem, sprzedające miksturę, przypominającą kawę (w państwie, mającym własną kawę), niewielkie osady, przytulone do wzgórz lesistych, ukazujące się w długich odstępach czasu, wszystko to świadczyło, iż przebywam kraj słabo zaludniony.

Wielki to kraj — Parana o przeszło 200.000 kilometrów kw. Na zachodzie Parana graniczy z Paragwajem i brazylijskim stanem Matto Grosso, na północy ze stanem S. Paulo, na południu z Argentyną i brazylijskim stanem Rio Grande do Sul, na południo-wschodzie ze stanem Santa Catharina.

Parana ma pas nadmorski nad Atlantykiem aż do gór Serra do Mar. Jest to strefa gorąca

ta „Marinha“, ma klimat tropikalny, a i rośliny tej strefy. Ziemia pasa nadmorskiego nie jest wzniesiona wyżej nad 30 metrów nad poziom morza. Kolej żelazna z Paranagua, zatoki nad Atlantykiem łączy niziną nadmorską z miastem Kurytybą na płaskowzgórzu kurytybskiem. Kurytyba jest wzniesiona na 897 metrów nad poziom morza, tymczasem Paranagua tylko na 3. W Kurytybie jest już klimat inny, inna też roślinność.

W zatoce Paranagua i drugiej nieco mniejszej Guaratuba pełno rybaków. Duże statki oceanowe tutaj się nie zatrzymują. Odbywa się tutaj połów ryb, małych raków (krewetki) nawet ostrzyg; na wybrzeżach, porośniętych krzakami mangowemi (dającymi doskonały garbnik) widać dużo muszli, t. zw. „Sambugui“ w których znajdują się kości ludzkie i zwierzęce. Nigdyś na tych wybrzeżach mieszkali indjanie. Muszle wy-pala się na wapno.

O febrę tu nie trudno, szczególnie w miejscach bagnistych, ale klimat jest lepszy od klimatu w Rio de Janeiro lub w Santos.

Nizina nadmorska ograniczona jest górami, których najwyższy szczyt Marumby sięga 1450 metrów nad powierzchnię morza, a nawet według inżyniera Leopolda Weissa szczyt ten sięga 1800 metrów.

Od gór nadmorskich płaskowzgórze parańskie wznosi się i tworzy płaskowzgórze kurytybskie aż do gór Serrinha. Od pasma tych gór aż do gór Serra da Esperança (najwyższy punkt Morungava, mający 1100 metrów nad poziom morza) ciągnie się trzecie płaskowzgórze, poza którem poczynając od gór Serra da Esperança aż do rzeki Parana ciągnie się płaskowzgórze najrozleglejsze o przeszło 600 kilometrach obszaru naokół. Łatwo zrozumieć, że w Paranie jest wielka różnica klimatu; im wyżej tem chłodniej, tem obficie rośnie sosna parańska, oznaka chłodniejszego klimatu.

Na północ od gór Serrinha idą góry Serra Pananapiacaba, zaś na północ od gór Serra da Esperança idą góry Apucarana. W pasie nadmorskim i na trzech płaskowzgórzach jest cała sieć gór i rzek. Jedyne południowo-wschodnia część Parany jest zaludniona. Bezludne są i nieznanie najpiękniejsze i najżyźniejsze części Parany.

Płaskowzgórza parańskie, znane pod nazwą Campos — pola — zajmują ogromną przestrzeń stu kilkudziesięciu tysięcy kilometrów i ciągną się daleko ku zachodowi aż do odległych ziem Paragwaju i brazylijskiego stanu Matto Grosso. Nad brzegami rzeki Iguassu, mającej długości około 1000 kilometrów, powstały najważniejsze kolonje

polskie. Źródła Iguassu znajdują się w pobliżu Kurytyby i Sao José dos Pinhaes, stąd Iguassu płynie ze wschodu na zachód w dziwacznych zakrętach. O 40 kilometrów poniżej Porto da Uniao rzeka Iguassu tworzy kilka wodospadów na przestrzeni 50 kilometrów. Przed ujściem Iguassu do rzeki Parany, o kilkanaście kilometrów, wody Iguassu staczają się prostopadle ze wszech stron w jedną kotlinę od 200 do 400 metrów szeroką, 3 do 4 kilometrów długą, nieco zakrzywioną. Wysokość spadu wód dosięga niekiedy do 80 metrów. Jest to jeden z najpiękniejszych wodospadów. Również wspaniały jest wodospad rzeki Parany, który zdajduje się o 200 kilometrów od ujścia Iguassu w kierunku na północ.

Rzeka Parana jest w niektórych miejscach może najgłębsza z istniejących rzek. Głębokość jej dochodzi do 250 metrów, inaczej bowiem trudno sobie wyobrazić, gdzie się podziewają te niezmierne masy wody przed wodospadem, gdzie rzeka jest szeroka na 5 kilom., w łożysko tylko 600 metrów szerokie. Różnica poziomu wód dochodzi do 100 metrów, spadek ten dzieli się na 36 — 40 kaskad czyli progów.

Sieć kolejową posiada Parana bardzo szczupłą. Olbrzymia część Parany nie ma kolei, zresztą jest niezamieszkała. To też koloniści polscy

znajdują się przeważnie na południo-wschodzie Parany.

Ludność Parany.

W maju 1922 r. ogłoszono rezultaty spisu ludności, jaki odbył się w r. 1921 w Brazylii. Spis wykazał 685.711 mieszkańców w Paranie.

Znamy rozległość tego stanu, więc liczba mieszkańców na takich obszarach wyda się wprost znikomą. W r. 1872 było w Paranie 123.722 mieszkańców, w 1890 r. — 240.401 m., w r. 1900 327.136 mieszkańców. W ciągu ostatniego dwudziestolecia ludność Parany podwoiła się. Stolica stanu parańskiego Kurytyba liczy wraz z przedmieściami 78968 mieszkańców.

Ilud jest Polaków w Paranie?

Nie wiadomo. Z powodu spisu ludności powstała w kolonji polskiej w Kurytybie myśl policzenia się, utworzenia dokładnej statystyki liczebności Polaków, rzucono projekt, aby nauczyciele i światlejsi Polacy po kolonjach zajęli się gromadzeniem wiadomości: wielu jest Polaków w Paranie i jaki posiadają majątek.

Rejestracja w konsulacie polskim w Kurytybie, zarządzona przez b. Konsula K. Głuchowskiego, dała bardzo skromne rezultaty. Rozeszła się wieść,

że ta rejestracja odbywa się w celu nałożenia na Polaków w Brazylii podatku dla Polski. Ta niedorzeczna bajka przeszkodziła spisowi Polaków. Czy więc jest 100.000 Polaków w Paranie, jak mi mówiono w konsulacie polskim, nie wiem. Dokładnej statystyki niema. Miesięcznik *Brazil Polonia* w nr. 8 z marca 1922 r. ogłosił następującą statystykę emigracji polskiej do Parany w latach 1871 — 1922, którą poniżej podaję.

N ^o	Municipalność	Rok	Kolonja	Osób
1	Curityba	1871	Rocio de Curityba	164
2	"	1873	Abranches	258
3	"	1875	S. Candida	179
4	"	1876	S. Ignacio, Orleans, D. Augusto, S. Pedro, Riviere, Thomaz Coelho, Lamenha	3580
5	S. José dos Pinhaes	1878	Muricy, Zacharias, Inspector Carvalho	550
6	Ponta Grossa	1878	Moema	84
7	Castro	1884	S. Clara, S. Leopoldina	220
8	Campo Largo	1886	Alice, Christina	245
9	Tamandaré	1886	Antonio Prado	124
10	"	1886	S. Venancio	76
11	Tamandaré	1886	S. Gabriela	200
12	Rio Negro	1887	Imbujal	170
13	"	1891	Lucena	1488
14	"	1891	Augusta Victoria	120

N ^o	Municipal- ność	Rok	Kolonja	Osób
15	Palmeira	1890-1892	S. Barbara, Cantagallo, Palmyra, Accioly, S. Matheus, Eufrosina, Rio Claro	8200
16	Ponta Grossa	1892	Euridice, Tacuary, Rio Verde, Botuquará, Ita- iacoca, Guarauna, D. Adelaide, Floresta	613
17	Uniao da Vi- ctoria	1892	General Carneiro	320
	"	"	Antonio Candido	545
	"	1895	Alberto de Abreu	350
18	Lapa	1895	Antonio Olyntho	2800
19	Ponta Grossa	1896	Prudentopolis	8000
20	S. José dos Pinhizes	1896	Santos Andrade	5200
21	Ponta Grossa	1908	Iraty, Ivahy	5531
	"	1909	" "	5409
	"	1910	" "	
22	S. Matheus Guarapuava	1911	Vera Guarany Cruz Machado	9592
23	Guarapuava Prudentopo- lis	1912	Cruz Machado Senador Correia	2874
			Razem	56.892

O liczbie Rusinów mam również wiadomości przypuszczalne, zebrane w konsulacie w Kurytybie. Podobno jest ich 50.000 głów w całej Brazylii. Skupienia rusińskie są: w Prudentopolis (15.000 głów). Kolonja ta leży daleko od linii kolejowej (stacja

Iraty). Tutaj mieszkają ks. bazylijanie z ihumenem ks. Szkirpanem, tutaj wychodzi organ rusiński *Pracia*, wrogi Polakom. W parafji rusińskiej Ivahy (municypjum Ponta Grossa, miasta liczącego razem z okolicznymi kolonjami 20171 mieszkańców) mieszka 300 osób Rusinów. W Itapara i Iraty (okolice Prudentopolis) jest 1000 Rusinów. W kolonjacch Marechal Mallet, Dorizon i Vera Guarany (przy kolei) jest drugie co do wielkości skupienie rusińskie w Paranie, liczy 5000 głów, siedziba księży rusińskich jest w Dorizon. W Cruz Machado (o kilkadziesiąt kilometrów od Marechal Mallet w kierunku Uniao da Victoria) jest około 500 Rusinów. Kolonja Antonio Olyntho nad rzeką Rio Negro (w municypjum Lapa, miasta liczącego z okolicznymi kolonjami 25.677 mieszkańców) ma około 1.500 milionów. Mieszka tutaj jedyny świecki ksiądz rusiński ks. Michalczuk. W kolonji Piranga koło stacji Guajuvira, nieopodal Kurytyby, jest 500 Rusinów.

Słyszałem, że Rusińi są mało kulturalni, pozostają pod wpływem wrogiego dla Polaków duchowieństwa, nie mają wcale świeckich działaczy. Rusińskie siostry służebniczki pracują pod kierunkiem i kontrolą ks. bazyljanów. W styczniu 1921 r. przybył do Parany wysłannik rządu *Ukraińskiej Narodnej Republiki*, niejaki dr. Omełjan

Rosyj, przedstawił się prezydentowi stanu Parana i podobno pertraktował w sprawie 40.000 ukraińców, skompromitowanych wrogą działalnością względem państwa polskiego. Ten Rusin prowadził grę podwójną, przed Polakami udawał Polaka.

Podczas mego pobytu w Paranie bawił tutaj ks. metropolita Szeptycki, oczywiście również w celach agitacji rusińskiej. Niski stan oświaty Rusinów sprzyja ich wynaradawianiu się. Stosunkowo najlepiej dbają o szkolnictwo w Prudentopolis i w Dorizon. Na innych kolonjach trudno mówić o szkolnictwie¹⁾.

W stanie Parana mieszkają przeważnie Brazylijanie biali i kolorowi, pierwsi to potomkowie kolonistów portugalskich; dużo tu murzynów i mulatów; są też Włosi i Niemcy. W dziewiczych lasach kryją się dzicy indjanie.

Stosunek rządu brazylijskiego do Polaków.

Z statystyki brazylijskiej nie można wiedzieć, ilu obecnie Polaków jest w Brazylii. Oczywiście

¹⁾ W stanie Santa Catharina Rusini mieszkają na terenie, będącym przedmiotem sporu między tym stanem i stanem Parana, na t. zw. Contestado w kolonii Itayopolis, adwniej Lucena, w dzielnicy zwanej Iracena, jest tam 2500

nie wiadomo też dokładnie, ilu Polaków jest obecnie w Paranie, Rio Grande do Sul, Santa Catharina i t. d. Polacy figurują w rubryce „różne narodowości“ (15.708 w latach 1835 — 1855), (192.786 w latach 1855 — 1905). Ilu Polaków mieści się w powyżej przytoczonych liczbach — niewiadomo. Wiadomo tylko, że największe liczby emigrantów dały Brazylii kraje: Portugalja, Hiszpanja, Włochy, Niemcy. Już przed wojną liczbę niemieckiej ludności w Brazylii obliczano na 400.000 osób. Polaków w Brazylii jest według obliczeń konsularnych 150 — 200 tysięcy, z czego na Paraną przypadnie przypuszczalnie około 100.000. Rzeczywista liczba może być od obliczeń konsularnych tylko mniejsza, zdaniem wielu Polaków, znawców Parany i innych stanów.

To jest pierwszy stosunek rządu brazylijskiego do Polaków: zaniedbanie statystyki ludności polskiej.

Oczywiście Polacy mogą zechować swą narodowość tylko tam, gdzie żyją zwartemi grupami. Tam, gdzie otoczeni są obcemi narodowościami, skazani są na wynarodowienie. Tego

Rusinów. W Kolonjach Nova Galicia i Jangada jest 1500 Rusinów. W stanie Rio Grande do Sul Rusini żyją w rozproszeniu.

właśnie rząd brazylijski sobie życzy. Polska nie.

Prasa polska w Paranie pisze, że Niemcy czynią ogromne przygotowania, aby swą przewagą zalać całą południową Amerykę. Tyczy się to i Parany.

Parański dziennik *Diario da Tarde* napisał niedawno artykuł z napaścią na urządzone w Araukarji (niedaleko Kurytyby) kursa nauczycieli polskich, którzy pragną wychowywać polską młodzież na synów Polski.

Koloniści Polacy rozproszeni są na olbrzymiej przestrzeni trzech stanów południowych (Parana, Rio Grande do Sul i Santa Catharina).

Czy możnaby wszystkich Polaków skupić w Paranie?

Słyszałem zdanie, że tylko celowa kolonizacja polska mogłaby zaradzić niedogodnościom rozsiedlenia i ocalić przed zanikiem rozbite grupki narodowościowe polskie, osadzone przez rządowe urzędy osadnicze to tu, to tam, a otoczone innymi osadnikami obconarodowościowymi.

Ale zdanie to wygłaszają też i spekulanci, którzy zamiast w głębokich lasach Rio Grande do Sul osadzaliby polskich kolonistów w niedostępnem sertao desconhecido (tereny nieznanne), gdzie za Guarapuawą, obiecując im gruszki na wierzbie—

projektowaną od dziesiątków lat kolej, która ich połączy z innymi osiedlami polskimi w Paranie. Ci spekulanci staliby się zwolennikami masowej emigracji z Polski do owych lasów dziewiczych nad rzeką Igassu, również łączy ronią nad Polakami w północnej Ameryce i Kanadzie, którzy powracają do Polski zamiast dążyć do zdziczenia w lasach parańskich.

Obecnie niech rolnik polski z Rio Grande do Sul i z Santa Catharina sam szuka ziemi w Paranie stosownie do swego upodobania przy drodze głównej do rynków zbytu, przy kolei, lecz niech nie ufa spekulantom, pchającym go w odległe lasy. Kto zaś może, niech z Rio Grande do Sul lub S. Catharina wraca do kraju.

W Paranie szkoły polskie są krępowane przepisami następującej

USTAWY

dla szkół prywatnych obcokrajowych.

Ustawa n-ru 1775 z dnia 3 kwietnia 1918 r.

Art. 1. — Żadna ze szkół prywatnych nie może funkcjonować, nim jej instalacja nie będzie pozwolona i program tejże uznany przez sekretarza Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości i Oświaty.

Art. 2. — W szkołach prywatnych obowiązkowy jest wykład języka portugalskiego a także

i innych przedmiotów w tych miejscowościach, w których rząd uzna to za konieczne.

§ W y j ą t k o w y. — Sekretarzowi Spraw Wewnętrznych, Sprawiedliwości i Oświaty przysługuje prawo, przed zezwoleniem na otwarcie szkoły i podpisaniem programu tejże, sprawdzić przez inspektorów szkolnych, czy dana szkoła posiada nauczycieli, mówiących poprawnie językiem portugalskim.

Art. 3. — Obowiązkiem jest rejestrowanie szkół prywatnych z zaznaczeniem ich siedziby, nazwy przedmiotów wykładanych, z wyszczególnieniem personelu nauczycielskiego i z podaniem nazwiska dyrektora lub osoby odpowiedzialnej.

Art. 4. — Nauczyciele szkół prywatnych obowiązani są przysyłać do sekretariatu stanowego co trzy miesiące wykaz uczniów i uczęszczanie tychże, aby dać dane statystyce.

Art. 5. — W razie niewypełnienia wyżej wymienionego, szkoła podlega czasowemu zamknięciu, a nauczyciel pozbawiony prawa prowadzenia szkoły podobnej w obrębie Stann.

Ustawa zaś n-ru 2005 z dnia 9 kwietnia 1920 roku, podaje dodatkowo:

Kongres Ustawodawczy stanu Parana wydał i ja zatwierdzam następującą ustawę:

Art. 1. — Szkoły obcokrajowe prywatne, które funkcjonują w stanie, są obowiązane nauczać w języku miejscowym: historii Brazylii, geografii Brazylii i języka portugalskiego, zgodnie z programem naukowym urzędowym.

Art. 2. — Wykłady tych przedmiotów powinny trwać przynajmniej trzy godziny dziennie.

Art. 3. — Na żądanie szkoły obcokrajowej Rząd może zamianować nauczyciela normalistę celem objęcia i wykładania tych przedmiotów bez ciężaru dla szkoły, przyczem odnośny nauczyciel będzie uważany za funkcjonariusza publicznego.

Art. 4. — Odwołuje się zarządzenia przeciwnie.

Pałac Prezydenta stanu Parana, dnia 9-go kwietnia 1920. — 32 Republiki.

Caetano Munhoz da Rocha.

Marins Alves de Camargo.

Ogłoszono w sekretarjacie stanu dla spraw wewnętrznych, sprawiedliwości i oświaty dnia 9-go kwietnia 1920 r.

Dyrektor Główny — *Joao Luiz.*

(Ogłoszono w *Diario Official* — Estado do Parana, № 3074 z dnia 24 kwietnia 1920 r.)

Warto również zapoznać się z danymi, dotyczącymi się ustawy nauki, które podają w tłoma-

czeniu z *Codigo do Ensino do Estado do Paraná*.

Nadzór — Inspektor obowiązany jest odwiedzać szkoły prywatne sam lub posyłać w imieniu swoim zastępców, którzy winni sprawdzić: a) czy w szkole tej czas jest dobrze rozłożony i użyty do nauki różnych przedmiotów; b) czy wiernie przestrzegany jest program nauki; c) czy przyjęte są książki, metody, metody i instrukcje pedagogiczne polecane; d) czy udziela się nauki w sposób celowy dla urobienia charakteru w uczniach, by mogli orjentować się w życiu praktycznym; e) czy nauczyciel jest punktualny i czy wypełnia sumiennie swoje obowiązki; f) czy jest przestrzegany porządek w szkole; g) czy zachowanie się nauczyciela względem uczniów nie jest naganne itd. itd.

II. — W każdej szkole winna znajdować się książka, w której inspektor pomieszcza swoje spostrzeżenia, tyczące się danej szkoły.

VII. — Propagowanie nauki: a) Pozwala się zarządom municypalnym współpracę w zwalczaniu analfabetyzmu, w zakładaniu szkół prywatnych i w razie potrzeby subwencjonowanie ich.

Art. 105. — Nauczyciele, nie posiadający dyplomu szkoły normalnej, są prowizoryczni i efektywni. Kandydat na nauczyciela prowizoryczne-

go musi otrzymać nominację od prezydenta stanu za pośrednictwem sekretarjatu, przedstawiając:

1. — Dokument legitymacyjny, stwierdzający, że posiada 18 lat.

2. — Świadcstwo zdrowia, moralności, świadectwo, stwierdzające umiejętność czytania i pisanja, oraz znajomości arytmetyki, geografji i historii Brazylii.

Art. wyjątkowy dla szkół prywatnych:

1. — Wszystkie szkoły prywatne podlegają następującym przepisom:

1. — Każdorazowe otwarcie i zamknięcie szkoły winno być zakomunikowane sekretarjатовi spraw wewnętrznych;

2. — Nauka geografji Brazylii, historii Brazylii i języka portugalskiego.

3. — Nauka gimnastyki, śpiewu a przytem hymnu narodowego.

4. — Przestrzegać warunki higieniczne danej szkoły.

5. — Dostarczać sekretarzowi spraw wewnętrznych wykazu statystycznego danej szkoły.

6. — Posiadać specjalny dziennik, wykazujący uczęszczanie uczniów.

7. — Dostarczać sekretarjатовi informacji: następujących: — dzień instalacji szkoły, nazwis-

ko, stan i narodowość nauczyciela, program nauki i liczbę lekcji.

§ Wyjątkowy. — W sekretarjacie znajduje się książka, służąca wyłącznie do rejestrowania danych o szkołach prywatnych. Rząd pozwoli na otwarcie kursu dla dorosłych, jeżeli kursy te podlegać będą inspekcji rządowej.

Zamknięciu podlegaszkola, w której: a) nie wykłada się teoretycznie i praktycznie języka portugalskiego; b) w której popełniają się czyny niemoralne; c) jeżeli wykłada się lekcje tendencyjne, aby zakłócić spokój publiczny.

Przy tej sposobności przytaczam wyjątek z artykułu pomieszczonego w n-rze 7 „Świtu“ z 1920 r. pod tytułem: „O szkole polskiej“.

„Rząd daje zapomogę 70 milrejsów tym szkołom prywatnym, które należycie wykonują prawo obowiązujące o języku brazylijskim, to jest gdzie nauczyciel wykłada język portugalski, historję i geografję Brazylii po portugalsku“.

Rząd brazylijski stara się o wynaradawianie Polaków, stopniowo rozszerza się w Paranie naganka na Polaków, pojawiają się w prasie artykuły przeciw działalności oświatowej polskiej, zamykane są szkoły prywatne, Brazylijanie podnoszą alarmy z powodu „polskiego niebezpieczeństwa“.

Wprawdzie podane wyżej przepisy rządowe parańskie *) co do szkół prywatnych obcokrajowych przyznają prawo szkole prywatnej żądania nauczyciela brazylijskiego, normalisty, płatnego przez rząd dla wypełnienia prawem wymaganej nauki języka portugalskiego, ale takich nauczycieli brak, więc Brazylijanie przeciwni są wogóle istnieniu polskich szkół prywatnych.

Wydano też dodatkowy przepis, że nauczyciel cudzoziemiec może nauczać pod warunkiem, że zda egzamin jako nauczyciel prowizoryczny w języku portugalskim z przedmiotów, których nauka jest obowiązująca w szkole początkowej.

I tu powstają trudności. Z ludzi, którzy zajmują się nauczaniem w szkołkach polskich,

*) Szkolnictwo prywatne w Paranie przed wojną nie znało żadnych ograniczeń prawnych. W czasie wojny jednak pod wpływem potężniejszego coraz bardziej nacjonalizmu, zaczęto szkoły cudzoziemskie: polskie, włoskie, niemieckie i t. d. coraz bardziej krępować a w poszczególnych wypadkach zamykać. Najbardziej uciążliwym był przepis, żądający wykładania w szkole języka portugalskiego, historii i geografii Brazylii, wszystko po portugalsku przynajmniej przez trzy godziny dziennie, począwszy od pierwszego roku nauczania. Ten wysoce niepedagogiczny przepis zablżał szkolnictwo polskie w Paranie. Nowe prawo z d. 7 kwietnia 1922 r. stawia tę sprawę na bardziej racjonalnym gruncie.

bardzo niewielu może zadowolnić te wymagania z powodu niedostatecznej znajomości języka. A prawo jest prawem...

Niemcy w Brazylii odzyskują wpływy i sympatię Brazylijan i starają się ją wyzyskiwać na niekorzyść Polaków.

Społeczeństwo brazylijskie w Paranie wprost jest zdania, że Polak tu urodzony nie powinien, jeśli nie mówić, to uczyć się po polsku, a opinia taka rozszerza się i może pociągnąć ze sobą rząd.

Optymistyczne zapatrywanie w Polsce na sprawę szkolnictwa polskiego w Paranie popierałoby tylko emigrację Polaków z ziemi ojczyściej. Po co? Czy w celu osłabienia Polski?

Według wykazów statystycznych, liczba alfabetów dosięga w Brazylii 80 proc. mieszkańców. I taki kraj tamuje rozwój szkolnictwa polskiego w Paranie! A szkolnictwo to posiada obecnie załędwie jeden zakład średni, usiłujący kształcić nauczycieli, mierników, pomocników handlowych i biurowych w Marechal Mallet, w odległości około 300 kilometrów od Kurytyby.

Polacy w Brazylii teoretycznie są na stopie zupełnej równości z Brazylijanami wobec praw brazylijskich. Związkowa konstytucja zapewnia Brazylijanom i cudzoziemcom, którzy mieszkają w kraju, nietykalność „praw wolnościowych“, bez-

pieczeństwo „osoby i majątku“. O ile Polak pozostaje Polakiem, nie służą mu prawa polityczne. O ile po odpowiednim okresie czasu, przewidzianym przez prawo, uzyska naturalizację brazylijską, służą mu prawa polityczne z wyjątkiem „wyboru na prezydenta lub wiceprezydenta Rzeczypospolitej“.

Nie potrzebując się naturalizować, Polacy mogą swobodnie wyznawać religję, jakiegokolwiek wyznania, urządzać zgromadzenia religijne, nabywać w tym celu własności ruchome i nieruchome.

Polacy mają prawo stowarzyszania się, swobody słowa, krytykowania nadużyć władzy, żądania ukarania winnych, swobody powrotu do ojczyzny ze swym majątkiem (w czasie pokojowym), gdyż „Brazylijanie i cudzoziemcy są równi przed prawem“, stosownie do konstytucji.

Mieszkanie prywatne jest nietykalne: nawet najbiedniejszy jest królem w swej chacie. Nie wolno nikomu tam wejść bez zgody właściciela, nawet policji z wyjątkiem niektórych, przewidzianych przez prawo, przypadków.

Schwytany na gorącym uczynku przestępstwa może być zaaresztowanym tylko po wydaniu nakazu przez sąd, — i tu przewidziane są przez prawo pewne wyjątkowe przypadki.

Nikt również nie może być więziony bez wytoczenia mu procesu, z pewnemi prawnemi wyjątkami. W przypadkach, w których prawo przewiduje złożenie kaucji, każdy, prowadzony do więzienia lub zatrzymany w więzieniu, może z tego skorzystać i odzyskać swobodę. Prawo daje oskarżonemu najszerszą możliwość obrony. *Nota de culpa* musi być doręczona uwięzionemu w ciągu 24 godzin po uwięzieniu, musi być podpisana przez odpowiednie władze i zawierać nazwisko oskarżonego, świadków, oskarżycieli i dowody.

Jaknajszersze prawo własności jest zapewnione cudzoziemcom, z wyjątkiem wypadków wyłączenia dla celów użyteczności publicznej za odpowiedniemi odszkodowaniem.

Tajemnica korespondencji jest nienaruszalna. „Habeas corpus” broni też przeciw nadużyciom władz.

Prawa cywilne, karne i handlowe nie znają żadnej różnicy między cudzoziemcem a krajowcem.

Oświata publiczna jest świecką. Cmentarze są świeckie. Każda religja jest wolna, tolerowana przez prawo, o ile nie obraża moralności i prawa. Żadne publiczne wyznanie lub religja nie może mieć poparcia władz, ani być w stosunku

zależnym od rządu federalnego lub stanowego. Brazylja zna tylko małżeństwo cywilne, bezpłatne. Wyznawcy różnych religij mają prawo zawierania małżeństw według swych obrządków.

Posiada więc Brazylja konstytucję liberalną wobec cudzoziemców, jak żadne inne państwo.

Konstytucja nie wywiera najłżejszego nacisku na cudzoziemców do przyjmowania obywatelstwa brazylijskiego; — w życiu jednak bywa trochę inaczej, jak to zaznaczyliśmy, pisząc o szkolnictwie polskiem w Paranie.

Z kraju antypodów.

Pomimo najliberalniejszej w świecie konstytucji Brazylja jest krajem antypodów. Prawo jest tutaj często interpretowane w sposób komiczny. Przedstawiciele prawa sprawiają wrażenie przedstawicieli prawa — w operetce. Wśród gór i lasów, wśród pierwotnych warunków bytu, zdaleka od cywilizowanego życia, daremnie szukałbyś „stróżów porządku publicznego“ w znaczeniu europejskiem.

Spory sąsiedzkie wśród kolonistów i miejscowej ludności różnokolorowej (caboclos) nie bywają załatwiane po europejsku. Europa daleko. Tutaj step, las. Policjant często gra rolę sędzie-

go. Kolonista, któremu było sąsiada robi szkody w polu kukurydzy lub żyta, zniecierpliwiony chwyta broń, strzela na postrach i trafia w... krowę sąsiada.

Co czynić w takim wypadku?

Ha, prosić dwu sąsiadów, aby ocenili wartość krowy i zapłacić.

— Zdarzyło mi się — opowiada mi p. S., doskonały znawca stosunków parańskich; mieszkający tutaj od lat 20 — uczestniczyć w takiej sprawie. Poradziłem zabójcy krowy, aby tak uczynił. Wahał się. Po pewnym czasie, wobec zwrócenia się poszkodowanego do policji miejscowej sprawca chciał uniknąć sprawy sądowej, i załatwić zatarg polubownie. Prosił mnie, abym pojechał do komisarza policji. Pojechałem. Komisarz, caboclo, nie umiejący pisać i czytać, zawezwał sekretarza swego, który pokazał mi cały tom aktów zapisanych w sprawie zabicia krowy. Koszta tego postępowania sądowego policjanci obliczyli na 400 milrejsów.

— Ho, ho, my z niego ściągniemy te pieniądze! — wołali.

Zwróciłem im uwagę, że nic im z tego nie przyjdzie, o ile sprawca nie będzie chciał zapłacić, gdyż ich obowiązkiem było wezwać dwu kolonistów, ocenić wartość krowy i zażądać, aby spraw-

ca zapłacił. Zgodzili się wreszcie na moje zdanie. Pojechali do sprawy. Oceniono krowę na 60 milrejsów, które zabójca krowy zapłacił. Policjantom dał, po długim targu 40 milrejsów, z czem odjechali, zadowoleni zresztą, że się tak skończyło.

Zaareztowano raz kolonistę również za postrzelenie cudzego bydłęcia. Przychodzi do mnie syn kolonisty, pytając: co czynić?

— Zażądać uwolnienia ojca, bo komisarz nie miał prawa areztować — odpowiadam.

Syn razem ze swym towarzyszem, sąsiadem, poszli do posterunku policji, jeden z nich schwycił posternnkowego na warcie przed arestem i przytrzymał. Zaareztowany wyniósł się czempędzej z areztu.

A dalej co czynić? — pytają mnie. Poradziłem, aby siedzieli w domu i nie wpuścili policji, na mocy prawa nietykalności ogniska domowego, zabraniającego wstępu nawet policji. Wkrótce przed domem zjawił się komisarz z kilku policjantami pod bronią.

— Otwórz i daj się areztować! — wołają do kolonisty.

— Nie, nie masz prawa wstępu do domu, będziesz się wdzierał, to dostaniesz kulę w łeb — wołają obłączeni.

— Ależ moja powaga władzy na tem cierpi. Popełniliście gwałt na policji, uwolniliście gwałtem uwięzionego z aresztu. Cóż powie na to wyższa władza? Daj się aresztować, bo mój *prestige* urzędowy jest zgubiony! — woła komisarz policji.

Zaczęły się układy. Kolonista zażądał słowa honoru, że nic mu się nie stanie. I udał się z komisarzem do aresztu, poczem natychmiast go opuścił. Wilk syty i owca cała. Sprawa na tem się zakończyła, powaga władzy nie ucierpiała.

Jeden z kolonistów przywiózł z sobą z kraju szczotki do czesania lnu. Wtedy jeszcze nikt nie uprawiał tutaj lnu. Kolonista wyrzucił te szczotki z domu na drogę jako niepotrzebny sprzęt. Podniósł je sąsiad i schował.

Uplłynęło lat kilka. Zaczęto wtedy próby uprawy lnu. Powiodły się. Przemysłny, oszczędny sąsiad miał szczotki do czesania lnu. Pierwotny właściciel szczotek zapalał zemstą.

— Jakto on ma moje szczotki, które przywiozłem z Polski okrętem, a ja nie mam, to kryminał. Ja mu pokażę!

Zaczęli się kłócić. Poszli do komisarza policji. Dwaj się kłócili, trzeci skorzystał. Kazał każdemu zapłacić po 50 milrejsów kary. Zapłacili.

— Pokazałem mu — wołał oskarżyciel — zabrał mi szczotki, ale nie uszło mu na sucho, zapłacił 50 milów. To go oduczycy od zabierania cudzej własności. I mnie to kosztowało, ale mu pokazałem!

A policjant, caboclo, śmiał się z tej sprawiedliwości na stepie.

W Paranie prawem jest często rewolwer. Każdy go nosi. I on lepiej broni, niż policja i sądy. To też tamtejsi opryszkowie więcej obawiają się samoobrony napadniętych, niż policji i sądów. Skoro uda im się dokonanie napadu na kolonistę, popełnią grabież, zabójstwo, czmychają w lasy i wówczas — szukaj wiatru w polu.

Podczas podróży po lasach i górach przy pierwszym podejrzeniu napotkanych nieznajomych o złe zamiary podróżny strzela w górę na postrach. — Niech wiedzą, że nie jestem bezbrony, że potrafię obronić swe życie i mienie.

Sprawy sądowe, obrona adwokacka — to rzeczy kosztowne w Paranie. Zabawna rzecz! koszty sądowe i adwokackie ściągane są z pozwywającego, nietylko wtedy, gdy pozwany nie może ich zapłacić, ale nawet, o ile się uda, od obydwu stron. To też nikt z pretensją nie udaje się do sądu. Ktoś mi jest winien 1000 milrejsów

i nie chce zapłacić. Udam się do sądu, wezwę adwokata, bo bez adwokata nie można wnieść sprawy. Ale skazany nie zapłaci, więc koszty sądowe i adwokata np. 1200 milrejsów muszę zapłacić. W rezultacie moja strata wynosi 2200 milrejsów. Wobec takich okoliczności często Brazylijanie dla poszukiwania długów używają pomocy policyjnej. Sądy omijają.

Oczywiście mimo wszystko nie obywa się bez spraw sądowych, lecz tylko w takich wypadkach, gdy chodzi o wielkie sumy; wielkie też są koszty stron procesujących się, olbrzymie zarobki adwokatów, słuszna sprawa nie zawsze wygrywa.

W Brazylii biurokracja, która rządzi, jest interpretatorką prawa i wolności republikańskiej. Oczywiście nie jest zbyt surową interpretatorką dla republikanów, którzy ją popierają. Stronnictwo przeciwne — opozycja, która chce dojść do władzy politycznej, jest wrogiem warstwy rządzącej biurokracji. W walce nie przebiera się w środkach. Temida ma zawiązane oczy dla przeciwników, stronników opozycji. Sprawiedliwość przybiera wtedy często formy operetkowe.

Ktoś, znany ze swego dobrego nastroju dla sfery rządzącej biurokracji, jest np. aptekarzem. W osadzie, w której mieszka i prowadzi interesy handlowe, korzystne, nie myśląc wcale o apte-

karstwie, brak apteki. Władza wydaje prawo (*lei*), że wobec braku apteki i w celu zaradzenia tej potrzebie ludności, p. X. aptekarz z zawodu (w istocie kupiec) otrzymuje prawo założenia apteki i uwolniony jest od opłat podatkowych. Gdyby zaś ktokolwiek inny założył aptekę, opłaca 400 milrejsów rocznie. Dziesiątki lat upływają, p. X. aptekarz z zawodu, nie myśli o założeniu apteki, choć ma prawo; nikt inny jej nie usiłuje założyć, nie chcąc płacić wysokiego podatku. A *lei* zostało wydane — dla dobra ludności.

Słyszałem o drugim *lei*, wydanem w celu przyścia z pomocą niezamożnej ludności, potrzebującej bezpłatnych lekarstw. W tym celu władza przyznała p. Y., aptekarzowi, czynnemu czy bezczynnemu — nie pamiętam, — 500 milrejsów subsydjum rocznie. Żaden z kolonistów i innych mieszkańców nietylko nie widział, ale nawet nie żądał bezpłatnego leku w tej okolicy, a jednak 500 milrejsów wypłacano — dla dobra ludności. Kto słyszał o takiej interpretacji prawa w Europie?

W kraju antypodów bywają też wypadki antyeuropejskiej etyki adwokackiej.

W banku X. urzędnik X. popełnił malwersację na sumę 100 000 milrejsów. Grozi mu odpowiedzialność sądowa. Z tego powodu przychodzi do swego brata, adwokata.

— Słuchaj, brak 100.000 w kasie banku...

— Czy mógłbyś jeszcze zwiększyć brak o drugie 100.000 — odpowiada brat adwokat.

— Mogę.

— Zrób to i przyjdź do mnie.

Skoro się to stało, adwokat udaje się do dyrektora banku X.

— Stała się rzecz przykra, mój brat przez lekkomyślność naraził bank na straty, chcę pokryć choć połowę niedoboru własnymi pieniędzmi. Oto 100.000 mil., o ile sprawa będzie zatuszowana.

Dyrektor nie lubił spraw w sądzie brazylijskim i zatuszował sprawę.

Buduje się kościół. Ksiądz powierzył budowę przedsiębiorcy. Budowa skończona. Przedsiębiorca wydał 12000 milrejsów, dane mu na budowę kościoła, w ten sposób, że tylko na sumę 5000 milrejsów ma kwity od dostawców i robotników. Pozostałych wydatków na 7000 milrejsów nie może usprawiedliwić żadnymi kwitami i dowodami.

Ksiądz upomina się o 7000 milrejsów.

Sprawa sądowa.

Przed sprawą adwokat księdza przychodzi do przedsiębiorcy.

— Słuchaj — powiada — ja znam twoją sprawę. Ty ją wygrasz. Ja ci jutro przyniosę

dwa wypisy: jeden wydatków na sumę 7000 milrejsów, drugi na sumę 5000 milrejsów. Sędziemu pokażesz tylko pierwszy wypis.

Posiedzenie sądu. Ksiądz oskarżyciel siedzi obok sędziego. Ile wydałeś na budowę kościoła?— pyta sędzia oskarżonego. Ten przedstawia wypis na 7000 milrejsów. Czy ksiądz zgadza się na te wydatki? — zapytuje sędzia, podsuwając papier. Ksiądz kiwnął głową, myśląc, że choć 5000 milr. odbierze od oskarżonego przedsiębiorcy. Sprawa skończona. Oskarżenie upadło. Po sprawie ksiądz żąda zwrotu 5000 milrejsów. Przedsiębiorca przedstawia mu wypis drugi wydatków z kwitami i dowodami. Tableau.

Adwokat księdza, dobrze zapłacony przez obydwie strony, śmiał się z takiej rozprawy sądowej w duchu i nazywał się „sprytnym adwokatem“.

Popieranie handlu, przemysłu miewa również epizody, utrudniające handel i przemysł, o ile w grę, oczywiście, nie wchodzi wielkie kapitały, oraz zasada „kto smaruje, ten jedzie“. Ale w różnych handlach i przemysłach różne opłaty i podatki stanowe, municypalne i t. d., przywozowe, wywozowe, są tak niespodziewane, nieobliczalne, że są wprost zaprzeczeniem „popierania handlu i przemysłu“.

Do Antoniny wchodzi handlarz uliczny, syryjczyk, niosąc na ramieniu swój towar sukienny, wełniany, czy płócienny. Spotyka go przedstawiciel władzy.

Pozwolenie na handel od municypium Antoniny? — pyta.

Ile kosztuje? — pyta syryjczyk.

Po 20 milrejsów dziennie, płatne za tydzień z góry.

Ależ, mam wszystkiego tylko 20 milrejsów przy sobie — woła syryjczyk.

Prawo rzeczone oczywiście wydano dla poparcia miejscowych kupców w Antoninie; korzystając z tego przychylnego prawa, obdzierają oni mieszkańców, sprzedają drogo.

W pewnej miejscowości brak było mąki mandjokowej. Niektórzy mieszkańcy dla zaradzenia temu urządzili jakieś prymitywne młyny mąki mandjokowej.

— Przemysł! — zawołała miejscowa władza. I nałożyła takie podatki na te domowe urządzenia, że mieszkańcy wyrzekli się spożywania mąki mandjokowej.

Według konstytucji, zgromadzenia religijne mają prawo nabywać własność ruchomą i nieruchomą. A więc kościół katolicki, zbudowany na gruncie, będącym własnością danego stowarzy-

szenia, jest jego własnością. Gdzież tam! I tu praktyka życiowa bywa często inna. Spory, za-targi zgromadzeń religijnych z biskupami nie są rzadkością. A tymczasem konstytucja jest jasna.

Ale życie jest inne, bo to kraj antypodów. Brak miejsca na więcej podobnych obrazków z tego kraju. Możliwy jest zapisanie całego tomu.

Przez góry i lasy.

Zimowe słońce w Kurytybie pali silniej, niż lipcowe promienie słoneczne w Polsce. Z placu Tiradentes, na którym wśród palm wi-dać niewielu przechodniów, wspinam się ulicą Rosario na Avenida dr. Jayme Reis ku ruinom dawnego klasztoru jezuickiego. Poczerniałe, opa-dłe z tynku cegły świadczą o dawnej potędze tego zakonu wśród indjan „*guarani*”. W siedemnastym stuleciu hiszpańscy jezuici chcieli Paragę zamie-nić na raj ziemski. Nie udało im się zwalczyć swych przeciwników, dzikich mameluków, mię-szańców krwi portugalskiej z indyjską. Upadło państwo jezuicko-indyjskie. „Raj ziemski”, Pa-rana, opustoszała i zdziczała.

Minąwszy mury, pełne wspomnień, kroczę drogą błotnistą, pełną wybojów i rozmokłej, czer-wonawej gliny. Wśród ciemnej zieleni drzew i krzewów widzę dom O. O. Misjonarzy, dalej

jakąś elegancką willę o białych, eleganckich kruzgankach, potem co kilkadziesiąt kroków *wendę*. Słońce pali, więc przejść można po bokach drogi; podczas deszczu zapadają się tutaj wozy. Na skargi mieszkańców władze w Kurytybie odpowiadają stale: „*patientia*“.

Na uboczu od drogi widzę wśród ogrodu faziendę p. Sebastjana Edmunda Saporskiego, zwanego ojcem kolonizacji polskiej w Paranie. Postanowiłem go odwiedzić.

Wchodzimy do domu, pytając się o gospodarza. Wyrostek, Brazylijczyk, melduje nas t. j. mnie i redaktora „Ludu“, ks. Piaseckiego. Oczekujemy kilka chwil w saloniku. Spostrzegam na ścianie fotografie: jedna przedstawia młodzieńca o łagodnych, kształtnych rysach twarzy, o oczach idealisty; druga — twarz cudzoziemki w wieku starszym, pełną życia, miłą twarz energicznej Brazyljanki o cerze ciemniejszej, spalonej słońcem, zawsze złotem. Wchodzi gospodarz p. Saporski, mężczyzna lat około 80, czerstwy, opalony, ze zmarszczkami na twarzy, o cerze zdrowej, ciemnowej, taki żywy i pełen temperamentu, jakby miał o połowę mniej lat. W oczach ten sam idealny wyraz, jak na fotografii, chociaż krzaczaście brwi i siwa czupryna zmieniają nieco ten wyraz. Wchodzi gospodyni domu, której p. S.

nas przedstawia, nie mówi ona ani słowa po polsku, tak samo dzieci i wnuki p. Saporskiego. Na stole zjawia się butelka domowego, doskonałego miodu. W oczach młodzieńczego starca widać odbłask minionej młodości, którą ma nam opowiedzieć. Słuchamy z niezwykłym zajęciem opowiadania, godzina upływa po godzinie jakby chwil kilka.

— Dziwnym jest człowiek. Bywa i tak, że mieszka w kraju skalistym, neurodzajnym. Życie idzie mu ciężko, jak po grudzie. A jednak przywiązany jest do swej ojczyzny i nie porzuciłby jej dla innych krajów o klimacie, nie znającym śniegów, mrozów, o roślinności bujnej, przepięknej, o glebie urodzajnej, niebie pogodnym, słońcu złotem...

Zbudziła się w p. S. dusza młodzieńcza. Jako młodzieniec, urodzony na Górnym Śląsku (w wiosce Siodkowice pod Opolem), dość słabego zdrowia, marzył o krajach słonecznych, w których, jak myślał, stałby się zdrowym. Ojczyste strony miały swój urok, ale panował w nich ucisk niemieckiej ojczyzny. Dzisiaj wolni górnoślązacy umieją patrzeć na ojczyste wzgórza innemi oczyma, bo zmieniły się warunki polityczne, bo Polska odzyskała wolność; nie porzuciliby jej dla Brazylii. Za czasów p. S. ucisk polityczny dawał się we znaki, nasuwał myśli o życiu w kraju wolnym,

którą wydawała się Brazylja. Taki był moment psychologiczny, który skłonił p. S., urzędnika administracji pocztowej, do wyjazdu z ojczystego kraju.

Przybył do Brazylji — do portu Itajahy nad Atlantykiem, przez który szła wówczas fala kolonizacji niemieckiej, zaludniającej Blumenau i inne okolice stanu Santa Catharina. Wśród kolonistów Niemców byli już tutaj i Polacy z zaboru pruskiego, traktowani przez otoczenie jak Niemcy. Widok tej germanizacji Polaków na brazylijskiej ziemi w stanie Santa Catharina, skłonił p. S. do zebrania wiadomości o Paranie. Tam nad brzegami rzek Iguassu i Rio Negro lepiej byłoby polskim kolonistom. Wspólnie z ks. Antonim Zielińskim, proboszczem parafji S. Pedro d. Apostolos i Blumenau podał prośbę do cesarza Pedra II o pozwolenie osiedlania się Polaków w Paranie. Jednocześnie wiedząc, że w Polsce pod Częstochową w Białej Górze jest 16 rodzin, chętnych do wyjazdu do Brazylji, po porozumieniu z nimi, wskazał je w swej prośbie jako pierwszych osadników polskich. Cesarz brazylijski udzielił pozwolenia.

Szesnaście rodzin polskich nie wiedziało nic o tem, że mogą osiedlić się w Paranie. Przybyły do Brazylji przez port Itajahy i zamieszwały się

w fali kolonizacji niemieckiej. Osiedlono je w kolonji Brusque, dając t. zw. Sexteenlots (16 lotów). Po nich przybyło nowych 16 rodzin polskich, które umieszczono początkowo w barakach emigracyjnych w tejże kolonji Brusque. Oczywiście kierownicy kolonizacji niemieckiej nie chcieli nic słyszeć o osiedleniu się tych Polaków w Paranie. P. Saporski musiał dostać się do swych rodaków potajemnie, przedarł się do nich przez lasy, zamieszkałe przez dzikich indjan, botokudów, przyniósł im wiadomość o Paranie. Zgodzili się na przeniesienie się tam. Trzeba było znów prosić cesarza Pedra II o przejazd i loty dla 32 rodzin polskich, osiedlonych w Brusque. P. S. udał się z prośbą o to do Rio de Janeiro i uzyskał pozwolenie cesarskie. Nie czekając na urzędową odpowiedź z Rio, obawiając się przytem, że hakatyści Niemcy z Blumenau będą się starali zahamować wypełnienie rozporządzenia cesarskiego, p. S. poradził swym rodakom, aby przedarli się do Parany, co też uczynili, wędrując długo, prawie rok, nad brzegiem Atlantyku i dalej lądem w kierunku Kurytyby, przechodząc różne przygody nad morzem i w lasach dziewiczych, znosząc największe przykrości i braki w kraju dzikim. Nie zdołali ich Niemcy i urzędnicy brazylijscy, sprzyjający Niemcom, nawet dzicy botokudzi powstrzymać

w tej wędrowce przez góry i lasy. Pan Sapor-ski zawczasu przed nimi pojechał do Parany i tu-taj w Kurytybie, „stolicy“ stanu (była wówczas małą wioską) usiłował przekonać rząd parański i inteligencję brazylijską, nieliczną wówczas, o korzyści osiedlenia się Polaków w Paranie. Pomimo przeszkód, stawianych przez hakatystów Niemców, których nie brak było i w Kurytybie, pomimo nieprzyjaznego usposobienia dla Pola-ków ówczesnego prezydenta stanu Parana, zdołał p. Sapor-ski osiedlić 32 rodziny górnoślązaków na gruntach miejskich w Kurytybie. Urzędowa statystyka zaznacza to wzmianką: „Curityba 1871 pessoas (osób) 164“ (vide statystyka w rozdziale poprzednim).

Taki był początek kolonizacji polskiej w Paranie.

W końcu r. 1873 i w 1874 r. osiedliło się 64 rodzin polskich w kolonji Abranches pod Kurytybą. W latach 1875—6 powstały w obwodzie Kurytybskim kolonje: S. Ignacio, Orleans, S. Pedro, Riviere, D. Augusto, Thomas Coelho, Lamenha, S. Candida. Już jako geometra p. Sa-porski pracował przy pomiarach tych kolonij.

Liczba osadników Polaków pod Kurytybą zwiększała się. Po wielkich falach emigracyj-nych lat 1889 — 1892 z Królestwa Polskiego

i 1895 r. z Galicji Wschodniej, z których pewna część wychodźców polskich dotarła pod Kurytybę, można rachować ludność polską w dalszych i bliższych okolicach Kurytyby na kilkadziesiąt tysięcy. P. Saporski, inicjator i wykonawca tej pracy kolonizacyjnej, zwany jest słusznie ojcem kolonizacji polskiej, gdyż na tej kolonizacji nie zarabiał, lecz liczną swą rodzinę utrzymywał z prac mierniczych u Brazyłjanów. Wielkiego majątku nie zrobił, ma pewien dobrobyt w swej niewielkiej posiadłości pod Kurytybą. Idealista— jak mówią z przekąsem ludzie, którzy na kolonistów polskich patrzyli i patrzą jak na środek do zdobycia wielkiego majątku, ludzie nieczuli na cierpienia i łzy, ludzie z patryotycznymi frazesami na ustach, w duszy zaś samoluby, twardzi, jak skały. A takich Parana miała i ma jeszcze. Podczas rewolucji federalistycznej w Brazylii (r. 1893) p. S. redagował „*Gazetę Polską w Brazylii*“, jedyne ówczesne pismo polskie w Kurytybie, redagował ją umiarkowanie, z pożytkiem dla Polaków. W r. 1896 uczestniczył w polskiej spółce kolonizacyjnej, która jednak nie miała powodzenia, gdyż wymierzone tereny nie umiała sama osiedlić polskimi kolonistami. Popierał też materialnie towarzystwa polskie w Kurytybie, usiłował również zawiązać stosunki handlowe Polski

z Brazylią. Poślem do kongresu stanowego nie został, chociaż zwolennicy stawiali jego kandydaturę. Pozostał dobrym Polakiem, chociaż rodzina jego to już Brazyljanie.

Z baraków w Brusque i z Sixteenlots w lasach dziewiczych stanu Santa Catharina wyprowadził p. Saporski pierwszych Polaków do nowej Ziemi Obiecanej, do Parany. Wyprowadził ich z podzwrotnikowych lasów, podszytych nieprzebytą bez noża gęstwiną krzewów i ljan, wśród których żyły dzikie zwierzęta i dzicy indjanie, bugrzy. W gęstwinie lasu dziewiczego, pośród zmij i innych dzikich zwierząt, nie chcieli Polacy pozostać, patrzyli z goryczą na te lasy, mające być ich całym majątkiem. Przedstawiali sobie Brazylję w całkiem innem świetle, ze skarbami złota, srebra, drogich kamieni. W lesie nie było gdzie spać, ulewy i nawałnice czyniły grunt wilgotnym, nie było się czem przykryć, bo w drodze w morze powrzucali swe kożuchy. Zmuszeni byli szukać żywności zdala od swych „łótów“, bo nie zdążyli jeszcze wytrzebić lasu na przeznaczonych im przestrzeniach, zasiać, zasadzić coś na gruncie i żyć z owoców swej pracy. W razie skargi na brak żywności lada pacholek rządowy, pisarz lub tłumacz wiązał do słupów ludzi, aby na słonecznym upale znosili katusze przez

kilka godzin, bił ich nielitościwie. Z takiego życia w lasach w Santa Catharina nad brzegami rio Itajahy, wyprowadził p. Saporski pierwszych Polaków do Kurytyby w Paranie przez góry i lasy.

Rzut oka na przeszłość kolonizacji polskiej.

Dzisiaj w bliższych i dalszych okolicach Kurytyby, miasta dość zaludnionego, jest kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Dzisiaj w odległości 24 kilometrów od Kurytyby jest Araucaria, duża osada polska przy stacji kolejowej, dobrze zagospodarowana. Dalej Polacy mieszkają w kolonjach Thomas Coelho, Orleans, Abranches, Candida, Lamenha mała, Lamenha duża, Pacataba, Alfonso Penna. W tych oto miejscowościach jest dużo Polaków, tutaj głównie krzewi się żywioł polski. Taka kolonja Thomas Coelho przez 40 lat skolonizowała całe municypjum Araucaria i poważne części Campo Largo oraz Lapa (jedno z najstarszych miast Parany, liczy razem z okolicznymi kolonjami 25677 mieszkańców).

Stosunkowo najmniej zawodów i cierpień znieśli Polacy w tutejszej kolonizacji. W Kurytybie mieli zawsze trochę inteligencji polskiej, która się nimi opiekowała jako tako, dawała wskazówki. Od roku 1891 przybywali tu księża,

nauczyciele, właściciele posiadłości ziemskich, kupcy, przemysłowcy, technicy, oczywiście nieliczni. Po roku 1905 bojowcy-socjaliści. Obecnie jest i paru lekarzy, aptekarzy, trzy pisma tygodniowe, nawet miesięcznik satyryczny. Na ten postęp złożyło się całe pół wieku, okres długi nie tylko w życiu ludzkim, lecz i w życiu kolonji wychodźczej. O tym postępie będę pisał dalej, obecnie interesuje mnie tylko ilość tych ofiar, jakie poniosło wychodźstwo polskie do Parany.

W okolicy Kurytyby napływali rolnicy, robotnicy, rzemieślnicy. Tym pierwszym oczywiście życie początkowe dawało najmniej zawodów. Z baraków, w których dawano im krócej czy dłużej zapomogi żywnościowe, dostawali się na „loty“, mieli pewne zarobki przy budowie dróg wśród odmierzonych „lotów“, brali się rychło do pracy, ścinali las na przeznaczonych im przestrzeniach, sadzili kukurydzę, ziemniaki i t. d. Wytrwali na gruncie, bo ich jako tako żywił. Inaczej było z rzemieślnikami, robotnikami fabrycznymi, nie przywykłymi do pracy na roli. Tacy uciekali z gruntu, praca na roli nie była dla nich odpowiednia, za ciężka. Szewc próbował pracy na szakrze (pojedyncze gospodarstwo), potem w tartaku, potem był konduktorem na tramwajach, wreszcie osiadł w mieście przy warsztacie

szewckim. Kował, stolarz, ślusarz też uciekali z gruntu do miasta. Bliskość miasta nęciła do zmiany nieodpowiedniego zatrudnienia. Na takiej kolonji Alffonso Penna (14 kilometrów od Kurytyby), dzisiaj dobrze zagospodarowanej przez rolników, mieszkali początkowo i rzemieślnicy, którzy wyzbyli się rychło swych gruntów.

Początkowo gospodarka rolna tutaj polegała na tem, że ścinano las, na ziemi urodzajnej sadzono, siano, nie używając żadnych nawozów, a gdy grunt się wyjałowił w jednym miejscu, gospodarowano dalej na wyciętym lesie. Dzisiaj już jest trochę inaczej w okolicach Kurytyby i nawozy mają już pewne zastosowanie.

W obwodzie kurytybskim Polacy doszli do pewnej zamożności, chlubią się, że Kurytyba je chleb z żyta, zasianego przez polskiego kolonistę, że polski rzemieślnik zaspakaja tutaj potrzeby mieszkańców. Usuwając na bok przesadę, można powiedzieć, że w okolicach Kurytyby rolnictwo dużo zawdzięcza Polakom.

Spójrzmy jednak na dalsze strony parańskie, w których powstawały kolonje polskie.

Z pasa nadmorskiego, z pod Paranagua, Morretes i Antoniny Polacy puciekali, gdyż klimat nadmorski, tropikalny wydał im się niezdro-

wym. Są tam jeszcze gdzieniegdzie Polacy, nieliczne jednostki, pragnące dorobić się mienia bez względu na niedogodności klimatu i zabójcze febry. Morretes, miasteczko, liczące z okolicznymi osiedlami 8486 mieszkańców, znane jest z wyrobu kaszasu (wódki z trzciny cukrowej). Mieszka tutaj lekarz Polak. W Porto de Cima, miasteczku, założonem jeszcze przez jezuitów, liczącem obecnie 1381 mieszkańców, mieszka jeden czy dwu Polaków.

W Kurytybie poznałem Polaka, właściciela „szakra“ w tym pasie nadmorskim, blisko Porto de Cima, który rzucił swoją posiadłość (mieszkał w niej pół roku i z hodowli bananów, ananasów, pomarańcz i t. p. owoców tropikalnych nie mógł się utrzymać z żoną) i zajmuje się szewctwem w Kurytybie. Więcej było takich kolonistów, którzy rzucili posiadane połacie leśne ze znajdującymi się w nich, wzniesionymi przez siebie, budynkami mieszkalnymi i przenieśli się w inne strony Parany, nie mogąc sprzedać swych posiadłości, bo ich nikt nie chce nietylko kupić, lecz nawet darmoby ich nie przyjął, nie mogąc się pogodzić z klimatem i z tamtejszą gospodarką. Poznałem też w Kurytybie Polaka, który był urzędnikiem municypalnym w Antoninie, miasteczku, liczącem z okolicami 10100 mieszkańców, gdyż

żona jego zapadała corocznie na febrę i nie zniosłaby dłużej tamtejszego klimatu.

Wreszcie z nizin błotnistych, niezdrowych, z klimatem gorącym, ciągnących się od brzegu morza do gór Serra Geral pouciekali nie tylko Polacy, lecz i Włosi, przywykli w swej ojczyźnie do gorętszego klimatu.

Serra Geral wznosi się do 1200 metrów nad poziom morza, przesmyków zdatnych na drogi nie ma wcale. Kolej żelazna z Paranagua do Kurytyby w głąb stanu jest jedyną linią komunikacyjną wybrzeża z wnętrzem kraju. Słowem, pas nadmorski do kolonizacji polskiej się nie nadawał.

W czasie, kiedy do Parany zaczęli przybywać pierwsi koloniści polscy, stan ten zaludniony był przeważnie przez przybyszów z sąsiedniego stanu Sao Paulo, którym ciasno było w tym stanie, więc przenieśli się do Parany i tutaj zajmowali się hodowlą bydła na swoje potrzeby i zbiorem *herva mate*, którą w niewielkiej ilości wywozili. Kraj wegetował tylko, bo wtedy do niczego innego zdatnym nie był. Gdy napłynęły tysiące emigrantów, dano im ziemie rządowe, które niewielką wartość przedstawiały. Zaludnili oni stan prawie pusty, nadali uprawianym przez siebie gruntom wartość.

Kolonizacja polska rozwijała się głównie w południowej części Parany: w dolinach rzek Iguassu i Rio Negro, gdzie powstały największe kolonie. Początek założenia niemal wszystkich kolonji rządowych był wprost opłakany, kosztował rząd brazylijski ogromne sumy, jednak większość pieniędzy przepadła w kieszeniach urzędników. Zamiast wysłać emigrantów od razu na kolonie i wydać im robotę przy stawianiu chat i trzebieeniu lasów, umieszczono ich po barakach, gdzie ich trzymano długo, karmiąc fasolą, mięsem suszonym, mandjoką i słoniną, pokarmami, do których żołądki polskie nie były przyzwyczajone. W barakach panowało niechlujstwo, brud, to też śmiertelność wśród emigrantów była przerażająca. Polacy emigranci leżeli beczynnje w barakach, zaś budowaniem chat dla nich oraz przy budowie dróg i wymiarze „lotów“ zatrudniano spekulantów, którzy kradli ogromne sumy. Szeregi urzędników brały łapówki. Pomiarami i niwelowaniem dróg zajmowali się krawcy, szewcy, fryzjerzy, którzy nie umieli czytać i pisać. Drogi były okropne, dotychczas w wielu miejscach trzeba je poprawiać.

Były kolonie, gdzie w pierwszych latach osadnikom było nadzwyczaj ciężko, bo, nie mówiąc o pracy nad wykarczowaniem lasu na swoich działach, koloniści, nie znając wcale warunków

miejscowych, nie wiedzieli co sadzić, ani kiedy to robić. Przez pierwsze lata zbiory nietylko nie dawały możliwości sprzedania czego, lecz nawet nie były dostateczne na potrzeby kolonistów. Musieli więc wszystko kupować od sklepikarzy (wendziarzy), wydając nietylko pieniądze, lecz i tracąc czas i siły na przedzieranie się do „wend“ przez gąszcza dziewiczego lasu i zakręty górskie, gdyż wtedy dróg żadnych nie było oprócz ścieżek, ledwie dla mułów dostępnych.

O ile rząd robieniem dróg zajął kolonistów, wtedy każdy przy tem zajęciu pracował pół miesiąca, drugą połowę na swoim kawałku gruntu. Roboty uskuteczniano na rachunek rządu, który osadnikom wydawał kwity. Gdy kolonista chciał kwit zamienić na gotówkę, dostawał zaledwie połowę wartości. Kiedy się skończyły roboty koło dróg, koloniści w czasie wolnym od pracy najmowali się u Brazyljan do zbierania i suszenia *herva mate*. Zarobek niekiedy był dobry, koloniści zbierali trochę grosza na swe gospodarstwo. W braku domów mieszkalnych — o ile rząd im ich nie dostarczył—musieli początkowo mieszkać w budach z trzciny i gałęzi, zanim zdołali ściąć drzewa i zrobić z nich bale i deski na domy. Koloniści polscy przechodzili twardą szkołę życia w Paranie, chwytały się każdej pracy. Gdy zaprowadzono

ich do dziewiczych lasów na wymierzone „loty“, mieli zrozpaczone twarze i stawali z załamaniem rękoma pod olbrzymimi drzewami o kilku metrach średnicy. Musieli wytrzebiać najbardziej niedostępne knieje, w których kryli się dzicy ludzie i zwierzęta.

Jakże smutnem było życie kolonistów, gdy rzeka, nad którą założyli kolonję, opadała i przestawała być spławna; wtedy odłączeni od świata przez kilka miesięcy musieli czekać na przybór wody. Wówczas przepłacać musieli wszystko, co było im potrzebne, u „wendziarzy“, listów żadnych nie otrzymywali.

Były partje emigrantów Polaków, którzy przechodzili prawdziwe męczeństwo. Po okropnej parotygodniowej podróży na statkach, stłoczeni jak śledzie, — było to na rzece Iguassu — przybywali w stanie tak okropnego wyniszczenia, że musiano przerywać podróż. Marli wtedy, jak muchy. Nieliczni szczęśliwcy przetrwali tę nędzę i po odpoczynku zdolni byli wziąć się do pracy. Dostawali żywność aż do czasu zagospodarowania się t. j. postawienia domu, co trwało około miesiąca; dostali też narzędzia: siekiery, fojсы i łopaty, niektórzy i naczynia kuchenne; zarabiali przy budowie dróg, przebiedowali pierwszy rok i zaczęli z otuchą patrzeć w przyszłość w drugim

roku, oczekując plonów z obrobionej ziemi. Ci koloniści, co dawniej przed nimi osiedli w okolicy, przychodzili nowym przybyszom z pomocą, rozdając nasiona, było na wypłaty, starając się dla nich o zarobki. Byli i tacy.

Była partja emigrantów, która osiadła nad małą rzeką, wpadającą do Ignussu, na drodze wiodącej do Palmas. Wówczas drogę tę budowała komisja strategiczna przy pomocy 30 żołnierzy, skazanych na ciężkie roboty. Oczywiście ci przestępcy żołnierze, widząc przed sobą emigrantów Polaków, nie mogących się z nimi rozmówić, pastwili się nad Polakami; po pijanemu jednego Polaka nawet rozsiekali, gdy bronił córki od napastników. Takie oto są opisy i opowiadania z przeszłości kolonizacji polskiej. Można niemi zapełniać tomy. Nic dziwnego, że jubileusz kolonizacji polskiej w Paranie się nie udał. To była przeszłość. Dajmy jej pokój. Nas interesuje teraźniejszość Parany.

Rolnictwo na campos i przemysł.

Campos—pola na wyżynie parańskiej, dzięki swemu wzniesieniu nad poziom morza — 200 — 1200 metrów, mają temperaturę umiarkowaną — przeciętnie + 21° C w miesiącach najcieplejszych

i + 16° C w miesiącach najchłodniejszych. Klimat na campos ma także jak nad morzem zbyt dużą ilość deszczu i to nie tylko w porze zimowej, lecz i w letnich miesiącach. Gorąca tu wielkiego prawie nigdy nie czuć. Noce nawet latem są kompletnie zimne. W porach roku różnice są nieznaczne. Gdy w Polsce w grudniu, styczniu, lutym, marcu trwa zima, tutaj w Paranie jest lato. W końcu marca w kwietniu, maju, czerwcu jest jesień. W lipcu, sierpniu i w części września — zima. W końcu września, w październiku, listopadzie, części grudnia — wiosna.

Wreszcie są to obliczenia kalendarzowe. W rzeczywistości niezawsze tak bywa, jak w kalendarzu.

W pierwszej połowie maja, kiedy u nas tak pięknie, drzałem z zimna podczas chłodnych nocy tutejszych, nocy jesiennych. Mieszkałem na kolonji, gdzie nie dbano o jakiegokolwiek piece w domu. Po chłodnej nocy ludzie ogrzewają się nazajutrz na słońcu, oczywiście, o ile deszcz nie pada. Ludzie na kolonji sypiają długo jesienią i zimą. O godzinie 7 — 8 wieczorem, kiedy wszyscy poszli spać, siedziałem w drewnianej budzie, skleconej z desek, z otworami szerokości palca, w temperaturze paru stopni C. poniżej 0. Tutaj w Paranie wszyscy sypiają w mieszkaniach

nieogrzanych, nie znając pieców, uważając słońce za najlepsze ognisko.

Po takiej chłodnej nocy, podczas której marzną warzywa i kwiaty, około godziny 9 rano słońce zaczyna grzać silnie. Różnica temperatury koło godziny 10 — 11 jest taka: w cieniu 11 stopni, na słońcu 30 stopni. Dnie więc są piękne, jak u nas dnie wiosenne, o ile oczywiście nie padają deszcze, które tutaj potrafią padać tygodniami; wtedy panuje przenikliwy chłód dniem i nocą, drogi rozmiękają, życie w budzie drewnianej staje się nieznośne.

Ładny jest ranek słoneczny. Złote promienie padają na pokryte szronem trawy, które wkrótce perlą się rosą. Wogóle zima tutaj w Paranie to są nasze chłodne, mroźne dni listopadowe podczas nocy tutejszych i ciepłe wiosenne i letnie dni podczas dni tutejszych. Dnie parańskie są krótkie wtedy, słońce zachodzi koło godziny 5-ej.

Jak już niejednokrotnie zaznaczałem, przyroda brazylijska jest bujna. Otaczają nas zielone pinjory, drzewa herwowe, wawrzynowe, cynamonowe, figowe, splecione ljanami czyli powojami oraz pasożytami np. orchidejami. Duże drzewa nie rosną gęsto, za to małe drzewka i krzaki t. zw. capoeira, trawy, paprocie większe i mniejsze tak gęsto rosną wśród drzew, że trudno jest zrobić

krok w takim lesie bez fojsy i dużego noża t. zw. „faca“. Trzeba wycinać sobie przejście „picado“ i przebijać się wśród zarośli, zapadając w trawy głęboko, oglądając się ostrożnie, czy z paproci lub traw nie wysunie się jadowita *jararaca*, która tutaj ukryła się przed zimnem. Taki wycięty las, bez drzew i *capoeira*, trzeba spalić, aby przygotować grunt pod zasiew kukurydzy lub żyta. Podczas słonecznych dni schnie *capoeira* i całe podszycie leśne, ścięte fojsą, poczem gdy się osuszą, podpala się je; zwalone pnie większych drzew spala się również o ile można, nadpalone kłody zostawia się lub usuwa, o ile są lżejsze, i po spaleniu mamy t. zw. „roça“, pole podatne do uprawy, pokryte popiołem. Na takim polu udaje się kukurydza, w następnym roku po kukurydzy sieje się żyto, poczem pozostawia się pole odłogiem na lat 5—7, zarasta ono wówczas *capoeira*; nie można robić inaczej, gdyż gruntów tutejszych nie użyżnia się nawozami, więc się rychło wyjaławiają, o ile nie leżą długo odłogiem.

W czerwcu już przygotowuje się ziemię pod uprawę zbóż, w lipcu i sierpniu pod uprawę kukurydzy, najważniejszego produktu rolnego w gospodarstwie tutejszem.

Konsulat polski w Kurytybie zbierał od rolników dane o gospodarce tutejszej. O Paranie

jako terenie kolonizacji mówi się rozmaicie. Jedni ją chwala, drudzy ganią. Chwala ją przeważnie ci, którzy mają rachuby na osobiste korzyści, płynące z powiększenia się tutaj liczby kolonistów. Ci ostatni w ogólnych zarysach tak przedstawiają gospodarkę parańską, że jej stron ujemnych ukryć nie mogąc, strony dodatnie ponad miarę i rzeczywistość powiększają.

Cały handel parański, nawet produktami rolnymi, wytworzonymi przez kolonistów Polaków, nie znajduje się w rękach polskich, lecz w rękach Niemców, Portugalczyków, Włochów, Francuzów, nawet Żydów, Syryjczyków. Wywozi się głównie herwa mate. Otóż herwa dawniej dawała duże korzyści kolonistom, dzisiaj korzyści te są mniejsze, zmienne, zawodne.

Przytaczam tu dostarczony mi opis stosunków w Paranie, który maluje ją w kolorach dodatnich, t. j. nie ukrywa cieni, lecz powiększa światła. Kolonista osiada głównie w lasach, gdyż tam jest najurodzajniejsza ziemia (step tutaj jest przeważnie jałowy), przeto nie ma możliwości użycia pługa lub innego narzędzia rolniczego przy zastosowaniu siły roboczej konia lub wołu. Powtóre, kolonista zwykle nie posiada na początku pieniędzy na nabycie konia, który narażenie jest mu mało potrzebny, nawet zbyteczny,

a częstokroć i ciężarem, gdyż nie ma dla niego ziarna do wyżywienia, ani też nie posiada jeszcze wyrobionego, i co najważniejsze, ogrodzonego pastwiska. Ogrodzenie to ma w Paranie wielkie znaczenie, ponieważ zabezpiecza rolnika przed szkodami, z drugiej zaś strony unika się powodów do sporów i nieprzyjemnych następstw. Według tutejszego prawa zwyczajowego ten tylko ma prawo żądać odszkodowania, któremu wyrządzono szkodę w polu ogrodzonym. Zwierzęta domowe, według tego samego prawa, mają być trzymane w ogrodzeniu. Prawo to w większości wypadków bywa szanowane i stosowane. Praktyka zaś wykazała, że w pierwszym roku kolonista nie jest w możności utrzymać konia, ani też bydła rogatego, jedynie tylko drób i nierogaciznę. Kolonista zdany jest więc na własną pracę. Zmuszony jest porzucić wszelkie zdobycze kultury i zwrócić się do pierwotnej uprawy motyką. Najpierw musi wyciąć podszycie leśne, używając do tego „fojsy“ (Jest to narzędzie podobne do wąskiego tasaka z zakrzywionym do wewnątrz końcem i osadzone na długim trzonku). Następnie musi zwalić drzewa przy użyciu siekiery, gdyż użycie piły jest z powodu grubości drzew prawie niemożliwe (a najczęściej nie ma mu kto przy pile pomóc).

Aby uniknąć szkód od własnego drobitu i nierogacizny, chodzącej zwykle swobodnie — około zabudowań, kolonista przygotowuje daleko od domu grunt pod uprawę. Uprawia zaś bliżej grunt wtedy dopiero, gdy już postawi wszelkie niezbędne ogrodzenia.

Dopiero gdy nadejdzie czas zbiorów, okazuje się potrzeba posiadania konia, któryby na swym grzbiecie przeniósł zbiory do stodoły. Ponieważ niema tego konia, przeto sam kolonista wraz z rodziną przenosi je na plecach. Za tyle włożonej pracy, kolonista pragnie zbiory swe dobrze spieniężyć, co udaje mu się w nielicznych wypadkach i to tylko w kolonjach, położonych w pobliżu większych miast (a tych jest zaledwie dwa w Paranie: Ponta-Grossa, licząca 20.000 mieszkańców i Kurytyba około 79.000 mieszk.) oraz kolei. Kolonje zaś, położone dalej w lasach, są zdane na skonsumowanie tego, co wyprodukowały, gdyż wywóz wytworów rolnych nie opłaca się z powodu wysokich kosztów transportu, a niewielka tylko liczba kolonistów jest w posiadaniu wozu i koni. Tak jest do dnia dzisiejszego na kolonji Cruz Machado, Prudentopolis, Apucarana, Senador Correia, Hervalzinho i Terezina, z których środek kolonji najbliższej kolei położonej, jest od niej odległy o 100 km., zaś najdalej po-

łożonej o 160 km. Kolonje, bliżej kolei położone, są pod tym względem w znacznie lepszych warunkach.

Osadnik jest więc zmuszony szukać innych źródeł dochodów i to takich, któreby dawały brzęczącą monetę na artykuły pierwszej potrzeby, na zagospodarowanie się, na możliwość przygotowania pola, na którym mógłby zacząć orać, oraz na zakupno konia. I znajduje te źródła: jedno, to praca najemna na kolei lub w tartakach, drugie, to herva mate, której plantacje otrzymuje się w sposób nadzwyczaj łatwy.

Herva mate rośnie dziko w lasach, jako drzewo wysokopienne, zaś obcinane co pewien czas, jako drzewko niskopienne. Po wyrąbaniu lasu, lub też wycięciu podszycia leśnego, wycina się stare drzewa hervy (zaś młode ochrania), obcina z nich gałązki z liśćmi i po odpowiednim procesie wysuszenia i wymłócenia t. j. potłuczenia liści na pył, wprowadza się herva do handlu. Stare drzewa puszczają pędy od korzeni, a obok nich wyrastają nowe drzewka tak, że po czterech latach „herval“, czyli plantacja herva mate, jest gotowy. Wystarczy już tylko obcinać drzewka z gałązek co trzy lata, aby po dwukrotnem obcięciu otrzymywać co trzeci rok zbiór, dochodzący nawet do 4 arób (1 aroba = 15 kg.; cena —

1 aroba = 2—3 milrejsy dawniej, obecnie 4—6 milrejsów) z jednego drzewka.

Za pieniądź, ztąd otrzymany, kōlonista dochodzi do tego, że ma możność ogrodzenia swego „lotu“, wprowadzenia kulturalniejszej, a więc wydajniejszej gospodarki.

Dopiero gdy założy chociażby niewielką pasiekę, zaprowadzi jaką taką hodowlę świń i nabędzie krowę, przestaje chodzić po robotach, zaczyna lepiej gospodarzyć. Wówczas dopiero, gdy wyszedł już z powijaków pierwotnej uprawy motyką, występuje cała jego wartość jako piciera kultury, czem właśnie różni się od tubylczej ludności, zwanej kaboklami; siedzą oni w lasach i z dziada, pradziada, nie posiadają ni pług, ni wozu.

Osadnik oddaje się jednak stale eksploatacji hery, tej „pszenicy“, jak ją zowią polscy koloniści, gdyż tylko ten produkt opłaca się wywozić nawet przy niskich cenach.

Jasną jest rzeczą, że do pokonania takich trudności, trzeba ludzi, zamiętowanych w pracy na roli, którzy są przyzwyczajeni do takiej pracy i nie zrażają przeciwnościami i ciężką pracą od świtu do późnej nocy; żelazną wolą i wytrwałością łamią wszelkie przeszkody, dochodzą do własnych kawałków ziemi i do dobrobytu,

jak to już jest nawet na wymienionych kolonjach, chociaż są w warunkach bardzo trudnych, a — z wyjątkiem Prudentopolis — założone były przed 10 laty.

Wprawdzie nie wszyscy jeszcze spłacili należności za „loty“, ale większa część rat została już opłacona tak, że jeśli nie pojawią się jakieś nadzwyczajne klęski elementarne, najpóźniej w przeciągu lat 5 — 7 całe należności za „loty“ będą spłacone. Kolonje te były założone przez rząd federalny, a koloniści otrzymali ziemię na spłatę bez dawania zaliczki. Otrzymali również zapomogi, a niektórym wybudowano domy, za które, jako też i pewne zapomogi, koloniści obowiązani są zapłacić ratami. Największe zobowiązanie za ziemię, domy i zapomogi nie przechodzi sumy 900 milr. Okres więc spłaty „lotu“ trwa najdłużej 15 lat.

Kolonje te prawie wszystkie są założone w terenach herwowych, w dorzeczu prawego brzegu rzeki Iguassu, z wyjątkiem kolonji Itapará, Prudentopolis i grupy kolonij Ivahy, leżących w dorzeczu rzeki Ivahy. Ta ostatnia grupa kolonij nie posiada herwa mate, klimat jest znacznie cieplejszy, a koloniści zajmują się uprawą ryżu (górnego), trzciny cukrowej (pędzą z niej wódkę). Próby sadzenia kawy i bawełny dały wy-

niki zadowolniające. Ziemia jest tu urodzajna, a klimat cieplejszy, niż w południowej części Parany. Wymienione kolonje są zamieszkałe przez Polaków, tylko Itapará i Prudentopolis mają przewagę Rusinów.

Emigranci, osiedli na ziemi, po latach 15—20 dochodzą do względnej niezależności: posiadają już zapłacone „loty“, które zwykle mają powierzchni 25 hektarów. Jest to znaczny szmat ziemi na stosunki nawet parańskie. Jest jednak stanowczo za mały (ze względu na gospodarstwo pierwotne) do wzbogacenia się, czego oczywiście pragnie każdy kolonista. Lepiej się mają koloniści, którzy prowadzą intensywne gospodarstwo w pobliżu miast, lub oddają się specjalnej uprawie, takimi są zamieszkałe przez Polaków kolonje, położone w okolicach Ponta-Grossy, a wreszcie koloniści, mieszkający w pobliżu kolei i mogący spieniężyć drzewo ze swych „lotów“. Drzewo to kupują przedewszystkiem tartaki. Oprócz tego kolonista wyrabia podkłady kolejowe, obręcze z drzewa timbò, z pewnych gatunków zdiera korę, dającą znakomity garbnik, dostarcza kolei drzewa opałowego i sęków pinjorowych, stawianych co do wartości opałowej narówni z węglem kamiennym.

W Paranie spotyka się nadzwyczajną różnorodność gleby. Za najlichszą bywa uważana zie-

nia stepowa, oraz pokryta pinjorami i herwa mate. Na tej ziemi udają się tylko ziemniaki i żyto. Na kukurydzę, fasolę i t. p. potrzeba urodzajniejszej ziemi. Ponieważ nawozu jest brak, prowadzi się już nie trójpolówkę, ale 6 — 8 polówkę. Im więcej przeto kolonista ma ziemi, tem więcej może wybrać urodzajnych kawałków, a na pewnej części utrzymać plantację herwa mate i pastwisko. Stwierdzić trzeba, że spotyka się w Paranie wszystkie gatunki gleby aż do najlepszej, na której udaje się kawa i trzcina cukrowa.

Powierzchnia Parany (200.000 km. kw.) to lasy i stepy z ludnością przeszło 685.000. Odjawszy część nadmorską, która oprócz bananów i trzciny cukrowej nic więcej na razie nie produkuje, oraz niezamieszkałe wnętrze stanu, otrzymamy zaledwie $\frac{1}{8}$ części całkowitej powierzchni stanu objętej produkcją. W tem stepów użytych na pastwiska 2.000.000 ha i 600.000 ha pola, uprawianego przez mniej więcej 60.000 rodzin.

Uprawia się głównie kukurydzę, żyto, fasolę, ryż, jęczmień, tatarkę, ziemniaki zwykłe i słodkie, mandjokę. Na mniejszą skalę uprawia się trzcinę cukrową, kawę, bawełnę, orzeszki ziemne, len, owies, cebulę, warzywa, banany i rośliny pastewne.

Trudno ująć w pewne cyfry ściśle zdolność produkcyjną stanu Parana, a to z powodu niedokładnych danych statystycznych.

Pierwsze miejsce w produkcji i wywozie zajmuje herwa mate. Argentyna najczęściej brazylijskiej herwa mate konsumuje. Produkcji herwy oddaje się prawie $\frac{3}{4}$ kolonistów i wszyscy siedzący po lasach kabokle.

Herwa bywa wywożona albo niezmielona (cancheada), albo też zmielona (beneficiada). Mieleniem herwy zatrudnionych jest 16 młynów z 456 robotnikami. Poza Argentyną wywozi się herwę do Urugwaju i Chile, niewielkie zaś ilości do Stanów Zjednoczonych, oraz niektórych stanów Brazylii.

Drugim z rzędu produktem wywozu, zatrudniającym mało ludzi, jest drzewo. Wywożono deski, belki różnych wymiarów, pnie, klepki, obręcze, łaty, trzonki do mioteł, deseczki na skrzynki do piwa itp. Najwięcej wywieziono drzewa pinjorowego (można go porównać ze świerkiem co do jakości), oraz drzewa twardego, imbuia. Głównymi kosumentami są Argentyna, Urugway, a ze stanów brazylijskich Sao Paulo. Przed kilku laty Argentyna mało zakupiła drzewa, wskutek tego tartaki zgromadziły znaczne zapasy drzewa, które, nie konserwowane odpowiednio,

zbutwiało. Gdy naraz eksport rozpoczął się, wysłano przedewszystkiem to właśnie drzewo zbutwiałe, którego Argentyna nie mogła użyć do żadnych budowli. Skutek był taki, że zaprzestano brać na jakiś czas drzewo parańskie, co znowu spowodowało pewien kryzys w przemyśle drzewnym. Ostatecznie eksport znów rozpoczął się, ale nie w takich rozmiarach, jak należało się spodziewać, stosownie do zapotrzebowania na rynkach argentyńskich. Tartaki tymczasem znów nagromadziły zapasy. Przemysł drzewny narażony jest częstokroć na liczne straty z powodu braku transportów, głównie kolejowych.

Z produktów rolnych wywożonych na pierwszym miejscu co do wartości stoi kawa. Wprawdzie uprawa jej mało jest rozwinięta w Paranie. Kawa parańska, wprawdzie jest wolna od podatku wywozowego, o ile przewożona jest przez główny port morski Parany, Parañagua (drugi port Antonina leży w tej samej zatoce), jednak z powodu małych ilości i słabego ruchu w płytkim porcie Parañagua wywożoną jest przez port Santos, skąd statystyka podaje wywiezionej kawy parańskiej przeszło 4000 ton.

Najwięcej produkuje się kukurydzy, konsumowanej na miejscu, zaś znacznie mniej ryżu, pszenicy i żyta, liczne zaś składają się na to powody.

Do uprawy zbóż garnie się głównie osadnik polski. Wytrwale i stale co roku sieje zboże, ale też stale niszczy żyto zarazek, zwany rdzą. Pszenica wymaga uprawy starannej, o której nawet niema mowy w tutejszem gospodarstwie. Przedewszystkiem nawozu — obornika kolonista nie posiada, gdyż bydło cały rok pozostaje na pastwisku i nawet na noc nie przychodzi do stajen, których tu nikt nie buduje. Nawozy sztuczne, wyrabiane na miejscu, są mało wartościowe, jak praktyka wykazała, zaś importowane z Europy i St. Zjedn. są doskonałe, ale zbyt drogie. Również i ptactwo nieraz chmarami obsiada łąny i niszczy je; pomaga im do zupełnego zniszczenia zbiorów po żniwach robaczek, zwany „wółkiem“.

Rząd stanowy silnie popierał uprawę pszenicy, wyznaczając nagrody za zasiew pewnego obszaru, i koloniści dokładali wszelkich starań. Zysk jednak ze zbiorów nie stoi w żadnym stosunku do włożonej pracy, tak, że prawdopodobnem jest znaczne obniżenie się produkcji pszenicy. Rząd, aby zwiększyć uprawę pszenicy, sprowadził w roku 1918 z Argentyny i rozdał 702 tony ziarna na zasiew. Zbiory w r. 1919 świetnie się zapowiadały, pszenicy zebrano wielkie ilości, lecz prawie $\frac{4}{5}$ zostało zniszczone

przez „wołki“ jeszcze przed wymłóceniem. W roku bieżącym (1922) rząd również rozdał znaczne ilości pszenicy na zasiewy.

Z owoców najczęściej uprawia się bananów, pozatem niewielkie ilości pomarańcz, brzoskwiń i t. p., nie wywożonych (oprócz bananów). Dużo natomiast owoców sprowadza się, a importowane jabłka dochodzą do znacznych cen (nawet 1 milrejsa za sztukę).

Również i pszczelnictwo, pomimo wprost świetnych warunków, nie jest wcale rozwinięte.

Parana posiada rozległe stopy i znakomite pastwiska w lasach, co daje podstawę do rozwinięcia znacznej hodowli. Bydło i konie cały rok przebywają w polu. Nikt (z wyjątkiem kolonistów głównie polskich) nie przygotowuje dla nich na zimę siana, ani też nie buduje już nawet nie stajen, ale chociażby zwykłych nakryć — dachu na czterech słupach, aby bydło w porze deszczowej miało gdzie przebywać. Nic też dziwnego, że przy takiej hodowli nie otrzymano dotychczas jakiejś specjalnej rasy. Również i produkcja bydła cierpi z tego powodu.

W roku 1918 było:

Bydła	350,000 sztuk
Koni	300,000 „

Owiec	50,000 sztuk
Mułów	30,000 „
Kóz	25,000 „
Nierogaczny	1,000,000 „

W wywozie jedną z najpoważniejszych pozycji zajmuje nierogaczna, oraz produkty: smalec i słonina, oraz mięso świeże, solone i suszone.

Przemysł w Paranie prawie nie istnieje, to co jest, to są zaczątki słabo rozwijające się. Najlepiej jest rozwinięty wyrób zapalek, których produkcja dochodzi rocznie do 70,000 skrzynek wartości 2,200,000 milrejsów. Na drugim zaraz miejscu stoi produkcja piwa, którego wytwórczość równa się wartości produkcji zapalek. Ponadto kilka zakładów przeróbki trzciny cukrowej na wódkę, kilka garbarni niewielkich, fabryczek wypalających kawę, olejarń, przerabiających miejscowe nasienie lnu na olej, wyrób słomianek na flaszki do piwa, fabryczki pończoch i koszul włóczkowych, kilka cegielń i fabryk dachówek, a wszystkie prowadzone na małą skalę. Z poważniejszych zakładów są: 1 fabryka, płótna, 1 rafinerja cukru, dwie odlewnie żelaza, 1 fabryka gwoździ, 1 fabryka worków z juty, oraz miyny herwowe.

Parana ma charakter wybitnie rolniczy, a wytwory przemysłu nie pokrywają konsumpcji miejscowej. Jedynie tylko zapalki i piwo są wywożone.

W kilku miejscach Parany czyniono poszukiwania węgla. Znaleziono w północnej części Parany węgiel brunatny, małowartościowy, dający mało kalorii, natomiast dużo popiołu. Obecnie są w budowie kopalnie w Berra Bonita nad rzeką Rio de Peixe, dokąd również jest w budowie kolej. Nowa linja kolejowa biegnie przez tereny, objęte plantacją kawy i trzciny cukrowej. Gleba tu nadzwyczaj urodzajna, klimat gorący, przymrozki, niszczące późne zasiewy na południu Parany, są tutaj prawie nieznanne. Tylko w tej części stanu można siać i sadzić cały rok. Przez wybudowanie wspomnianej linji, wkrótce zwiększy się produkcja kawy i trzciny cukrowej, oraz bawełny, której dotychczas uprawia się niewiele.

Zaznaczyć jednak należy, że w okolicach tych grasuje malarja, oraz inne rodzaje złośliwej febry. Klimat gorący nie dozwala na osiedlanie się tu polskim kolonistom, przywykłym do chłodniejszego klimatu. Ta część stanu, jakkolwiek najurodzajniejsza, jest jednak słabo zaludniona i mało produkcyjna.

Herwa mate.

Herwa mate jest ulubionym napojem *gauchos*, którzy zamieszkują Rio Grande do Sul, części Argentyny, Paragwaj oraz południową Boliwię. Bez herwy życie na campos południowej Ameryki przy przeważnie mięsnem pożywieniu prawie niemożliwe: pobudza trawienie, uspokaja nerwy żołądka, osłabia uczucie głodu i gasi pragnienie.

Europa nie zna herwy. Zrywa się herwę w lasach. Życie poszukiwacza herwy można porównać z życiem rybaka na oceanie. Ileż pracy, przykrości, niebezpieczeństw znieść musi poszukiwacz herwy na campos o horyzoncie tak rozległym, jak przestwory oceanu. Zima. Chłodny wiatr wieje na campos, tam na wschodzie zaledwie zabłysły pierwsze promienie słoneczne, z siodła podnosi głowę gaucho drżący, który spędził noc okryty tylko starem poncho (płaszcz, okrywający całe ciało, z otworem na głowę). Tęsknie oczekuje, aż „mate chimarrao” będzie gotowa. Ognisko płonie, w „chaleira” gotuje się woda. Do „cuia” (naczynie z’ mątej dyni) sypie się sproszkowaną herwę z kawałkami gałązek herwowych. Z „cuia” wygląda srebrna „bomba” (rurka do picia). „Cuia” przechodzi z rąk do rąk. Zwyczaj ten jest nieprzyjemny dla cudzoziemców. Ale inaczej być

nie może wśród ludzi leśnych, którzy gościewi gotowi są odstąpić jedyne łóżko w szałasie.

Herwa zwie się też „jezuicką herbatą“, gdyż jezuici pierwsi dali ją poznać; Indianie znali ją dawniej. Gatunek herwy o dużych ciemnozielonych liściach znajduje się w głębi Parany, szczególnie w dystrykcie Palmas. We wschodniej Paranie rośnie gatunek o drobnych liściach, nie tak cenny.

Herwa mate znajduje się na wyżynie, w obszarze rzeki Parany i jej dopływów, między 20° i 30° szerokości południowej, na wyżynie nadmorskiej tylko od 500 metrów wysokości. Znajduje się w samym środku Parany. Nieznany dotychczas dokładniej południo-zachód Parany (obszar rzek Piquiry, Ivahy, Tibagy) jest stosunkowo ubogi w herwę. W gęstej masie znajduje się ona w wielu dzisiaj eksploatowanych dystryktach, głównie przy splawnej części rzeki Iguassu (od Porto Amazonas w dół przez Sao Matheus do Uniao da Victoria, prawie 400 kilometrów długości rzeki) i głównie w obwodzie w kraju lesistym między koleją Sao Paluo — Rio Grande do Sul i koleją parańską, a więc w obwodzie, ograniczonym linją Uniao da Victoria — Ponta Grossa — Serinha — Rio Negro i obszarem rzeczonym Rio Negro — Uniao da Victoria. Podróżnik jedzie tutaj przez

obszary leśne, częściowo las dziwicy, spotyka olbrzymie drzewa imbuya, pinheiro i inne, zaś herwa mate gra tutaj rolę podszycia leśnego. Doskonały gatunek herwy rośnie w „Zona Contestada“ dokoła Palmas, w obwodzie, o który toczyły między sobą spór stany Parana i Santa Catharina (wyrokiem sądu federalnego podzielono ten obszar między obydwaj spierające się stany).

Handel herwą, dostarczaną z lasów, ześrodkowuje się w Paranie w miejscowościach: Palmeira, Lapa, Sao Matheus, Uniao da Victoria, Rio Claro, Palmas, Guarapuava, Cupim i Ipiranga.

Producentami herwy w Paranie są przeważnie koloniści, którzy sprzedają liści herwowych zarabiają często na swe utrzymanie, pracując jednocześnie na swym kawałku gruntu. Prawo zabrania obrywania liści herwowych od września do kwietnia podczas brazylijskiej pory cieplej. Liście obrywa się w chłodnej porze roku, kiedy są dojrzałe. Następnie w ciągu 3 — 4 lat pozostawia się drzewo w spokoju.

Liście herwy suszy się za pomocą urządzeń zwanych „carijo“ i „barbacuá“. Pierwszy sposób polega na rozłożeniu ognia pod liśćmi, znajdującymi się na wzniesieniu (rodzaj daszku na żerdziach), przyczem liście przenika gorąco wraz z dymem: nabierają one wtedy dymnego, orzkie

go smaku, ulubionego przez gauchos z Argentyny i Rio Grande do Sul.

Długi sposób polega na rozpaleniu ognia obok w osobnym piecu i przeprowadzeniu gorąca przez murowany przewód pod liśćmi, przez co unika się przepojenia liści dymem. Prymitywny „carijo” jest tańszy, niż „barbacuá”.

Suszenie w „barbacuá” trwa najdłużej sześć godzin, dłuższe suszenie szkodzi aromатовi i kolorowi herwy. Najlepszy garunek jest koloru jasnozielonego, gorsze gatunki są brunatnozielone, brunatne i szare. Proces zerwania, przyniesienia i wysuszenia liści musi być zakończony w ciągu 24 godzin, inaczej wartość herwy cierpi na tem. Po wysuszeniu następuje kruszenie herwy za pomocą maszyny, zwanej malhador, obracanej przez siłę konną.

Młyny lub fabryki herwowe, zwane w Paranie „beneficios” lub „Engenhos de Hervamate” otrzymują surowy materiał przez agentów, zakupujących herwę od małych producentów, kolonistów wewnątrz Parany. Więksi producenci mają bezpośrednie stosunki z fabrykami w Kurytybie. W okolicy Rio Claro jest herwał p. Twardowskiego, najbogatszego polaka w Paranie, milionera. Za herwę ze swego herwalu otrzymuje p. T. po kilkadziesiąt tysięcy milrejsów.

W Palmas mieszka p. Karman, Polak, który jest agentem milionowego kupca argentyńskiego Rosario. Zakupuje on herwę za ogromne sumy, dowożoną z lasów przez kolonistów i „caboclos“, (krajowców). Ma on wendę i sprzedaje wszystko, co jest potrzebne „caboclos“, robiąc na tem także dobry interes. Ciekawy widok przedstawiają te karawany jeźdźców, półdzikich „caboclos“, wiodących konie objuczone workami herwy, by zamienić ją na mąkę, sól, słoninę, buty, koszule, ubrania i t. d. P. Karman poprzednio był sam właścicielem młyna herwowego w Kurytybie. Znanym on jest powszechnie pośród polonji parańskiej.

Palmas leży zdala od cywilizowanego życia, oddalone jest o 150 kilometrów od Uniao da Victoria, stacji kolejowej. Drogę do Palmas odbywa się w dyliżansie (okrytym wozie) przez stopy i lasy. Poza Palmas żyją jeszcze indjanie.

Ziemia obiecana.

Minęły już te czasy, kiedy głoszono, że Parana jest jedynym miejscem na skupienie emigracji polskiej na obczyźnie, że jest miejscem na Nową Polskę. Ludzie, którzy to głosili, żyją dzisiaj w zapomnieniu, ba, nawet rzesze polskich wychodźców, których chcieli uszczęśliwić, żywią

do nich niechęć. Zapomniano już o ks. Anuszu i innych działaczach emigracyjnych. W osamotnieniu spożywają zdobyte majątki.

Na widowni obecnie są „działacze“, którzy chcą skupiać w Paranie Polaków rozproszonych w stanach brazylijskich Rio Grande do Sul i Santa Catharina. Twierdzą oni, że Parana ma znakomite ekonomiczne warunki dla koncentracji kolonistów polskich. Pomyślcie tylko, zdobywa względny dobrobyt, po 15 — 20 latach rolnik, oczywiście taki, który harować będzie niezmordowanie, nie boi się żadnej ciężkiej pracy, ma wytrwałość i siłę jakiegoś Waligóry, pali lasy, żyje bez cywilizacji na odludziu, walczy z dziką naturą wśród tych borów, pracuje w tartakach, na kolei, podczas zbierania herwy po lasach pędzi żywot botoskuda. Po latach całych bytu zwierzęcia jucznego staje się wreszcie właścicielem „lotu“ z żytem, kukurydzą, manjoką, fasolą, niekiedy i z trzcina cukrową, bananami, pomarańczami, ananasami, kawą, posiada pewną liczbę świń, krów, koni i parę czy kilka kont t. j. tysięcy milrejsów.

Znane są te „znakomite“ ekonomiczne warunki. Mówiono już, pisano o nich i dawniej, że kto z Europy tu przybył, kto, mając potrzeby ograniczone, jął się ciężkiej pracy na dziewiczym gruncie Parany, znalazł tutaj raj w porównaniu

ze starą Europą, bo po kilkunastu latach pracy na ziemi, którą sam wykarczował, ma spokojne życie i względną niezależność, czegoby bez wykształcenia nigdy w Europie nie dopiął, przy panujących tam stosunkach ekonomicznych. W starej Europie nietylko oświata ogólna, lecz i wykształcenie specjalne (rolnicze) jest niezbędnym warunkiem lepszego bytu w walce o byt. Tutaj bez oświaty jakiegokolwiek, bez umiejętności rolniczych, Bartek zwyciężał las i zdobywał byt. Ale ten Bartek zwycięzca nie będzie nam, jego rodakom ze starej Europy, imponował, gdy na zapytanie, czy jest Polakiem, on sam, a o ile nie on, to jego syn i wnuk, zrodzeni w Paranie, odpowiedzą: *sou Brasileiro*. O to „działaczom“, chcącym koncentrować żywioł polski w Paranie, niebardzo chodzi, oni patrzą optymistycznie w przyszłość, widzą wielkie fortuny, zdobyte na „koncentracji“ żywiołu polskiego w Paranie, oczywiście fortuny własne. Są naśladowcami tych, którzy podczas wielkich fal emigracyjnych ludu polskiego, mieli złote żniwa.

Ale nam Polakom z Polski, wskrzeszonej do niepodległości, do rozwoju narodowego i ekonomicznego, chodzi nietylko o „znakomite“ warunki ekonomiczne Parany, lecz i o inne warunki. My chcemy prawdzie spojrzeć w oczy i dowie-

dzieć się: jaka jest Parana współczesna, jakimi są tutejsi Polacy, jakimi będą w przyszłości?

Będąc w Paranie dla zbadania stosunków i mówiąc o tem otwarciu, zyskałem niechęć tych „działaczy“.

— „Polskie Towarzystwo Kolonjalne wysłało pana, aby zbadać stosunki wśród Polaków w Paranie? Patrzcie, czego im się zachciewa? A od czego ja tu jestem?“

O, spekulancie z pod ciemnej gwiazdy, jesteś pan tu na to, aby gdzieś w odległych borach, o setki kilometrów od kolei sprzedawać drogo Bartkom-zwycięzcom parańskim „loty“, kupione na kredyt.

W stanie Santa Catharina Polacy mieszkają w miejscowościach: Lucena, Itayopolis, Rio Vermelho, Massaranduba.

W stanie Rio Grande do Sul Polacy są w miejscowościach: Paiol Grando, Treze de Maio, Rio de Peixe, Rio Paulo, kilometro 13, Rio dos Indos, Cacador, Balisa, Barro, Dourado, Floresta, Guarany, St. Feliciano, Porto Alegre.

Ilu jest Polaków w tych dwu stanach brazylijskich? Dokładnej statystyki dotychczas niema. Podobno 50.000 głów.

W Rio Grande do Sul niektórym kolonistom Polakom ich gospodarstwa już nie wystarczają,

bo po długoletniej gospodarce rabunkowej wyzyskali ziemię do ostateczności i chcieliby teraz nabyć nowe gospodarstwa. Takich zachęca się do przeniesienia się do Parany. O Polakach w stanie Santa Catharina mówi się, że wśród silnego tamtejszego żywiołu niemieckiego wynarodowili się. Będąc w Kurytybie, słyszałem opowiadania o Niemcach, jadących do Parany w coraz większej liczbie z Europy oraz przenoszących się do Parany z sąsiedniego stanu Rio Grande do Sul. Czy wiadomość ta byłaby słusznym podejrzeniem rządu parańskiego o kokietowanie Niemców i rozbijanie przez nich skupień polskich, czemu należałoby się przeciwstawić przez okraglanie tych skupień kolonistami Polakami z dwu sąsiednich stanów — nie wiem. Sceptycy powiadają, że to straszak dla napędzenia kolonistów na „loty“ daleko od kolei, w puszczech i bezdrożach za Guarapuava. Przyszłość taka, że o ile nie pouciekaliby z takich puszczy, musieliby wszystkie zbędne od wyżywienia produkty rolne zbywać za bezcen wendziarzowi (sklepikarz, od venda = sklep).

Że Niemcy przyjeżdżają obecnie do Parany — to fakt. Niedawno osiedliła się gromada Niemców na kolonji Cruz Machado, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów od stacji kolejowej Marechal

Mallet. Przybyli tutaj nie rolnicy, lecz ludzie, którzy nigdy nie pracowali na roli. Żle im się dzieje. Mówią, że wkrótce ci przybysze porozlatują się na wszystkie strony Brazylii. Są między nimi ludzie inteligentni, b. żołnierze i oficerowie. Za poprzednich emigracyj polskich kolonja Cruz Machado zyskała również smutną sławę. Umierali tutaj Polacy jak muchy.

W Paranie Polacy rozrzućeni są na ogromnych obszarach, stosunkowo niewiele jest skupień dużych, ogromnie brak sił inteligentnych, mogących organizować współrodaków.

Kolonista polski ma dokoła siebie tubylców, słabych kulturalnie i rasowo, niepracowitych. Rolnik polski zaczął produkować zboże, wprowadził wóz i pług, pokazał tubylcom, co z ziemi pracowitością otrzymać można. Gdzie Polacy siedzą zwartą masą, słycać mowę polską. Ale poza tem... poziom oświatowy pozostawia wiele do życzenia.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej Polak ujrzał przed sobą wysoką kulturę, z której skorzystał. To też Polacy z Ameryki Północnej patrzyli zawsze na Parane, jak na kraj dziki, w którym nie warto się osiedlać.

A reemigracja?

Reemigracja z Parany dotychczas była niewielka. Wyjechało kilkadziesiąt rodzin. Ach, bo o Polsce mówi się tutaj w czarnych kolorach, opinię tę szerzą ci, którym na tem zależy. Robotników powstrzymywano i utrudniano im wyjazd.

Słyszałem, że 1000 — 2000 rodzin kolonistów wyniosłoby się z Parany, skoro tylko w Polsce życie potoczyłoby się głódziej. Taki powrót wymagałby odpowiedniej organizacji, którą zawczasu musiałyby wytworzyć Polskie Towarzystwo Kolonjalne w porozumieniu z władzami krajowymi: Urzędem Emigracyjnym i Głównym Urzędem Ziemijskim co do zakupu gruntów w Polsce.

Wśród kolonistów panuje dotychczas nieufność dla projektu założenia polskiego tow. akcyjnego dla kolonizacji. A tem większa nieufność do projektowanego banku polskiego. Mówią, że brali się do tego ludzie nieodpowiedni.

Majątek kolonistów polskich obliczają przypuszczalnie projektodawcy banku polskiego na 10 milionów milrejsów. Ukryty jest w skrzyniach lub bankach kurytybskich. Od czasu istnienia konsulatu polskiego w Kurytybie koloniści zakupywali marki polskie (653 kont) i pożyczkę odrodzenia Polski (406 kont).

Guarapuava.

Podczas mego pobytu w Kurytybie i na kolonjach, nawet bardzo oddalonych, słyszałem często o Guarapuawie. A gdy wziętem do ręki dziennik miejscowy polski, czytałem sążniste ogłoszenia i artykuły o Guarapuawie. Opisywano ją jak nową kolonję. Nie jestem poszukiwaczem złota, lecz wędrowcem, który zbierał informacje o stosunkach wśród Polaków w Paranie. A jednak drukowane opowieści o niej były tak nęcące, iż chwilami pragnąłem porzucić Kurytybę, w której różne stronnictwa polskie zbyt namiętnie się zwalczają (zupełnie jak u nas w kraju) i emigrować do Guarapuawy. Ale to tak daleko, tak daleko... Jest to ostatnia placówka cywilizowanego świata, tuż przy *Sertao desconhecido*, terenach nieznanym Parany. I podróż kosztowna konno lub wózkiem przez góry i lasy.

Nie mogąc tam pojechać, szukałem takich, którzy tam byli i mogli mi dać najbardziej dokładny opis tego krańca Parany.

Z poprzednich rozdziałów czytelnik powziął już wyobrażenie, jaką jest Parana i jak ciężko musi pracować kolonista, aby dojść do względnej niezależności. A tu nagle zjawia się wieść o kra-

nie mlekiem i miodem płynącej, zwanej Guarapuawą.

Kto ją szerzy? Różni Szachrajkiewiczze, nowi, oczywiście.

Siedziałem raz na skwerze na Praça Osoria w Kurytybie, czytając dziennik polski, który pisał, że „naród nasz idzie w bory. Z pod Kurytyby, ze starych kolonji, Rio Claro i Mateusza, ze Santa Catharina i Rio Grande do Sul ciągnie lud w poszukiwaniu ziem w lasy. Niestety, do niedawna każdy czynił to na własną rękę i dzięki temu, że ruch ten cały odbywał się bezplanowo nieraz, dosyć nawet często kolonista polski przepadał dla społeczeństwa, ginąc wśród obcych i dziczejąc w głuszy“.

Mój towarzysz, Polak, który w swych wędrówkach po Paranie zwiedził także Guarapuawę, zaczął się śmiać serdecznie. „Czytaj pan dalej — powiada. — Dowiesz się pan, dlaczego dziennik polski tak się wzrusza dołą kolonistów, ginących i dziczejących w głuszy lasów“.

Czytałem:

„Rok temu dopiero dzięki inicjatywie energicznego miernika Polaka p. Radeckiego, położono podwaliny pod planową kolonizację polską w lasach odległych Guarapuawy. 19 maja upły-

wa właśnie rok, kiedy tenże zapoczątkował pracę nad kolonią Amola-Faca, mającą nosić imię jej założyciela, wielkiego przyjaciela Polaków, pułkownika Queiroza. Rok ledwie minął, a poważne to i doniosłe dla naszej przyszłości dzieło rozwinęło się już wcale pięknie. Tam, gdzie do niedawna cisza i pustkowie panowały niepodzielnie, gdzie na dużym obszarze tysięcy całych alkrów nie było ani jednej żywej duszy, zaroilo się od pracowitych polskich kolonistów. Już nas tu siedzi około 100 rodzin ze wszech stron zebranych“.

Mój towarzysz uśmiechał się ironicznie:

— Ach, gdyby pan widział te lasy! Ci koloniści, którzy mają niewielki fundusz lub nic zgoła, a chcą się tam dorobić, istotnie zdziczają w tych borach lub pouciekają. Bogaci, którzy już pod Kurytybą, Ponta Grossa czy gdzieindziej w stronach mniej więcej zaludnionych, gdzie zresztą ziemi wolnej jeszcze nie brak, dorobili się kilkunastu kont, mniej ryzykują, jadąc w te bory. Albo z nich powrócą i osiadą w innej stronie Parany i będą czekali dziesiątki lat na połączenie Guarapuawy koleją żelazną, albo pozostaną w tych borach, pracując u hodowców bydła, zajmując się sami hodowlą bydła, na co tam zresztą potrzeba znacznego kapitału.

Tych, którzy chcą sprzedawać bory i lasy za Guarapuawą, nic nie obchodzi poza zrobieniem fortuny na kolonistach polskich, których obalamuca się fantastycznymi opowieściami, w rodzaju następującej powiastki dla naiwnych, ubierającej się w pozory poważnej informacji:

„Korzystając z powrotu konsula Rzeczypospolitej p. Głuchowskięgo z dalekiej wycieczki za góry Esperança, redakcja „Świtu“, rozumiejąc, że obserwacje tak bezstronnej i poważnej osoby mogą niemało wyświecić sprawę Guarapuawy — zwróciła się do p. konsula z prośbą, aby się chciał swemi uwagami podzielić z czytelnikami naszego pisma. Oto one:

„Guarapuawa, municypjum większe od Belgji, może przy swym dobrym klimacie i bogactwie ziemi zamienić się naprawdę w krainę mlekiem i miodem płynącą. Tylko potrzeba ludzi i pracy“.

„Guarapuawa! Magiczne wprost słowo, które wabi i nęci nieznanym urokiem rzesze naszych kolonistów, cierpiących głód ziemi na starych osiedlach. Guarapuawa to nowa ziemia obiecana“...

„Cała Guarapuawa żyje pod znakiem kolei, która ma otworzyć to bogate terytorjum Parany“ i t. d.

Z powodu tej afery kolonizacyjnej humorystyczne pismo „Osa“ w Kurytybie zamieściło wezwanie

do kolonisty, w którym powiada między innymi: „Kolej zbudują odrazu na twoje podwórze, co majątek twój tysiąckrotnie powiększy. Zbyt na produkty i herwę jest tak świetny, że za herwę płaci się 5 razy tyle co w Kurytybie. Dlatego ziemię tę sprzedajemy tanio, bo udało nam się cudownym trafem kupić 18.000 alkrów wzamian za parę starych butów“ i t. d.

Ludzie bezstronni nie zachwycają się tą kolonizacją.

Guarapuawa oddalona jest od Ponta Grossa, ostatniego punktu kolei żelaznej, o 200 kilometrów. Od Kurytyby, połączonej z Ponta Grossa koleją, odległość wynosi 400 kilometrów. Z Ponta Grossa trzeba już podróżować końmi, przebywa się osadę Conchas (3.908 mieszkańców), następnie rzekę Tibagy, jedną z większych rzek Parany, wpadającą o setki kilometrów dalej do rio Parana. Dalej za rzeką Tibagy ogromna równina, lekko falista, podobna do oceanu o wzburzonych falach. Trawa tutaj wysoka, w oddali widzi się niewielkie lasy z herva mate i pinjorów, od czasu do czasu stado bydła, wozy ciężkie, zaprzężone w 6 — 8 mułów, wiozące worki z herva mate, dążące w stronę Ponta Grossa.

Gdy podróżny wjedzie do lasu pinjorów i herwy, widzi, że las ten za wyjątkiem olbrzy-

mich drzew jest właściwie tylko zaroślem. I takie lasy prazawżnie tutaj się spotykają. Do zamieszkałych okolic daleko, więc o ile chce się odpocząć, odpoczywa się na campo pod niebiosami, okryć się trzeba na nocleg w poncho (ogromny płaszcz z otworem na głowę, okrywający człowieka od stóp do głów). O ile deszcz nie pada, odpoczywać nie warto, więc dalej w drogę aż do Imituva Cupim, municypjum to z mieścina liczy obecnie 12.419 mieszkańców. Mieścina oddalona jest od Ponta Grossa o 74 kilometry. Tutaj można przenocować i udać się wczesnym rankiem do Prudentopolis, oddalonego od Cupim o 12 godzin jazdy konno. Jestto dzisiaj osada przeważnie rusińska, Polaków tu zaledwie $\frac{1}{5}$ ilości ogółu Rusinów.

Prudentopolis jest na drodze do Guarapuawy, punktu końcowego drogi bitej. Teraz podróżnego czeka przebycie Serra Esperança, łańcucha górskiego wznoszącego się na 1.300 metrów nad poziom morza. Łańcuch ten oddziela campos Geraes od campos Guarapuawa. Niewygodna droga prowadzi do Guarapuawy, droga karkołomna, to w górę to na dół, prawie prostopadle. Na drodze do Guarapuawy spotyka się w Alto da Serra jakiś szałas lichy, gdzie można wypić kieliszek kaszasu. Następnie podróżny przebywa

rzekę rio Pedras (rzeka kamienna), w tej okolicy można przespać się u krajowca (caboclo), o ile pozwolą na to miliony pcheł. Poza rzeką rozciągają się campos Guarapuawa, mniej faliste niż campos Geraes i wreszcie po długiej jeszcze podróży ukazuje się licha miejscina Guarapuawa na olbrzymim obszarze swych campos.

Tam wdali poza Guarapuawa to już t. zw. sertao desconhecido — tereny mało znane, które bada polska wyprawa naukowa pp. Chrostowskiego (ornitolog) i Jaczewskiego (entymolog).

Guarapuawa, miejscina na krańcu świata cywilizowanego, od kilku dziesiątków lat spodziewająca się kolei, liczy kilkanaście tysięcy mieszkańców, tworzy municypjum, które z dystryktami Pinhao, Reserva, Campo Real, Capanema, Therezina, obejmuje 41.434 mieszkańców, według ostatniego spisu ludności. A jest taka duża, jak Belgja. Na drodze z Ponta Grossy do Guarapuawy spotyka się tu i owdzie kolonistów Polaków. W górach Esperança i w samej Guarapuawie jest ich niewielu, pochodzą z dawniejszych kolonizacyj, kiedy to Polacy zrażeni trudnościami życia w kolonjach, wyznaczonych im przez niesumienną biurokrację brazylijską, porzucali je i rozpraszali się po różnych stronach Parany.

Oddawna już mówią i piszą o Guarapuawie jako o ogromnych terenach stepowych, pokrytych siecią niewielkich rzek i strumieni, gdzie prowadzi można hodowlę bydła na wielką skalę. Dotychczas jednak ta hodowla z braku komunikacji, rynków zbytu i ulepszenia rasy bydła nie rozwija się należycie, chociaż, jak przewidywali rolnicy Francuzi, którzy zwiedzali te tereny, hodowla bydła mogłaby mieć tam wielką przyszłość przed sobą.

W całym municypjum wszystkie fazendas to są miejsca hodowli bydła. Przyjeżdżają tutaj kupcy, zakupują stada 200 — 500 sztuk i pędzą je do stanu Sao Paulo, gdzie je sprzedają.

Stada bydła hodują się na wolności na campos, żywią się wyłącznie trawą, pozatem dostają jeszcze sól, niezbędną dla nich, to też Parana w tym celu sprowadza ogromne ilości soli.

Hodowcy bydła to oczywiście ludzie zaможni; hodowca bowiem musi posiadać wielkie przestrzenie campos i wielkie stada, aby mieć odpowiedni dochód z hodowli, obliczany na 20% od kapitału. W kraju tym kultura rolna jest dotychczas zaniedbywana. Chyba że ściągną tutaj masowo polscy koloniści i będą produkowali ogromne ilości zbóż dla ludzi i innych roślin na pokarm dla stad bydła, ulepszanego przez krzy-

żowanie z innymi rasami, na co się nie zanosi, bo z braku dobrej komunikacji rolnicy polscy byłiby tam wyzyskiwani przez wendziarzy i pracowaliby dla innych. Przy kolei rolnik sprzedaje swój produkt lepiej czy gorzej, lecz z korzyścią dla siebie. Inaczej w stepach leśnych, gdzie płaci drogo za przywieziony towar, zaś swego produktu wyzbywa się za bezcen, prawie darmo. Stąd właśnie pochodzi zamożność wielu „wendziarzy“ w Paranie.

Na stepach dokoła Guarapuawy było hoduje się samo, corocznie odłącza się pewna liczba sztuk na sprzedaż. I to wszystko. Posiadacze fazendas o więcej się nie troszczą. Hoduje się tu głównie bydło rogate, owiec niewiele. Z tego powodu pewien polak w Kurytybie chciałby, aby tutaj Polacy osiadali i rozwinęli hodowlę owiec dla wełny, tak bardzo Polsce potrzebnej. Ale dotychczas jego nawoływania nie odnoszą skutku. Brazylijczycy nie lubią mięsa baraniego. Dlatego zapewne nie rozwinęła się tutaj dotąd hodowla owiec i dalej na te same trudności natrafia.

Brak kolei, brak rynków zbytu zagranicą. Co innego w Argentynie!

Cena przeciętna sztuki bydła nie jest tutaj wysoka. Hodowca musi posiadać duże stado, najmniej kilka, kilkanaście tysięcy sztuk (stado

większe), potrzebując dla wyżywienia go ogromnych obszarów stepu. Bydło dostaje trochę soli i wędruje po stepie, żywiąc się trawą. Na sztukę bydła potrzeba około 3 hektarów przestrzeni stepu. A więc fazenda tutejsza to kilkanaście tysięcy hektarów stepu i kilka tysięcy sztuk krów i buhajów, co kosztuje kilkaset tysięcy milrejsów. Wśród kolonistów Polaków w Paranie—mówiono mi — o takie kapitały trudno. Na palcach policzyć można takich kapitalistów, i to nie wśród rolników, lecz wendziarzy. A z Polski chyba nie przyjedzie tutaj posiadacz takiego kapitału, aby hodować bydło. Gdyby się znalazł taki, Brazylijczycy w Paranie zapewne postawiliby mu — pomnik.

Słowem wielka fanfara reklamy, zachęcająca, aby naród nasz, który dorobił się nieco grosza w Santa Catharina czy Rio Grande do Sul lub w Paranie, szedł w bory za Guarapuawę, jest, jak mi mówiono w kolonjach parańskich, humbugiem południowo-amerykańskim. Paru panów Szachrajkiewiczów dostało 20.000 alkrów czy więcej boru na kredyt czy „za parę butów“ czy wreszcie przypuszczalnie po 10 milrejsów za alkiery, zaś sprzedać chce po 70 milrejsów za alkiery. Interes dobry dla nich, ale nie dla kilkuset polskich rodzin kolonistów.

Zmieniłyby się nieco stosunki, gdyby oczekująca od lat przynajmniej 20 na kolej Guaruapuawa dostała nareszcie kolej. Cena gruntu poszłaby tam w górę, ale oczywiście zawsze potrzebny tam byłby do gospodarki czyli hodowli bydlę wielki kapitał.

Tak wygląda w rzeczywistości legenda o „nowej ziemi obiecanej“...

Wendziarze a kooperatywy.

„Na półkach lub zewnątrz w wystawie oszklonej:
„Masz „doce“ obok „szopów“ lub „pescado“ słonej
„Mydło“ obok „mantejgi“, „vinho“ obok nafty,
„Obok wstążek „fogety“, obok „herwy“ — hafty!“

(Piotr Sיעiński: *„Echo z Brazylii“*).

Gdy kolonista nie miał jeszcze własnych zbiorów, wszystko co do życia było mu potrzebne kupował od wendziarza (sklepikarza), który mieszkał, niekiedy w oddaleniu od szakra kolonisty, więc trzeba było do wendy przedzierać się przez

W wendzie (sklepie) parańskiej można dostać wszystkiego, co potrzebne koloniście. *Doce* — ciasta i cukry; „szopy“ (chops) piwo w sklankach, „pescado“ — ryba; „manteiga“ — masło; „vinho“ — wino; „fogety“ — ognie sztuczne.

gąszcz leśny, robić szmat drogi i tracić czas, potrzebny do robót rolnych. Szukali więc koloniści żywności i przynosili ją na własnych ramionach. Nie wszędzie odrazu Polak założył małą wendę czyli sklep kramarski na kolonjach z polską ludnością. Często jaki Niemiec czy inny cudzoziemiec przywędrował z towarem, wartości kilku milrejsów, złożonym na małym wózku, spieniężył go z ogromnym zyskiem wśród Polaków, pojechał po nowy towar, założył wendę i z bogacił się na pracy kolonistów. Pierwsze trzy lata kolonista wyłącznie dla kramarza pracował, dla kramarza, z którym z trudnością mógł się porozumieć. Kramarz ustanawiał cenę produktów rolnych, nie płacił za nie pieniędzmi, tylko proponował koloniście oddać mu je za inne towary, wreszcie ostatecznie sprzedać mu swe produkty za byle co, to też wszędzie koloniści Polacy radzi byli, gdy Niemiec czy inny cudzoziemiec wyniósł się od nich, oczywiście z bogacony, a na jego miejsce zjawiał się wendziarz Polak, spodziewali się bowiem, że ustanie wyzysk, wendziarz zaś Polak będzie przyczyniał się do utrzymania polskiej szkoły. Mało jednak było tych polskich wendziarzy.

Na zmianę na lepsze wpływała dopiero kolej, bo wtedy można było produkt dowieźć do

miasteczka lub miasta. Pod Kurytybą czy Ponta Grossa czy gdzieindziej niedaleko od większego miasteczka, obok którego przebiega kolej, koloniści wyzwali się nieco z zależności od obcych przeważnie wendziarzy i zbywali sami swe produkty.

Pytałem się Polaków, którzy długie lata, po parę dziesiątków lat w Brazylii mieszkają, co myślą o handlu polskim w Paranie? Powiedzieli mi, że handel polski w obszerniejszym znaczeniu prawie że nie istnieje. W Kurytybie jest tylko kilka sklepów, prowadzonych po kupiecku. W całej Paranie są tylko wendziarze. Wendziarz na kolonji i żydek karczmarz we wsi polskiej to dwa jednakowe typy. Jeden i drugi wyzyskuje i roz-pija mieszkańców. Wendziarz góruje nad żydkiem, bo w Paranie może brać za swój towar tyle, ile mu się żywnie podoba, ma nieograniczoną normę procentową. A nadto prowadzi handel zamienny. Zarabia podwójnie: na swoim towarze i na otrzymanych wzamian produktach rolnych. Kolonista wie, że go wendziarz wyzyskuje a nieraz i okpiwa, ale bez niego obejść się nie umie i nie może.

Opowiadał mi pewien Polak o swej pracy w sekretarjacie rolnictwa, gdzie był dział propagandy, kontrola i rozdawnictwo zboża pod zasiew. W biurze tem otworzono specjalny dział informa-

cyjny dla kolonistów w celu informowania ich o cenach zboża, pośredniczenia przy zakupach produktów żywnościowych i t. d. Prowadzono też agitację zrzeszania się kolonistów w spółki kooperacyjne i zakładania przez nich własnych sklepów. Agitacja dała dobre wyniki: koloniści listownie żądali informacji, zgłaszali się też sami, żądali pomocy w zakładaniu kółek kooperacyjnych. Opracowano odpowiedni statut i z pozwolenia rządu rozpoczęto organizowanie centrali kooperatystów w Kurytybie i założenie sklepu hurtowego. Sprawa była na dobrej drodze. Tymczasem do prezydium weszły żywiły niepożądane t. j. kupcy kurytybscy i — sprawa, doskonale zapoczątkowana i rokująca powodzenie, została przez Brazylijanów pogrzebana. Podobno jednak istnieją jeszcze założone z inicjatywy wspomnianego biura informacyjnego sklepy współdzielcze w Iraty, Apucarana i kilku innych kolonjach.

Działalność biura informacyjnego na kolonjach wywołała wielką burzę wśród wendziarzy. Jak ulewny deszcz spadły skargi wendziarzy do rządowego sekretarjatu rolnictwa w Kurytybie. Byli tacy wendziarze Polacy — mowa tu tylko o wendziarzach Polakach — którzy oskarżyli organizatorów centrali kooperatystów w Kurytybie i składu hurtowego polskiego o propagandę an-

tyrządową. Akcja ta jednakże wywołała wręcz przeciwny skutek, gdyż wkrótce organizatorzy otrzymali aprobatę sekretarjatu rolnictwa w sprawie organizowania kooperatyw. Mimo to sprawa została pogrzebana.

— Nie spotkałem kolonji, gdzieby nie uskarżano się na wyzysk wend, gdzieby nie mówiono, że rezultat pracy kolonisty posiadał wendziarz z łatwością i bez wysiłku — opowiadał mi ów Polak, organizator centrali kooperatystów.

Zdaje się, że machnął dzisiaj ręką na świat parańskich wyzyskiwaczy i patrzy na niego przez palce. Wendziarze mają wpływy i posady do rozdania. Żądają tylko, aby Polak w Paranie wyleczył się szybko z choroby szlachetnych zamiarów i dążeń do pracy dla dobra tutejszych kolonistów polskich. Oni mają tylko monopol na „szlachetne” zamiary i czyny — dla dobra własnej kieszeni.

— Tutaj więc należałoby skierować całą energję ku wydobyciu kolonisty ze szponów pa-skarskich, pomocą zaś tą będzie kooperatywa. Nie wątpię — opowiadał mi — że znajdą się tutaj ludzie dobrej woli, którzy, pomijając swój własny interes, poświęcą na ten cel trochę wolnego czasu i pracy i zasłużą sobie na wdzięczność i uznanie kolonistów polskich.

Dotychczas w tym kierunku w Paranie nic nie zrobiono. Dla dobra ogółu kolonistów należałoby wendy usunąć.

W ogłoszonej niedawno korespondencji z Parany w jednym z pism warszawskich wyczytałem, że życie w Paranie cechuje martwość od chwili przyjazdu tutaj (styczeń 1920) konsula p. K. Głuchowskiego z ogromnym personelem konsularnym.

Otóż p. G. oparł swą „działalność społeczną” na — poparciu wend. Dla nich chciał powołać do życia Izbę handlową.

Jacy to kupcy, finansiści i działacze handlowi weszliby do tej Izby, dla kogo, w jakim celu istniałaby ona? Zadaniem izby handlowej jest opieka interesów kupieckich, rozwój handlu i t. d. W Paranie w braku kupiectwa Izba musiałaby wziąć w opiekę wendziarzy, eksploatatorów, wyzyskiwaczy kolonistów polskich. Wspaniałe zdanie! Zamiast ich usunąć, chciano ich popierać.

Ułatwiając wendziarzom nabycie towarów po tańszej cenie, na dogodniejszych warunkach, Izba handlowa przysparzałaby im jedynie większe zyski. Kolonista nic na tem nie skorzysta, lecz jak i dawniej będzie przez nich odarty z „dziesiątej skóry”, jak mówią tu w Paranie. Inicjatorzy Izby handlowej mieli oczywiście na widoku zało-

żenie hurtownego składu towarów. Interes to znakomity i wielce intratny i byłby użyteczny dla kolonistów polskich w Paranie, gdyby należał do centrali kooperatystów. Jako własność kilku wzbogaconych byłych wendziarzy, hurtowy skład towarów będzie miał za zadanie jedynie potrojenie w krótkim czasie majątków tych b. wendziarzy. Na prywatnym hurcie zarobi wendziarz, zaś na kooperatywie hurtowej zyska ogół dotkliwie wyzyskiwanych dotychczas kolonistów. Słowem, w obecnych warunkach życia parańskiego Izba handlowa byłaby tworem chybiającym celu i absolutnie nie odpowiedziałaby swemu zadaniu, z tego powodu, że kupiectwa polskiego w Brazylii nie ma, trzeba je dopiero stworzyć.

Oczywiście koloniści zrozumieli, co to będzie za Izba handlowa; nikt się nie interesował tym projektem i „martwota“ panuje.

Humorystyczna „Osa“ w Kurytybie ogłosiła nekrolog Izby, „którą Bóg dobrotliwy powołał do siebie po krótkich lecz ciężkich cierpieniach nim światło dzienne ujrzała“. Nekrolog ten figuruje obok nekrologu niedoszłego banku polskiego w Kurytybie. Zmarł on „po szumnej a nieudanej reklamie na siedm miesięcy przed narodzeniem się wraz z kochaną swą matką Izbą“.

Nieufnie patrzyli koloniści na projektowany bank polski. Miał on przy współdziałaniu konsulatów zrealizować projekt skupienia kolonistów Polaków z poza Parany w jednej miejscowości Parany. Obawiali się koloniści, że bankiem polskim owładną kapitaliści, byli wendziarze, żądni wielkich zarobków. Wprawdzie inicjatorzy banku starali się ich przekonać, że bank będzie umiał użyć korzystnie kapitałów, które mu koloniści wypożyczą, a jest ich podobno w bankach brazylijskich jakieś 10 milionów milrejsów, wprawdzie inicjatorzy starali się o poparcie finansowe rządu polskiego, ale wszystko zawiodło. Koloniści nie zaufali ani inicjatorom, ani konsulowi, pieniędzy nie dali i kwita.

Czy bank prowadziłby sprawę kolonizacji korzystnie? Zwolennicy banku głosili, że Parana posiada obszary niezaludnione o niezłej glebie, nadające się do kolonizacji; rząd sprzedałby je na dogodnych warunkach, a nawet dałby pewną pomoc, o ile kolonizacją zająłby się bank polski przy współdziałaniu konsulatów, nie zaś spółka prywatnych kapitalistów.

Oponenci nie ufali. Wiedzieli, że bank potrzebuje wielkiego kapitału, który właśnie oni mieli dostarczyć. Coby potem było? Ha, hi-

storja banków w Polsce świadczy, że można je podejrzewać o spekulacje.

Wiadomo tylko, że ci ludzie, którzy tak krytycznie wyrażali się o oddaniu sprawy kolonizacji w ręce prywatne, mówiąc, że prywatna spółka nie jest w możności zgromadzenia odpowiedniego kapitału na nabycie wielkiego terenu a następnie jako zwykły spekulacyjny interes zaufania kolonistów nie zdobędzie, ci sami ludzie, widząc, iż bank nie powstanie wskutek ogólnej nieufności, utworzyli cichą spółkę, która zakupiła czy też wzięła na kredyt tereny nadzwyczaj tanie, bo gdzieś na krańcu Parany, za Guaruapuawą, t. zw. Amola Faca, i nawołując w kurytybskim tygodniku „Świt“ kolonistów, aby ruszyli w te bory, odległe od kolei, chcą jedynie zrobić dobry interes, sprzedając drogo tereny. Bank, który chcieli powołać do życia, miał przeprowadzać kolonizację jako czyn obywatelski i patriotyczny, nie jako interes, na którym można się dobrze obłowić. Ta spółka nie liczy już bardzo na zaufanie kolonistów, lecz na reklamę (O, Guarapuawa magiczne słowo, Ziemia Obiecana i t. p.), bo interes jest korzystny; ze sprzedaży $\frac{1}{4}$ wziętego na kredyt terenu już można spłacić cały teren i jeszcze mieć zysk.

Przed wyjazdem do Parany dla zbadania tamtejszych stosunków, byłem raz na zebraniu ludzi, interesujących się rozwojem naszych kolonij t. j. skupień Polaków na obcej ziemi. Słyszałem na tem zebraniu wymowne słowa p. P., b. parańczyka, który roztoczył przed słuchaczami bardzo piękny obraz Parany, pokrytej polskimi kooperatywami, całą siecią kooperatyw.

To jest teoria. A praktyka to jest taka, że gdy do Parany przyjechało na krótko przedemną dwu kooperatystów z Polski, to jednemu z nich wendziarze zaraz dali miejsce przy swoim żłobie jako pokornemu, obawiającemu się walki z nimi, drugiemu zaś bardzo inteligentnemu, odważnemu, szczeremu ideowcowi, utrudniali życie, jak mogli i napisali w tygodniku „Świt“ (z d. 15-czerwca 1922 r. № 23): „A niestety, naskutek fałszywych informacji pewnych jednostek w kraju, ostatnimi czasy skierowano tu paru ludzi, których przygotowanie fachowe zupełnie tu nie ma zastosowania. Nie mamy tu niestety miejsc dla kooperatystów, gdyż dzięki pewnym specjalnym lokalnym warunkom, z którymi niestety w kraju pewni działacze się nie liczą, nie mamy kooperatyw“.

Te „pewne specjalne lokalne warunki“ to tylko żądza parańskich wendziarzy zbgacenia

się *coûte que coûte*. „Skoro się wzbogacimy... to co innego“, wtedy niech powstają kooperatywy (za setki lat, kiedy nie będzie Polaków w Paranie), a tymczasem skoro przyjedzie do Parany kooperatysta z Polski, to wtedy jaki parański „potentat“ na Baccachery, na Maréchal Mallet, na Apucarana czy na Guarapuawa bierze tego kooperatystę na małe wyjaśnienie i powiada doń:

— „Mój panie, to nie Europa, to Ameryka, kraj antypodów, tu wszystko na wspak, majątku nie robi się utartymi sposobami w Europie, lecz inaczej. Kto ma spryt...“

Oczywiście oficjalnie teoria jest inna. Bo ta teoria jest przeznaczona dla zamydlenia oczu krajowi macierzystemu, Polsce, która interesuje się Polakami, zamieszkałymi w Paranie. Sam czytałem w „Świcie“ taki głos w sprawie kooperatyw:

„Już od szeregu lat zastanawiając się nad życiem polonji parańskiej, doszedłem do wniosku, że sprawy nasze mogłyby zupełnie inaczej pójść, gdyby się udało powołać do życia w Paranie szeroką organizację spółdzielczą, obejmującą wszystkich kolonistów. Zarówno zbyt i zakup wszystkiego, czego kolonista potrzebuje, jak udoskonalenia techniczne w gospodarstwie, dają się skutecznie osiągnąć tylko na drodze organizacji

spółdzielczych. — Póki w Paranie nie powstanie szereg organizacji spółdzielczych, związanych w jeden wielki związek, obejmujący cały kraj, — póty nie będzie możliwości wyjścia ze stanu dotychczasowej vegetacji — boć nie możecie przeczyć, że dotychczasowe życie parańskie to naprawdę tylko vegetacja.

Wydaje mi się, że w Paranie po wszystkich kolonjach powinny powstać stowarzyszenia spółdzielcze, zajmujące się przede wszystkim zakupem i zbytem t. j. zakupywaniem tego wszystkiego, czego rolnik potrzebuje i zbywaniem tego, co on produkuje. Oprócz tych powinny powstać stowarzyszenia kredytowe — kasy oszczędn. i pożyczek, których zadaniem jest nie tylko dostarczanie rolnikowi taniego kredytu, lecz również podnoszenie jego gospodarstwa, co jedynie przez kredyt spółdzielczy osiągnąć można. — Jest to bodaj jedyna droga podniesienia dobrobytu kolonistów i wciągnięcia ich masowo do udziału czynnego w życiu społecznem, jedyna droga stopniowego przekształcenia ich ze ślimaków, zamkniętych każdy w ciasnej skorupie swych małych interesów, na samodzielnych, samorządnych obywateli.

Dopiero na podstawie takiej dużej organizacji ekonomicznej może rozwinąć się życie kul-

turalne, mogą znaleźć się i środki i ludzie do prowadzenia szkół, domów ludowych, może wydawnictw i t. p. Dopiero na podstawie takiej organizacji ekonomicznej może rozwinąć się grupa polityczna, broniąca interesów kolonistów.

„Jeśli chodzi o prawidłowe zaludnienie i skolonizowanie Parany, to zadaniu tem należycie podołać mogą tylko organizacje spółdzielcze — właściwie każda nowa kolonja powinna od samego początku powstawać jako kooperatywa drobnych posiadaczy, związanych statutowo i załatwiających wspólnie wiele spraw najważniejszych. Cała kolonizacja parańska zupełnieby inaczej wyglądała, gdyby koloniści osiadali na roli nie niezależnie jeden od drugiego, lecz powiązani w stowarzyszenia spółdzielcze.

„To jednak sprawa dalsza — tymczasem chodziłoby o zorganizowanie spółdzielcze tego, co już siedzi na roli.

„Spółdzielczość — to jedyna organizacja gospodarcza, w której można pozostawać w zgodzie z sumieniem, mieć zarobek i rzeczywiście przyczynić się do dobrobytu ogólnego.

„Jeśli dobrze przypominam sobie, już przed jedenastu laty z Paryża pisałem był do Was, o konieczności postawienia polonji parańskiej na podłożu organizacji gospodarczej. Jenó wów-

czas nie znałem spółdzielczości tak dobrze jak dzisiaj i nie mogłem występować z projektami konkretnymi. — Rok temu pisałem do Was nieco o naszym ruchu spółdzielczym i zachęcałem Was do przyjechania, aby zapoznać się z nim. Dzisiaj w dalszym ciągu wydaje mi się, że Wy powinniście gorliwie zająć się spółdzielczym zorganizowaniem Parany.

„Spółdzielczość — to bynajmniej nie trudna sprawa: potrzeba tylko poznania zasad i metod organizacyjnych, a przytem dużo praktyczności, przedsiębiorczości i uczciwości — oto wszystko.

„Anglicy powiadają, że stowarzyszenie spółdzielcze to taki interes, w którym dobrze się czują ludzie uczciwi, — to właściwie jedyna dzisiaj forma gospodarcza, w której zupełna uczciwość i niczem nieograniczona jawność w działaniu są nieodzownym warunkiem powodzenia.

„Wiecie dobrze, że organizacje spółdzielcze przyniosły olbrzymie rzeczy robotnikom angielskim, że cała Danja jest zorganizowana spółdzielczo, podobnie wielkie znaczenie zdobyła sobie spółdzielczość w Holandji, w Szwajcarji, we Włoszech.

„W Rosji przed wojną z roku na rok rozwijała się spółdzielczość kolosalnie, a na Syberji — gdzie warunki gospodarcze w wielu punktach

przypominają Parane — opanowała poprostu całe rolnictwo i przyniosła korzyści nieobliczalnie wielkie.

„W Polsce z powodu braku samodzielnego bytu państwowego dotychczas nie mogła rozwinąć się należycie — w ks. Poznańskim jednak poczyniła postępy olbrzymie i cała przedwojenna tak mocna organizacja polska w Poznańskim oparta była niemal wyłącznie na stowarzyszeniach spółdzielczych.

„Nie jest to więc jakaś mrzonka książkowo-teoretyczna, lecz od szeregu lat i w wielu krajach wypróbowana demokratyczna, prawdziwie ludowa i sprawiedliwa forma gospodarowania.

„Wydaje się mi, że w Paranie dla rozwoju spółdzielczości grunt jest bardzo odpowiedni. Powinny tam powstać stowarzyszenia po wszystkich kolonjach, stowarzyszenia te powinny utworzyć związek centralny, który byłby wielkim domem eksportowo-importowym; w przyszłości powinien powstać bank spółdzielczy i spółdzielcze towarzystwo kolonizacyjne.

„A na to wszystko bynajmniej nie potrzeba kapitałów milionowych — potrzeba tylko pracy kilku ludzi dobrej woli, oddanych wyłącznie temu zadaniu i znających się na rzeczy, uczciwych posiadających zdolności organizacyjne.

„Spółdzielność nie działa piorunująco, lecz powoli, to nie towarzystwo akcyjne, które może od razu rzucać milionami. Stowarzyszenia spółdzielcze i ich związki wyrastają powoli, w ciągu lat, ale za to są nadzwyczaj trwałe, a zmiany gospodarcze i moralne, sprowadzone przez nie sięgają bardzo głęboko“.

To jest piękna teoria, którą wędziarze lubią się popisywać przed Polską. Ich praktyka w Paranie jest — smutna.

Życie na kolonjach.

Znacie już kraj o klimacie ciepłym, niebie prawie zawsze pogodnym, kraj wolny, cichy, a tak odległy od gwaru życia w Polsce, gdzie Polak przeżywa często i gorzkie godziny walki o lepszą przyszłość. W Polsce są ludzie niespokojni, podnieceni, zmieniają często swe nastroje, życie nie płynie pogodnie, bez wstrząśnień i zawodów. A tutaj w polskich kolonjach parańskich jak życie płynie? Czy panuje tu pełnia radości życia?

Bywałem często w kolonji Affonso Penna, oddalonej o 14 kilometrów od Kurytyby. I widziałem tutaj ludzi żyjących ze sobą zgodnie, nie różniących się w swych przekonaniach, pojęciach, sposobie życia. Wszyscy doszli do równości

społecznej, na wolnej ziemi brazylijskiej wszyscy uważają się za równych.

Założona przed kilkunastu laty, kolonja ta była początkowo zamieszкана przez sporo kolonistów, kreowanych z rzemieślników. Porzucili oni swe szakry i udali się do miast. Dzisiaj kolonja ta jest dobrze zagospodarowana, ale zagospodarowali ją prawdziwi rolnicy, którzy przybyli tutaj z różnych stron Parany z pieniędzmi, zaoszczędzonymi z pracy na roli. Sadzą tutaj kuku rydźę, zboże, warzywa. Mają także ogródki owocowe, hodują jabłonie, grusze, śliwy i inne drzewa i krzewy owocowe. Mają także mleczne gospodarstwa, po parę krów i choć nie można ich uważać za zamożnych, jednak żyją w dobrobycie.

Powiedziano mi, że na Affonso Penna wśród kolonistów niema byłych parobków dworskich, którzy nie umieją wznieść się na wyższy poziom społeczny, gdyż pracują wprawdzie zawzięcie, lecz dziczeją, bo obywają się byle czem i nie dbają o oświatę.

Na Affonso Penna koloniści dbają bardzo o oświatę, ba również i o teatr amatorski, urządzając często przedstawienia w sali budynku szkolnego. Ostatnio założyli u siebie uczelnię rolniczą. Poznałem tutaj bardzo miłych ludzi: pp. Stefana Wierzyńskiego, który szerzy w Paranie kulturę

sadowniczą, państwo Nikodemów (pani jest warszawianką), Grabiasów, Jaworskich, Ćwikłów i in.

P. S. Wierzyński pracuje tutaj od lat pięciu i założył na swym szakrze sad owocowy oraz szkółkę z kilku tysięcy drzew owocowych na sprzedaż, spore pole z krzakami malin i drugie obsadzone truskawkami. Ogrodnictwo w Affonso Pena wymaga nawozów, gdyż ziemia jest tutaj jałowa. Wyrabiają się tutaj także przetwory owocowe.

Czy ogrodnictwo w Paranie ma widoki powodzenia? Zdania są podzielone. Po próbach początkowych powstało mniemanie, iż nie da ono spodziewanych korzyści. P. Wierzyński stara się przeciwdziałać tej opinii. Jest pionierem sadownictwa w Paranie, zwrócił nawet na siebie uwagę rządu parańskiego, który przyznał mu subwencję na propagowanie ogrodnictwa w Paranie.

Luździe są tutaj mili, gościnni i przyjemnie tutaj życie się pędzi. Przybywałem tutaj w gościnną bez ceremonji nawet późnym wieczorem. Zamiast budzić śpiących, szliśmy, ja i towarzysz mój p. T. Głodowski do sąsięka i zagrzebywaliśmy się w siano, bo noce były chłodne. Niebo było jasne. Dokoła panowała taka cisza, że zdaje się można było posłyszeć, „kędy wąż śliskiem ciałem przemyka się w trawie“. Żmij jest dużo w Paranie i trzeba być ostrożnym, ale była to pora zi-

mowa, ukryły się w różnych dziurach. Budziłem się w nocy i szedłem na wzorowo urządzone pod względem gospodarskim pole p. Grabiasa, aby obserwować nocny krajobraz parański. Księżyc oświecał go srebrzystym światłem. Nieliczne gwiazdy migotały. Gwiazdozbiór na drugiej półkuli nie jest tak świetny, jak na naszej. Pinjory stały zadumane, nie poruszał je najlżejszy powiew wiatru. Affonso Penna otoczone jest lasami sosnowemi.

Te pinjory (*araucaria brasiliensis*) są dumą Parany. Po drzewach palmowych są one najpiękniejszym drzewem dekoracyjnym a równocześnie użytkowym. Szyszki pinjorowe dają owoc, który upieczony ma smak przypominający trochę pieczone kasztany. Surowe owoce też się zużytkowuje, lubi je bardzo nierogaczna.

Wspaniałe są te lasy parańskie. Sosny parańskie mają wygląd olbrzymich parasoli lub olbrzymich grzybów. Pinjor dosięga wysokości 15 — 20 metrów, obwód drzewa ma w przecięciu 2 metry. Są olbrzymy sięgające 45 metrów wysokości. Najwięcej pinjorów jest w Paranie, gdzie razem z drzewem *herva mate* tworzy ogromne lasy. Drzewo pinjorowe używa się na budowę domów, na deski, belki, na maszty, na beczki do *herva mate*. Jest też doskonałym materiałem palnym sęk pinjorowy. Robiono doświadczenia

nad dozywaniem smoly z tych sęków, okazało się, że zawierają przednią smołę, lecz dozywanie jej jest kosztowne.

Na drzewo pinjorowe było największe zapotrzebowanie w Argentynie, która obecnie sprowadza nasiona sosny północno-amerykańskiej, aby w ten sposób ograniczyć zapotrzebowanie produktu brazylijskiego, zastępując go własnym.

Również wartościowem drzewem jest imbuia (*nectandra speciosa*), wielkie rozłożyste drzewo, o bielejącym pniu, doskonałym materjałe do wyrobu wykwinnych mebli. Parana posiada dużo drzew tego gatunku i wywozi znaczną ilość do Rio de Janeiro.

Wśród tych lasów na kolonji parańskiej krajobraz tak wybitnie odmienny jest od naszego. Nad gąszczem podszycia leśnego, złożonego z różnych mniejszych drzew i krzewów, wznoszą się w pewnem oddaleniu jedna od drugiej sosny parańskie, olbrzymie parasole. Teren pagórkowaty. Droga, oznaczona nielicznymi drzewami, mija pole uprawne i domy kolonistów.

Znać w domach dbałość o estetyczny wygląd. Dom np., zamieszkały przez pp. Nikodemów, to gustowny budynek piętrowy, willa w stylu włoskim, mająca zewnątrz szerokie schody, wiodące na piętro.

Wspomniałem, iż na Affonso Penna jest dużo zamiłowania do sztuki dramatycznej. Bardzo często na scenie w szkole grają amatorzy; są tutaj ludzie, którzy chcą rozwinąć ten teatr amatorski, uczynić go bardziej interesującym przez wystawianie dobrych sztuk; chcą też szkołę postawić na wyższym poziomie; inaczej patrzą na życie, niż na innych kolonjach, gdzie pomimo zamożności kolonistów brak środków na szkolnictwo. Na Affonso Penna jest dużo ludzi świątłych. Upłynęło lat kilkanaście od powstania tej kolonii. Koloniści nie stracili czasu daremnie, doszli do dobrobytu i dbają o oświatę.

Nie można tego powiedzieć o wielu innych kolonjach parańskich. Naprzykład taka Palmeira, znajdująca się niezbyt daleko od dwu większych miast parańskich: Kurytyby i Ponta Grossa, przy linii kolejowej.

Następująca korespondencja, którą ogłosiło pismo tygodniowe „Świt” w Kurytybie, zcharakteryzuje tę kolonję polską:

„Szkolę postawiliśmy w roku 1915, jest to budynek dość duży. Wykosztowaliśmy się niemało. Ale cóż z tego? Szkoła stoi pusta już dwa lata i dzieci nasze dziczeją!... W pierwszych latach mieliśmy kolejno 2 nauczycieli i jedną nauczycielkę, ale krótko uczyli, po parę miesięcy

każde i uciekali dalej, a to wszystko z braku pensji. Na tę chorobę suchot kieszonkowych cierpią tu w Paranie prawie wszyscy nauczyciele.

Nas jest bardzo mało kolonistów, a do tego niema jedności, jak wszędzie, i zrozumienia potrzeby oświaty dla dzieci. Jest nas tu 10 rodzin, a członków towarzystwo nasze liczy 15-tu. Stałe do szkoły uczęszczało tylko 14 dzieci. Na posiedzeniu naszego towarzystwa im. Adama Mickiewicza uchwaliliśmy płacić nauczycielowi po 2 milrejsy od dziecka, a gdyby była jakaś osoba dobra do uczenia dzieci, tobyśmy podwyższyli od dziecka więcej*.

We wszystkich prawie pomniejszych kolonjach polskich panują podobne stosunki. Przed wojną po trochu napływali z Polski różni inteligenci i półinteligenci, którzy, nie mając innego sposobu do życia, bywali nauczycielami. Teraz brak nauczycieli. Nawet takie szkoły, gdzie towarzystwa szkolne gwarantowały po 150 milrejsów miesięcznie, były przez pewien czas zamknięte.

Obecnie Polska sama odczuwa ogromny brak nauczycieli i jedynym wyjściem z tej sytuacji jest wytworzenie tu, w Paranie nauczycieli i nauczycielek, którzy nauczą się dostatecznie władać w mowie i piśmie językiem portugalskim

i zdadzą egzamin na prywatnego nauczyciela, a zarazem nauczą dzieci polskie płynnie czytać i pisać po polsku i kochać ojczyznę swych przodków.

Jedyną w Paranie średnią polską szkołę zwiedziłem w Marechal Mallet, miasteczku, oddalonym o kilkaset kilometrów od Kurytyby. Jechałem z Ponta Grossa podczas pięknego dnia słonecznego. Kolej mknęła przez ogromne stopy. W wagonie spotkałem kilku Polaków, którzy jechali do osady polskiej za Guarauna. Zawiązałem rozmowę z jednym z Polaków, wypytuję go o kolonje polskie. Niewiele mogłem się od niego dowiedzieć, gdyż prawie całe swoje życie (miał około lat 50) przepędził na pracy w tartakach wśród Brazyljan. Jako mały chłopiec przybył z rodzicami z Górnego Śląska do Brazylii i spędził całe życie w Paranie. Nie zadał mi ani jednego pytania, świadczącego, że interesuje się Polską, chociaż wspomniałem, że przyjeżdżam świeżo z Polski. Prawdopodobnie miał bardzo słabe wyobrażenie o współczesnej Polsce, mówił jednak dość dobrze po polsku. Dwaj jego towarzysze, także Polacy, jak mówił, nie wyrzekli ani jednego słowa polskiego i mówili wyłącznie po portugalsku. Całe to towarzystwo zresztą zdradzało silny wpływ kaszasu (wódka z trzciny cu-

krowej), którym musieli się uraczyć przed wejściem do wagonu.

Marechal Mallet leży wśród wzgórz, pokrytych lasem, dość rzadkim, pinjorowym, mającym również i drzewa herwowe. Jest tutaj kilkadziesiąt domów drewnianych i kilka wend, z których największa należy do p. Romana Paula, jednego z najbogatszych wendziarzy-Polaków. Jest tu także hotel polski; zbudowano również niedawno kaplicę.

Szkoła leży za miasteczkiem, na wzgórzu, pod lasem. Posiada dwa budynki drewniane, które obecnie już nie wystarczają potrzebom szkoły, to też rozpoczęto budowę domku drewnianego dla nauczyciela i kopanie fundamentów pod murowaną bursę dla chłopców. — Budynki mieszczą się na terenie kilkomorgowym, jeszcze niezupełnie uporządkowanym i wykorzystanym wskutek braku sił odpowiednich. Kierownikiem szkoły jest p. J. Rolek. Do szkoły uczęszcza kilkadziesiąt dzieci, z których 17 zamieszkuje w bur-sie szkolnej. Szkoła posiada 3 oddziały elementarne i 4 szkoły średniej, na to wszystko jest tylko dwu nauczycieli. Wszędzie czystość, porządek, tylko ciasno. Szkoła posiada gabinet fizyczny, zbiory zoologiczne i bibliotekę. Szkoła

przechodziła bardzo ciężkie chwile i teraz dopiero po 12 latach istnienia życie w szkole zaczyna bić żywszem tempem.

Nawet i obecnie zakład nie ma zapewnionych stałych funduszków — i dotychczas tylko dzięki ofiarności garstki obywateli mógł istnieć.

Miałem sposobność zwiedzenia miejscowości okolicznych za Marechal Mallet'em.

Dorizon, Paulo Frontim i Vera Guarany należą do municypjum w Rio Claro. Trzy pierwsze miejscowości są zamieszkane przeważnie przez Rusinów. Ostatnia jest czysto polskiem osiedlem.

Koloniści tutejsi, posiadając ziemię ubogą, nie mogą żyć wyłącznie z rolnictwa. Wreszcie w Paranie rzadko kto żyje wyłącznie z roli. Tutejsi Rusini, zasiawszy pole kukurydzą lub ryżem, zasadziwszy czarną fasolę i trochę ogrodowizn, spędzają większą część roku na robotach na kolei lub w tartakach. Dla kolei wyrabiają podkłady t. zw. „dormenty“ z drzewa twardego, zarabiają nieźle, pracują też jako robotnicy kolejowi, na dniówkę i t. p. Zdaje się chwilami, jakby w kolonjach ludzi nie było, tak tu cicho.

Na takiej kolonji życie smutne, szare, monotonne. Wogóle poziom życia jest bardzo niski,

o rozrywkach, poza grą w karty lub grą na harmonji, nie można myśleć.

W Dorizonie w pobliżu Marechal Mallet jest jedna wenda polska p. Długosza, właściciela tartaku, pozatem rusińskie. Jest też garbarnia p. Tracza, Rusina, wyprawiającego skóry tutejszych dzikich zwierząt jak *cachorro do mato* (rodzaj szakala), *grachał* (zwierzątko w rodzaju naszego lisa), *guara* (rodzaj wilka), *irara* (dziki kot); ze skór dość ładna jest skóra wydry brazylijskiej, skóry innych zwierząt nie odznaczają się trwałością ani pięknnością. Polowanie w lasach parańskich jest rzeczą trudną, ze względu, jak już wspomniałem, przedzierania się przez gęstwiny leśne, to też rzadko który z kolonistów mu się oddaje.

Wycieczki po okolicy tutejszej przedstawiają pewien urok. Jedziemy małym wózkiem (z niezbędnym hamulcem), zaprzężonym w parę mocnych, niepodkutych koni, po wertepach parańskich. Drogi parańskie nie odznaczają się równością powierzchni: najczęściej jest to jazda z góry na dół i odwrotnie, po wąskich, wyboistych drogach; śmiały woźnica kręci ustawicznie hamulcem, zahamowując tylne koła podczas jazdy w dół; trzeba się silnie trzymać poręczy siedzenia, aby nie spaść

na drogę lub w zarośla leśne; wymijanie się dwóch wózków podczas ciemnego wieczoru nie należy też do rzeczy bezpiecznych, łatwo kark skreślić. Popsuje się (bywa to często) droga w jakim miejscu, wówczas na miejscu tworzy się kawałkada rozmaitych wózków, wiozących drzewo, towary; kilkunastu lub kilkudziesięciu dzikich, silnych, ubranych jak cowboj'e woźniców, bierze się solidarnie do naprawy mostku na lichej rzeczce lub dziury w drodze i znów jazda dalej. Widziałem taką scenę na Vera Guarany niedaleko Dorizonu.

Przyjechawszy tam, zatrzymaliśmy się u miejscowego wendziarza p. Hulewicza. Główną treścią rozmów podczas wieczoru były opowiadania o bandycie Fabricio, którego — podobno — rządy stanowe (Parany i Santa Cathariny) używają, oczywiście nieoficjalnie, podczas zamieszek rewolucyjnych do podrzynania gardeł przeciwników politycznych. Tym sposobem Fabricio żyje sobie tak hucznie i wesoło, jak jaki bogaty fazendeiro; posiada 6 żon w różnych miejscowościach, odwiedzając każdą co pewien czas. Wogóle o rozbojach w Paranie słyszałem dość często; stosunkowo więcej tutaj ludzi ginie, niż w Europie, gdzie bandytom trudniej się ukrywać, aniżeli wśród lasów brazylijskich.

Jedziemy wózkiem do kolonji Rio Claro, oddalonej o 22 kilometry od Dorizonu. Droga ciekawa, wije się wśród lasów; mijamy również sady pomarańczowe (w ostatnich czasach te sady tak się rozmnożyły, że nawet są trudności zbywania pomarańcz). Po drodze spotkaliśmy studnię wiertniczą do wydobywania ropy. Nie dokopano się jej dotychczas, chociaż praca trwa od lat trzech.

Rio Claro—piękna osada polska z kościołem drewnianym i wieżą kilkupiętrową, zbudowaną na wzór wieży Jasnogórskiej. Był piękny dzień zimowy. Nie dojeżdżając do plebanji, spotkaliśmy kondukt pogrzebowy, na wozie wieziono trumnę drewnianą, zbitą ze zwykłych desek. Na chwilę zdawało mi się, że jestem w jakiejś polskiej wsi u nas. Kondukt prowadził ks. Gertner, misjonarz z Rio Claro. Za nim szły wieśniaczki w takich sukniach i chustach, jak u nas. Dokoła wycięte lasy, miejscowość niezbyt górzysta. Plebanja duża, wygodna, tuż przy kościele, otacza ją ładny herwal. Poznałem proboszcza ks. Kandorę, misjonarza, który zaprosił nas gościnnie na obiad, a podczas pogawędki poobiedniej udzielił niejednej informacji o tutejszych stosunkach. W Rio Claro znajduje się szkoła, prowadzona przez misjonarzy, a ucząca 120 dzieci.

O 4 kilometry od Rio Claro znajduje się fazenda najbogatszego w Paranie polskiego fazendeira i wendziarza p. Twardowskiego, posiadającego najlepiej urządzony w Paranie dom (ciepły zimą) i herwał, dający dochodu kilkadziesiąt kont rocznie.

Rio Claro jest największą kolonią polską. O ośm kilometrów od Rio Claro jest Barra Feia (zatoka brzydka) na rzece Iguassu. W Rio Claro Polacy mieszkają od lat przeszło 30. Pierwsi koloniści przybyli z Królestwa Polskiego. Dotychczas kolonja nie jest przecięta koleją żelazną, chociaż już w roku 1895 dr. Stanisław Kłobukowski, który przybył do Brazylii z 1000 wychodźców z Galicji, przewidywał, że wielka kolej południowo-brazylijska z S. Paulo do Rio Grande do Sul przejdzie przez to miasteczko polskie.

Dokoła Rio Claro góry i skały. Nad brzegami rzeki Iguassu dużo drzew herwowych.

W środku wideł, które tworzy parańska kolej żelazna, biegnąca jedną odnogą z Ponta Grossa przez Marechal Mallet ku miasteczku Uniao da Victoria, jednej z ostatnich placówek cywilizowanego świata parańskiego nad brzegami rzeki Iguassu, zaś drugą odnogą z Ponta Grossa przez Palmeira i Lapa do Rio Negro ku wybrze-

żom Oceanu Atlantyckiego (port S. Francisco) leży duże polskie osiedle w S. Matheus.

Kolonizacja polska datuje się tutaj od przeszło 30 lat. Dużo było tutaj Polaków przeważnie z b. Królestwa Polskiego, którzy nie byli rolnikami. To też gdy znaleźli się tutaj wśród lasów nad rzeką Iguassu nie umieli pracować tak, jak rolnicy z zawodu, przywykli do ciężkiej pracy na gruncie; najedli się też dużo biedy, rzemieślnicy chcieli uciekać, byli tacy, którzy porzucali osady, udając się w inne strony; śmiertelność panowała ogromna, umierały kobiety, dzieci, słowem było tu dużo nieszczęścia, zanim pozostali osadnicy nauczyli się nieco rolnictwa rabunkowego na wyciętym i spalonym lesie. Oddalenie od kolei utrudniało sprzedaż płodów. Szli więc ludzie na roboty, aby zdobyć trochę grosza na przyodziewek i inne potrzeby. Z biedy pierwotnej wyciągnęła ich pszenica parańska: herwa mate, którą koloniści zbierali w okolicznych lasach. Stopniowo byt kolonistów się poprawiał. Dzisiaj S. Matheus jest miasteczkiem.

Opodal leży kolonja Agua Branca, gdzie też są Polacy. Na drodze z Agua Branca do miasteczka Palmeira spotykamy kolonję Rio dos Patos, gdzie również są Polacy, potem kolonję Santa Barbara, zamieszkałą przez Polaków obec-

nie. Dawniej była to kolonja włoska, Włosi ją opuścili. W miasteczku Palmeira także są Polacy. Z Palmeiry kolej prowadzi do Kurytyby.

Wspomniałem już, że polscy koloniści z Parany w poszukiwaniu zarobków na zagospodarowanie się pracują na tartakach. O kilkadziesiąt kilometrów od kolonji Mateusza, już w stanie Santa Catharina, znajduje się w Tres Barras największy w Ameryce Południowej tartak. Pracują tu Polacy i Rusini. Nie miałem możności zwiedzić go, przytaczam więc jego opis, zamieszczony w kalendarzu „*Gazety Polskiej w Paranie*“, tygodnika, wychodzącego w Kurytybie.

— „Kilka lat temu przez olbrzymie przestrzenie lasów, przeważnie pinjorowych, podróżował mistrz Schmidt, amerykańczyk — i małemu towarzystwu, złożonemu z inżynierów opowiadał, że w niedługim czasie powstanie w tych lasach olbrzymie przedsiębiorstwo drzewne, które pobuduje własne koleje dojazdowe z rozgałęzieniami, maszynami będzie kloce ściągało z lasu nad drogę żelazną, maszynami będzie je kładło na wagony, a dostawione do tartaku automatycznie będą kloce podchodziły pod piły, a z drugiej strony tartaku automatycznie wysuwał się będzie gotowy materiał jako deski, belki, łąty itd. Nikt temu nie

chciał dać wiary, a jednak już od kilku lat jest owo opowiadanie rzeczywistością.

W r. 1911 rozpoczęto budowę olbrzymia tartaku wśród dziewiczych lasów, który już pod koniec tego samego roku był czynny.

Trudno jest opisać wszystkie urządzenia według najnowszych systemów. Dziesięć olbrzymich kotłów dostarcza pary dla tego kolosu, który pożera dziennie przeszło 500 kłoców. Miesięcznie 15 do 17 tysięcy kłoców, które wydają około 3 milionów stóp drzewa. Tartak porusza olbrzymi motor o sile 1200 koni, heblarnię motor o sile 500 koni, dynamo do oświetlenia wszystkich urządzeń, biur, szpitala i prywatnych mieszkań Amerykanów motor o sile 650 koni. Warsztaty kompanji pędzi motor o sile 35 koni, wodę do kotłów i do wodociągów motor elektryczny o sile 80 koni, wagonety z kłocami w tartaku poruszają motory każdy o sile 214 koni, kłoce ładowuje z wagonów motor o sile 75 koni. Jednem słowem wszędzie, o ile to jest możliwem, zastosowano siłę pary lub elektryczności.

W odcinku leśnym ściągają kłocę z boru na brzeg linji i układają w stosy (pile) dwie maszyny (guinchos, skidders), 4 małe maszyny i 4 donkey. Dwie maszyny ładują kłocę na wagony. Dziennie ładują około 50 do 60 wagonów. Kom-

panja posiada 3 własne lokomotywy, 2 po 35 ton i jedną trzycylindrową zębatą, ważącą 75 ton. Szyn na torach kolejowych posiada około 100 kilometrów.

Przeciętnie jest zajętych w kompanji około 1000 ludzi, a wypłata miesięczna waha się od 100 do 125 kont (tysięcy milrejsów). Najniższa zapłata robotnika za 10 godzin pracy wynosi 4 milrejsy; znaczny jednak procent zarabia 5 i więcej, zwłaszcza przy pracy w lesie. Nie wchodzi tu w rachubę pensje Amerykanów, którzy prawie nigdy nie zarabiają poniżej 500 milrejsów miesięcznie, często przekraczają 1000 m., nawet 2000, ponieważ są oni zakontraktowani według dolara, który ciągle bardzo dobrze stoi, a milrejs spadł, więc z tego powodu pensje Amerykanów są tak wysokie.

Samo miasteczko Tres Barras posiada kilkanaście sklepów, między nimi dwa polskie p. Andrzeja Ciosmaka i p. Józefa Kubiaka i 1 rusiński pp. Kołodzieja i Kociumbosa.

Tres Barras to istna wieża Babel, reprezentowane tu są niemal wszystkie narodowości, ale około 60 procent robotników stanowią Polacy i Rusini.

O cztery kilometry od miasteczka kompanja pocięła loty 8 alkrowe na kolonizację, ale do-

tychczas ma zaledwie 2 kolonistów. Polacy się tu nie osiedlają, choć wobec dużego ruchu zbyt na produkty rolne jest pewny i za gotówkę.

W Tres Barras jest również polskie towarzystwo „Biblioteka Polska“, które zgromadza na zabawach pewną część Polaków, a w najnowszych czasach miało zorganizować polską szkołę, której brak daje się bardzo odczuwać, bo dzieci jest kilkadziesiąt w wieku szkolnym.

Tak to w krótkim czasie, gdzie szumiały pinjory i uganiały się leśne zwierzęta, dziś ruch gorączkowy: padają kilkusetletnie imbuje i pinjory, aby wędrować o tysiące kilometrów, a ogołoczone tereny pozostają kapoerami, z których w przyszłości znów kolonista będzie mógł ciągnąć korzyści i zamienić je na ziemię, zdatną do uprawy już nie fojsą, ale pługiem, broną, opielaczem, według wymagań postępu“.

Dawniej tartak zatrudniał 2 — 3 tysiące robotników, gdyż Argentyna kupowała wiele drzewa. Dzisiaj pracuje mniej niż 1000. Robotnicy nie zarabiają już tak dużo jak dawniej, ale amerykańscy kierownicy, inżynierowie i majstrówie są płatni jak dawniej. Kapitał przedsiębiorstwa jest przeważnie belgijsko-francuski.

Z Marechal Mallet mknie dzisiaj kolej do miasteczka Porto Uniao da Victoria na lewym

brzegu rzeki Iguassu. Dawniej z kolonji Mateusza trzeba było podróżować cztery dni parowcem do tego miasteczka. Poza niemi rzeka Iguassu nie jest już spławna, ma dużo olbrzymich wodospadów, gdziekolwiek tylko nad jej brzegami mieszkają krajowcy (caboclos), nawpół dzicy, większych kolonij lub miasteczek niema aż do ujścia rzeki Iguassu do ogromnej rzeki Parana, na granicy argentyńskiej.

Dzisiaj Porto Uniao jest jednym z najruchliwszych miejsc handlowych, ma dużo sklepów i kilka wielkich hurtowych magazynów. Przybywają tutaj wielkie stada mułów objuczonych ze stepów Palmas, gdzie mieszka dużo bogatych fazendeiros, hodujących bydło i konie, mających plantacje kawy i trzciny cukrowej.

Z Uniao do Victoria dyliżans miejscowy t. j. wielki wóz kryty budą płócienną przebywa do Palmas przestrzeń sto kilkadziesiąt kilometrów w ciągu kilku dni, o ile dopisze droga, wiodąca przez stepy i lasy. Do Palmas ściągają z lasów caboclos z ładunkami herwa mate. Palmas i Clevelandia, następny punkt handlowy, oddalony o kilkadziesiąt kilometrów od Palmas, są ostatnimi placówkami cywilizowanego życia tutaj na pograniczu dwu stanów: Parana i Santa Catharina.

Dawniej w tych stronach leśnych zdarzały się napady dzikiego szczepu indyjskiego t. zw. bugrów. Pokazywano mi strzały zatrute i łuki, morderczą broń tych indjan.

Szczep bugrów zupełnie ginie, ma obecnie już bardzo nielicznych przedstawicieli, kryje się w lasach dziewiczych Parany. Dzicy ci niezdolni są do współżycia obok kolonistów; błądzą po lasach, żyją z polowania, żywią się też podczas dni głodowych robakami białawemi, wydobywanymi z pni soseń parańskich (araukarji), przysmak to dla nich nielada.

Opowiadano mi, że w tamtych stronach, gdzieś koło Palmas, żył przed kilkunastu laty kolonista, któremu bugrzy podczas napadu niespodziewanego, gdy był nieobecny, wymordowali całą rodzinę. Powróciwszy, ujrzał żonę i córki okrwawione, obcięte piersi leżały opodal, synów pomordowanych. Zapałał straszną zemstą i stał się takim mścicielem, jak znany z opowiadań d-ra Bird'a na tle dawniejszych północno-amerykańskich stosunków „Duch puszczy“. Miał również psa (krwawy Nathan, opisany przez d-ra Bird'a miał pieska zwanego „Cukierek“), z którym tropił bugrów i mordował bez litości.

W Porto Uniao żyła przed kilku laty dziewczynka, bugierka, schwytana podczas walki kolo-

nistów z bugrami. Nie dała się oswoić. Przebywała w domu pewnego kupca, który wychowywał ją razem ze swemi dziećmi. Nie chciała wcale uczyć się mowy portugalskiej. Łaziła po drzewach jak małpka i sprawiała wrażenie raczej zwierzątka niż człowieka. Żyła jakiś rok wśród udzi cywilizowanych i nie oswoiwszy się z nimi, umarła.

Mniejsza o indjan, szczepy ich giną, może za lat kilkadziesiąt wyginą zupełnie; nie są oni już tak szkodliwi, choć w pamięci kolonistów szczególnie z pogranicza stanu Santa Catharina żyją jeszcze wspomnienia wypraw na dzikich bugrów czy botokudów.

W Paranie najdrobniejsze żyjątka są najszkodliwszemi dla człowieka. Mrówki pożerają hektar pola ziemniaczanego lub fasoli tak szybko, iż niepodobna ich nawet powstrzymać w tem dziele zniszczenia. Armja mrówek napada na pole: jedne mrówki wchodzi na rośliny, krają liście na małe części, które spadają na ziemię; inne mrówki zbierają te listki i znoszą do mrowiska. Idąc ich śladem, kolonista wynajduje mrowisko. Po zachodzie słońca, gdy wszystkie mrówki powrócą, podpała mrowisko. Często mrowisko jest ukryte daleko, w gęstym lesie, niepodobna go znaleźć, wówczas kolonista jest bezsilny.

Różne „formicidy“, zwłaszcza zawierające siarczek węgla, dają naogół niezłe rezultaty, ale cena ich jest stosunkowo bardzo wysoka. W Brazylii próbowano z dość dobrym skutkiem zaszczepiać mrówkom zaraźliwe bakterje, których w Argentynie użyto do tępienia szarańczy, jak również znaleziono gatunek mrówek, zwany Guyabana, które niszczą jajka i poczwarki mrówek szkodliwych, ale oba te sposoby okazały się niedostateczne i za mało skuteczne. Ze wszystkich środków najniezawodniejszym okazał się cjanek potasu. Postępowanie z nim jest następujące:

Oczyszcza się najpierw mrowisko ze śmieci i ziemi naniesionej. Nazajutrz mrówki same odkrywają na nowo swe kanały, w które należą nalać obficie wody, aby zbadać, które kanały są największe. Następnie tłucze się cjanek na drobne krupki, miesza się je z wodą i wlewa w największe otwory. Woda służy nie do rozpuszczania cjanku, lecz do przeniesienia go na sam spód mrowiska.

Nazajutrz mrówki już nie niszczą roślinności i po dwu lub trzech dniach giną.

Na jedno mrowisko średnich rozmiarów wystarczy około 100 gramów cjanku, na wielkie mrowisko najwyżej 500 gramów.

Cjanek jest jedną z najstraszniejszych trucizn i obchodzić się z nim należy z największą ostrożnością.

Prawie zawsze mrówki zatrute wychodzą na powierzchnię ziemi i tam zdychają. Takie mrówki mogą zatruć ptactwo domowe i zwierzęta.

Najlepszym do tępienia mrówek jest cjanek 98-procentowy.

Zatrucie cjankiem jest prawie zawsze śmiertelne, bo wstrzymuje oddech i bicie serca; pomoc lekarska jak najspieszniejsza jest konieczna. Natychmiast należy zastosować środki na wymioty, np. lechtanie gardła (przełyku) piórem albo palcem, wodę słoną albo z mydłem lub olejem.

W Paranie w miejscowościach góręszych prawie przez cały rok, w miejscowościach chłodniejszych, wzniesionych wysoko nad poziom morza, — krócej, komary dręczą ludzi. Można powiedzieć, że tutaj kolonista oddaje swą skórę na pastwę komarów. Jest tu jakiś drobnutki *barigui*, jakiś *butuco*, rodzaj bąka, który gryzie zdradziecko i pozostawia drobny czerwony punkt na skórze, która swędzi okropnie; jest *perneslongas*, gatunek komara europejskiego. Oczywiście nieznośniejsze są komary od żmij, których w Paranie jest dużo. Żmije żądają wtedy, gdy czują, że bronią się przed człowiekiem; są właściwie najniebezpieczniejsze

wówczas, gdy człowiek nastąpi na nie bosą nogą. Wprawdzie niekiedy żmije zakradają się i do mieszkań ludzkich. W jednej kolonji parańskiej opowiadano mi, że jeden z kolonistów przez cały tydzień, kładąc się spać, słyszał jakiś szelest pod łóżkiem. Sprawdził, że tam nic nie było, pod poduszką, którą podniósł, również. Nie chciało mu się zaglądać pod siennik, zajrzał wreszcie po tygodniu i zobaczył tutaj kilka żmij. Przez tydzień śmierć nań czyhała. Doznał tak silnego wstrząśnienia nerwowego, iż tego wieczora, zaraz po zabiciu żmij, upił się do niepamięci — z radości, że jeszcze żyje.

W pierwszych chwilach po ukąszeniu, gdy nie zdążono jeszcze przynieść *antydotum*, w postaci lekarstwa, rozsyłanego przez instytut lekarski (są dwa takie instytuty: w Petropolis w stanie Rio de Janeiro i w Sao Paulo, który powyżej opisałem), podobno dobrze działa alkohol, powstrzymując szybkie działanie jadu.

Parana nie jest tak obfita w zwierzęta dzikie, jak inne stany Brazylii o klimacie prawie tropikalnym. Brazylijczycy lubią polowanie, szczególnie na jaguara, tapira i jelenia, których nie brak w parańskich *sertao desconhecido* (tereny nieznanne). Gdzieś za Guarapuawą, w lasach, ciągnących się aż do ujścia rzeki Iguassu (For do Iguassu),

albo nad rzekami Sao Francisco, Piquiry, Ivahy, Paranapanema i innemi, wpadającemi do wspólniejszej, ogromnej rzeki Parana, odgraniczającej stan Parana od Paragwaju i brazylijskiego stanu Matto Grosso, nie brak jaguarów, mrówkojadów, tapirów.

Na *campos* spotyka się różnorodne ptactwo: przepiórki (*cadornizes*), kuropatwy (*perdizes*), dzikie gołębie, kaczki. Brazylijski struś „Emu” (*Rhea americana*) zamieszkuje również *campos*. Żyje w małych stadach. Jego pióra nie dają się nawet porównać z piórami strusi afrykańskich. W gorętszych okolicach Parany krajowcy polują na *tatete* (gatunek dzikiego warchlaka) na *surucuas* (papugi), *pombas* (gołębie), *jacut* (gatunek bażanta), *macucá* (ptaki, wielkości bażanta), *jacutinha* (piękny ptak, wielkości indyczki, biały i czarny z kitką piór tego samego koloru na czubku), nawet na *macaco* (czarną brodatą małpę, wysoką metr blisko), z której robią potrawkę, smaczną jedynie dla podniebienia *caboclo*'a. Smaczne natomiast rzeczywiście są małe zające lub króliki (*Lepus brasiliensis*).

Niema w Paranie tych pięknych papug *aras*, które tak łatwo uczą się mówić i aklimatyzują się doskonale w Europie. Pochodzą z innych stanów brazylijskich, jak Bahia, Pernambuco,

Para, Amazonas i in. Widziałem je oswojone w kilku kolonjach parańskich. Widywałem też małe papugi (Periquitos), żyjące parami; gdy jedna umrze, ginie i druga.

W Paranie żyje również sęp urubu, który żywi się padliną; w małych miastach żyje bezpiecznie, nikt doń nie strzela, uważany jest bowiem za czyściciela miasta. Jestto czarny, duży, brzydki drapieżnik. W portach Parany łwione są ryby tainhas, garoupa, robalo, duże ryby o mięsie smacznem, prawie bez ości. Wielka rzeka Parana obfita jest w ryby. Parana suszonych ryb nie wywozi.

Na wiosnę budzą się ze snu wielkie jaszczury. Krajowcy (caboclos) uważają mięso jaszczurów za przysmak. Przy błotach i wodach żyją żaby różnej wielkości, ich rechotanie jest odmienne od rechotania żab europejskich; niektóre z nich kwilą, jak dziecko. Przy rzekach żyją także wydry i kapiwary (brazylijskie świnki wodne).

Sów jest kilka gatunków. W okolicach nadmorskich wśród lasów wydają one głosy, które świeżo przybyłego kolonistę przejąć mogą trwogą. Opowiadał mi właściciel szakra w pobliżu Porto de Cimo o wrażeniach, jakie na nim te głosy wywarły. W nocy usłyszał głos mordowanego w lesie człowieka. Ścisnąwszy rękojęść

rewolweru, słuchał; jęki powtarzały się: to słaby, to wzmagały się. Różne przypuszczenia mu się snuły po głowie. Był pewien, że tam gdzieś w gąszczach leśnych, ciemnych choć oko wykol, ginie człowiek bez ratunku, że lada moment i do niego w domu drewnianym, do którego łatwo wejść, wedrą się mordercy... Tymczasem w lesie nie odbywał się żaden mord: to sowy zawodziły.

Piękna to była posiadłość w pobliżu morza. Rosły tutaj pomarańcze, banany, ananasy. Zdawało się koloniście, że z tych owoców będzie miał dochody duże. A jednak po kilku miesiącach porzucił ją i przeniósł się do Kurytyby. Dochodów właściwie nie miał żadnych. Piękne, duże, soczyste ananasy można było kupić nawet w Rio de Janeiro po 200 rejsów. Kupca na nie znaleźć nie mógł. Trzeba było robić z nich konserwy i w tym celu hodować trzcinę cukrową. Można też było wyrabiać wino ananasowe, wspaniały napój, wolny od alkoholu. Wspaniałe były też banany, smakowały jak gruszki i ananasy; są ich różne gatunki. Można je gotować, piec, smażyć, są doskonałym środkiem odżywczym. Z Parany wysyła się banany do Argentyny. Upiększały posiadłość piękne, okrągłe, zielone korony drzew pomarańczowych ze złocistymi owocami. Jakże przyjemną była przechadzka pod

temi wspaniałymi, cienistymi drzewami, obciążonymi owocami. Spadały dojrzałe pomarańcze na ziemię i zjadały je świnię, tuczyły się niemi, bo kolonista nie wiedział, co miał zrobić z tą obfitością pomarańcz, których nikt nie chciał kupić. Przewóz tych wspaniałych ananasów, bananów, pomarańcz z szakra w lesie do najbliższej osady na sprzedaż był tak kosztowny, iż trzeba było wyrzec się sprzedaży. Oto kłopoty polskiego kolonisty wśród cudownie pięknej przyrody. W pasie nadmorskim Parany dużo polskich kolonistów uciekło z tego rajy gorącego, jak łaźnia, pełnego żmij i komarów, przynoszących febrę. Pozostawili swe domostwa na łaskę losu. Komu udało się wytrwać, dochodził do dobrobytu. Ale to są wyjątkowi koloniści. Inni woleli pójść w bory na płaskowzgórzach parańskich, o klimacie dość łagodnym, ziemi urodzajnej, stosownej do uprawy żyta, kukurydzy, kartofli i różnych korzeni: *batata doce, alpim, taia, cartá*. Trzeba było tylko wytrzebić te bory i siać na „roça“.

Ciekawa jest ta trzebież lasu na pole uprawne.

Świeżo przybyły z Europy kolonista nie miał jeszcze niezbędnej wprawy przy obalaniu olbrzymów lasu dziewiczego, to też nie brak było i nieszczęśliwych wypadków. Przed ścięciem

drzew trzeba fojsą wyciąć wszystkie niskie krzaki trawy, oraz mniejsze drzewka, również i ljanya tak wysoko, jak można sięgnąć fojsą. Robi się to dlatego, aby później można było swobodnie pracować siekierą. Ścięte podszycie leśne musi też równomiernie wyschnąć razem z obalonami później pniami drzew wyniosłych. Zdarza się przy ścinaniu drzew, że drzewo tak się zaplącze w ljanya, iż przy upadku spada w innym, niż chciano kierunku. Spadają też suche gałęzie i grożą koloniście okaleczeniem. Niebezpiecznym zwłaszcza jest ścinanie drzew podczas silniejszego wiatru lub burzy. Bywały wypadki, że wówczas kolonista ginął w lesie przy ścinaniu drzew. Raz podczas burzy, które w południowej Brazylii bywają takie, że świat, zdaje się, porusza się ze swych posad, olbrzymie drzewo padło tuż przy rancho (drewniany szałas lub buda), w którym mieszkała cała turma (grupa robotników). Na szczęście robotników nie było wówczas w domu.

Przy ścinaniu ogromnych drzew o ogromnych podziemnych korzeniach buduje się rusztowanie z żerdzi, aby dosięgnąć pnia. Trzask wewnątrz drzewa ostrzega kolonistę, aby się usunął z niebezpiecznego miejsca. Po kilku szybkich, silnych ciosach kolonista rzuca topór i ucieka,

à tymczasem olbrzym leśny pochyła się powoli i nareszcie z trzaskiem łamiącej się na części wielkiej korony spada na drżącą ziemię.

W Santa Catharina rosną drzewa zwane *Mata-olho*, z których przy nacięciu kory siekierą tryska biały jak mleko płyn, niezmiernie szkodliwy dla oczu. Bywały wypadki ślepoty z powodu tryśnięcia tego płynu do oczu. W lżejszych wypadkach robotnik jest przez kilka dni niezdolny do pracy. Niema, zdaje się, lekarstwa na to. Doświadczony kolonista obrzyna ostrożnie korę dokoła drzewa na metrowej szerokości i naza-jutrz ścina drzewo, bo samo drzewo nie ma żadnego płynu. Płyn z kory innego drzewa „*Mata cavallo*“ ma posiadać podobne właściwości i zatem wywołuje zapalenie skóry. Drobne to drzewo nie rośnie w dziewiczym lesie, lecz w zagajnikach.

Dla przygotowania „roça“ w Brazylii najczęściej stosuje się taka metoda, że się ogałaca wielkie drzewa z gałęzi, które, o ile można, układa się równą warstwą na ziemi, aby wyschły, później palą się doskonale i świeża, pokryta czarnym popiołem „roça“ pod uprawę zboża jest gotowa. O ile zaś wielkie drzewa przeszkadzają, wówczas kolonista stara się je usunąć. Jest to praca nielada obalić takie drzewo, którego olbrzy-

mie korzenie dosięgają wysokości człowieka. Opalone, zczerniałe od ognia, który strawił wszystkie inne drzewa i krzewy, stoją takie olbrzymy wśród pól, szumią dokoła nich kłosa żyta lub liście kukurydzy. Olbrzymy wznoszą czarne ramiona swych konarów ku złotemu brazylijskiemu słońcu, jakby skarżąc się na kolonistów.

Szkolnictwo w Paranie.

Prezydent stanu Parana dr. Munhoz de Rocha gromił niedawno szkoły polskie, że chcą być narodowemi, że Polacy nie dają pomieszczeń dla nauczycieli Brazyljanów, że dzieci polskie, zrodzone w Brazylii powinny być Brazyljanami z ciała i duszy; zamyka szkoły polskie, które uczą niedostatecznie — zdaniem p. prezydenta — języka portugalskiego, historii i geografii Brazylii.

W stanie Sao Paulo kongres stanowy uchwalił, że w szkołach ludowych nauka dzieci odbywać się może tylko po portugalsku, w żadnym innym języku. Uchwala przeciwna konstytucji stanu.

Widzimy więc, że Polacy w Paranie muszą mieć coraz lepsze szkolnictwo, aby przeciwstawić się wpływowi brazylijskim. Szkoła musi dotrzeć wszędzie z bibliotekami ruchomymi dla dziatwy, dla dorosłych, również dla nauczycieli.

Dzieci w wieku szkolnym w Paranie jest przynajmniej 20.000; cyfra przypuszczalna, dokładnej statystyki niema. Według obliczeń konsularnych (za urzędowania b. konsula K. Głuchowskiego) szkół polskich w trzech stanach brazylijskich: Parana, Santa Catharina, Rio Grande do Sul, jest 109 z 4.314 dziećmi (w Paranie przeszło 50, w Rio Grande do Sul przeszło 30, w Santa Catharina 20). Zważmy, że Polaków w samej Paranie jest podobno około 100.000, w Rio Grande do Sul i Santa Catharina przynajmniej 50.000. Wogóle w całej Brazylii jest sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Szkół polskich jest mało, analfabetów dużo. Wogóle Brazylija jest krajem analfabetów. Pisma stołeczne komunikują, że według wykazów statystycznych liczba analfabetów w Brazylii dosięga 80% mieszkańców. Dokładnej statystyki Polaków niema, próba rejestracji w konsulacie polskim w Kurytybie skończyła się mizernie: nie rejestrowali się Polacy, bo się bali, że to odbywa się w celu nałożenia na nich podatku dla Polski. Niedorzeczna bajka udaremniła jednak spis ludności polskiej.

Ogólny wydatek na szkolnictwo, ponoszony przez kolonistów, jak mówią, wynosi 20.000 mil-rejsów miesięcznie. Gdyby tak było, możnaby powiedzieć, że przy liczbie stu kilkadziesiąciu tysięcy

Polaków w Brazylii i 20.000 dzieci, potrzebujących oświaty polskiej, każdy kolonista zdoła za ledwie rzucić jałmużnę kilku milrejsów rocznie na głowę dziecka uczęszczającego do szkółki polskiej; takich uczących się dzieci jest jakieś 4.000, a może mniej, zaś 16—17 tysięcy dzieci pracuje razem z ojcami, bez oświaty, na dorobek ojcowizny parańskiej. A jeżeli, jak słyszałem, z tej liczby 16—17 tysięcy dużo dzieci chodzi do szkół brazylijskich, to wynaradawiają się bez oświaty polskiej, choćby elementarnej.

Koloniści skąpią na oświatę, chociaż mogliby dawać dwudziestokrotnie więcej. Nauczyciele nie są wynagradzani odpowiednio. Wielu z nich rzuciło szkołę i stawali się wendziarzami i miernikami. Niedawne to czasy — mówiono mi — kiedy nauczyciel parański to najczęściej jednostka, pogardzana przez kolonistów, często pijaczyna. Jeden kolonista, kłócąc się z drugim, wołał: Oby twoje dzieci zostały nauczycielami! Obecnie — mówiono mi — jest lepiej: nauczyciel zarabia 100 milrejsów miesięcznie, nawet więcej.

Z przytoczonych przeze mnie liczb nie widać jednak postępu szkolnictwa polskiego w Brazylii. O ile jest jaki postęp, to chyba w niektórych kolonjach, gdzie koloniści rachują się z wpływem nauczyciela. Słowem, szkoła polska nie wszędzie

dotarła. Te szkoły, które istnieją, są często liche, brak odpowiednich nauczycieli, brak podręczników szkolnych, brak silnej organizacji szkolnej w wielu kolonjach. Powiedzmy prawdę, że kolonista nie bardzo jeszcze dba o oświatę, niebardzo poważa nauczyciela, dba więcej o grosze. Mówię: kolonista t. j. ogół kolonistów, bo nie brak w Paranie i ludzi rozsądnych, którzy myślą inaczej i dążą do poprawy stosunków, pragnąc wytworzyć nauczycieli z Polaków, urodzonych w Paranie; trudno bowiem myśleć o sprowadzeniu nauczycieli z Polski, pionierów oświaty na takiej grudzie, gdzie trzeba walczyć o byt, gdzie rozgoryczenie przychodzi prędzej czy później, gdy Polak przybyły z Polski widzi, że jego trudy idą na marne.

Pionierów oświaty Macierz Polska nie da Paranie, bo ich sama ma za mało. „Ogółem Polska potrzebuje 100 tysięcy nauczycieli, ma ich zaledwie 44.000, brakuje zatem 56.000 nauczycieli do szkół powszechnych“ (referat ks. Jana Rzymiełki, wizytatora prowincji polskiej w Paranie, wygłoszony na zjeździe związku „Oświata“ w Kurytybie dn. 23 kwietnia 1922 r.).

A gdy Parana zdobywa się niekiedy na sprowadzenie pionierów oświaty z Polski, to bywa i tak, że za swoje milrejsy kupuje — kota w worku. Widziałem takiego „pioniera“ w Kurytybie,

Żłopał kaszas szklankami, grał w karty, zaś w chwilach wolnych wypisywał w tygodniku „Świt“ takie duby smalone na duchowieństwo parańskie, że nawet człowiek najbardziej wolnomyślny, lecz mający wszystkie klepki w głowie, wzruszyłby ramionami i zapytał: Cui bono? Ba, „pionier“ wysługiwał się klice wendziarzy, pragnących osłabić wpływ duchowieństwa w Paranie i zburzyć kościoły, aby robić dobre geszefty. Jako b. podoficer pruski czy austriacki, „pionier“ spełniał swą służbę według „Befehl'u“, na modłę pruską, zaciekle, pięścią wygrażając ustawicznie ludziom, którzy odnosili się krytycznie do tego „pioniera“, szerzącego „kulturę“ w Paranie. Co taki osobnik zrobić może dla oświaty w Paranie? Przyniesić tylko szkodę.

W Paranie szkolnictwo, kierowane przez domorośłych socjalistów nie jest rośliną silną, nie jest pinjorem, lecz roślinką słabą, która kiełkuje tu i owdzie, wprowadzając zamęt w życie tutejsze, szkodząc Polakom pod względem narodowym.

Światli kapłani mówią: — Niech tam, gdzie nie zdołaliśmy dotrzeć, choć dotrze szkoła, założona przez świeckich działaczy, nauczy lud czytać i pisać po polsku, zmniejszy analfabetyzm.

Ale niestety, są kolonje, gdzie jest dużo wrzasku socjalistycznego o oświacie wolnej od

wpływu duchowieństwa, lecz niema szkółki polskiej i polskie dzieci chodzą do szkółki brazylijskiej.

Byłem kiedyś na odczycie misjonarza polskiego z Krakowa, ks. wizytatora prowincji polskiej w Paranie. Ks. Rzymelka mówił z siłą przekonania, iż jesteśmy narodem tak żywotnym, jak Anglicy, Francuzi, Włosi... I nie mówił nic o polityce, ot wyliczał fakty, że Polska jest silna mimo swej pozornej słabości. Mówił tak przekonująco o Polsce, która jest krajem pełnym żywotności, że nie mogłem oprzeć się chęci odowiedzenia oo. misjonarzy, księży „wiernych Boga i krajowi“. Słyszałem o nich w całej Paranie. Pracują nad oświatą ludu, pracują owocnie.

Poszedłem na Avenida dr. Jayme Reis do pięknego, cichego domu, otoczonego wiecznie zielonemi drzewami, i brazylijskim zwyczajem (dom to niedostępna twierdza) zaklaskałem w dłonie.

Puszczono mię niebawem.

— Chciałbym dowiedzieć się, co duchowieństwo robi dla ludu polskiego w Paranie?—mówię.

— A widział pan ludzi leśnych?

— Widziałem. Nie podobają mi się. Są ciemni, nie dbają o oświatę. Mówiono mi, że Polaków w Paranie, Rio Grande do Sul i Santa Catharina jest 150.000, że dzieci w wieku szkol-

nym jest 20.000, uczęszcza zaś do 109 szkół za-
ledwie 4.300 dzieci. Ileż dzieci oo. misjonarze
kształcą w swych szkołach?

Niebawem nadszedł ks. Piasecki, redaktor
„Ludu“ (tygodnik wydawany przez ks. misjonarzy).

— W związku „Oświata“, w którym naj-
czynniejsi są ks. misjonarze — odpowiedział mi
redaktor „Ludu“ — wychowuje się obecnie w 42
szkołach 2.500 dzieci. Pozostałą liczbę dzieci
trzeba zaliczyć do szkół, które należą do Związku
tow. oświatowych „Kultura“, albo do takich szkół,
które nie podlegają żadnemu związkowi.

Pożegnawszy oo. misjonarzy, poszedłem po
informacje do zakonnic, które utrzymują 17 szkół,
należących do związku „Oświata“. Są tutaj sio-
stry Rodziny Marji ze Lwowa.

— Pracujemy nadmiernie. Uczymy często
bezpłatnie. Za naukę bierzemy bardzo mało.
W szkole bywa często dzieci 120.

— Czy siostry mają nowicjat?

— Tylko siostry Rodziny Marji; szarytki
przyjmują nowicjuszki, lecz posyłają je do no-
wicjatu w Rio de Janeiro, kierowanego przeważ-
nie przez Francuski.

Pragnąłem wytworzyć sobie pogląd na szkol-
nictwo elementarne w Paranie. Widziałem więc
również szkoły, należące do „Kultury“ (skrajni

radykaliści społeczni: kultura bez religji). Brazylja jest krajem, w którym istnieje rozdział Kościoła od państwa.

Odwiedzałem ludzi różnych obozów i pytałem o zdanie.

Ostatecznie po wysłuchaniu tysiąca sprzecznych zdań doszedłem do pewnych wniosków.

Koloniści Polacy w Paranie mogą już myśleć i o czemś więcej, niż tylko o zdobyciu codziennego chleba. Niejeden byt swój i swoich dzieci na przyszłość zabezpieczył od biedy. OO. misjonarze mają duży wpływ wśród kolonistów. Chcieliby dać oświatę całej dziatwie w wieku szkolnym. Ale pracują, jak po grudzie. Szkoła polska nie dotarła wszędzie, a przecież ona potrafi wykształcić nietylko dobrego Polaka, lecz zarazem i światłego obywatela brazylijskiego. Światli Polacy są pożądanymi w Brazylji, ciemnych Brazyljanin lekceważy.

Słyszałem, że są koloniści, którzy posyłają swe dzieci do elementarnych szkół brazylijskich. Ale takich jest niewielu. Najczęściej nie dbają, czy dziecko wogóle nauczy się czego.

Podczas mej włóczęgi słyszałem bardzo często zdanie, że Polacy pod względem zwartej siły narodowej i oświaty ustępują Niemcom, którzy zaludnili stan Santa Catharina. Niemcy mają

wpływ ogromny we wszystkich dziedzinach życia. Ba, zajmują stanowiska urzędowe. Uczestniczą w zarządzie stanowym. Niema działalności w stanie Santa Catharina, w której Niemiec nie grałby dominującej roli. Mają doskonałe szkolnictwo, nietylko niższe, lecz i wyższe, mają inteligencję zawodową liczną, doskonałą.

Na pytania: dlaczego tak jest, odpowiadano mi, że ukształcony i wychowany narodowo Niemiec jest jednocześnie i dobrym obywatelem brazylijskim. Co to szkodzi Brazyliji, że Niemiec ma dwie ojczyzny. Pracuje użytecznie dla obydwu.

Duża część inteligencji niemieckiej wsiąka wprawdzie w grunt brazylijski, staje się inteligencją brazylijską, lecz lwia część to są Niemcy z ducha i obyczaju. Wyższa szkoła brazylijska ich nie wynarodowiła. Mówią poprawnie obydwu językami. Zajmują stanowisko wybitne w administracji, w przemyśle, w handlu.

Walka „Kultury“ z „Oświatą.“

Istniejące na gruncie brazylijskim Tow. „Kultura“ twierdzi, że „klerykalizm, który przez 30 lat był wszechwładny w kolonji polskiej i miał wiele do zrobienia — dziś jest rzeczą przemijającą, dla polskości nie robi nic, bo mamy wi-

doczne objawy, że w tych towarzystwach, w których rej wodzili księża, wśród młodzieży zwłaszcza, poczucie polskości jest słabe — słyszymy na zebraniach i zabawach jeżeli nie język portugalski, to jakiś ohydny makaronizm polsko-portugalski“.

„Związek Tow. „Kultura“ ma za cel dążyć do tego, aby słowo „Polak“ nie było tutaj synonimem istoty zahukanej, przesądnej, bigoteryjnie fanatycznej, zapijaczonej, awanturniczej w gorszym znaczeniu tego słowa, ciemnej i zdziczałej, ale aby oznaczało obywatela dzielnego ciałem i duszą, oświeconego i trzeźwego, ofiarnego na cele społeczne, chętnego do wszelkiej pracy zbiorowej, niepodległego w swych postępkach i myślach, kochającego daleką Polskę, ale niezapominającego obowiązków, które ma względem kraju, w którym przebywa“.

„Kultura“ jest zrzeszeniem towarzystw polskich, grup i jednostek polskiego pochodzenia dla pracy nad rozwojem kulturalnym wychodźstwa polskiego w Brazylii w duchu demokratycznym“.

„Szkola, kursy dla analfabetów, kursy wieczorne i niedzielne, kursy dla nauczycieli, biblioteki, podręczniki szkolne, dostosowane do warunków miejscowych, teatry amatorskie i t. p.

oto środki, których użyć ma „Kultura“ dążąc do oświaty ludu polskiego w swej pracy nad rozwojem kultury polskiej... *...bo jak za morzem w Polsce, tak i tu w naszej kolonji mrok chce zapanować nad światłem*“.

Dość cytat. Czytelnik już wie, jaki program działalności ma „Kultura“, więc zapyta się oczywiście o czyny, boć program może być najpiękniejszy, ale o ile się nie urzeczywistnia lub służy do pokrycia innych celów, nic z kulturą nie mających wspólnego, to staje się tylko pustym w błąd wprowadzającym frazesem.

Zobaczmy też, jaki jest program „Oświaty“.
Oto co mówi duchowieństwo w Paranie:

„Na wzór Polski i nam się zjednoczyć potrzeba i obudzić do nowej oświaty, by, kiedy tu Polska sięgnie przez stosunki handlowe i gospodarcze, zastała nas przygotowanych. Łączymy się na podstawie religijnej t. j. katolickiej. Dlaczego? Bo w tem tkwi nasza siła.

„Utwierdzamy więc i umacniamy szkołę katolicką, bo kolonista nasz to wieśniak wierzący i skupiający się koło kościoła, jak wszędzie na obczyźnie.

„Nie stwarzamy jakiegś ściśle wyznaniowej szkoły, tylko na wzór obecnej Polski chcemy szkoły powszechnej z cechą wyznaniową wię-

kszości uczniów. Polska obecna szkoły bezwyznaniowej nie zna i w szkołach o większości katolickich uczniów albo znacznym ich procencie zachowuje się charakter katolicki, objawiający się: w 2-godzinnej a we Wielkopolsce w 3-godzinnej nauce religji na tydzień, w modlitwach przed i po nauce, w pieśniach religijnych naszych ojców, w obrazach świętych względnie krzyżach po klasach zawieszonych i w ogólnych praktykach religijnych, jakie nauczający religji w odpowiednich okolicznościach uzna za stosowne.

„Na -wychodźtwie w Paranie szły ściśle w parze i akcja kościelna i szkolna zarazem. Gdziekolwiek powstały dobrze urządzone parafje polskie, tam równocześnie powstają i wzorowo urządzone szkoły; a już na pierwszy plan szkół ludowych wybijają się szkoły Sióstr w liczbie 17, obszerne, o jasnych salach, czyste i higieniczne, a w każdej z nich przynajmniej dwie Siostry prowadzą równocześnie naukę.

„Do organizacji szkół nadaje się bardzo duchowieństwo z powodu swej powagi moralnej, jaką ma u polskiego osadnika i pewnego przymusu, jakim rozporządza i przyznać trzeba, że ze swego obowiązku szkolnego wywiązało się znakomicie; a szkoły, Sióstr zwłaszcza, należą do najlepiej uczęszczanych. Duchowieństwo pol-

skie zrobiło swoje cicho i spokojnie bez huczku i szumu.

„Związek „Oświata“, jednocząc szkoły, nie wydziera żadnej organizacji niczego, lecz jednoczy swe szkoły, dotychczas luźnie istniejące, w jeden związek, choćby z tego prostego powodu, że przeciwna strona zbyt jaskrawie zaznaczała swoją bezreligijność, jeżeli nie wprost swą walkę z religją. Zresztą Związek sięgnie do tych, których przeciwnicy pozyskać nie mogą i nie pozyskają, a przyznajemy, że są tacy, których związek katolicki znowu nie pozyska; i tak obie instytucje mogą spełnić swe cele.

„Związek zapewni i da pewne moralne poparcie i zachętę do pracy dla nauczycieli, dostarczając im podręczników i środków naukowych zarówno dla nich samych jak i dla szkół, zwłaszcza w zakresie nauki poglądowej, przy historii naturalnej, geografji Brazylii i t. d.

„Celem Związku jest także oświata pozaszkolna, t. j. oświecanie dorosłych przez odczyty biblioteki wędrownie, kursy i t. d., a wreszcie uzupełnienie wykształcenia starszych dziewcząt przez dopełniające kursa gospodarcze.

„Po ugruntowaniu i rozszerzeniu się Związku przyjdzie kolej na rzeczy dalsze i wyższe np. jak i skąd dostarczyć nauczycieli do szkół, jak

założyć szkołę średnią, by wybitniejsze jednostki z naszej młodzieży mogły zająć wyższe stanowiska i przewodniczyć rodakom.

„Przyznać musimy, że wielu rodaków, rozsianych na olbrzymich przestrzeniach lub mieszkających w pojedynkę w lasach, ginie w odosobnieniu i pomnaża w ten sposób masę analfabetów w Brazylii; otóż przez dostarczenie samouczków i tych uratować trzeba, by wskutek ciemnoty nie stali się bezużytecznymi dla kraju. W najkrótszym czasie Związek będzie się starał wydać zwięzłą i przystępną gramatykę języka portugalskiego, bo wszystkie wiadomości, nabyte w szkołach, dopiero przy dobrej znajomości języka krajowego wyzyskać można tak na własny jak i rodaków pożytek wedle starego przysłowia polskiego: i tego należy się uczyć i owego nie opuścić.

„Takie są, pokrótce zebrane cele Związku. Cośmy zrobili na polu szkolnictwa, a wcale, pokazny jest rezultat naszej cichej pracy, to chcemy złączyć, uświadomić, upodobnić w pewnej mierze do pracy w starej ojczyźnie i dalej prowadzić, broniąc i zachowując nadewszystko dla ludu naszego, jego najcenniejszy skarb — to jest wiarę świętą“.

Walka „Kultury” z „Oświatą” toczy się i przybiera często formy ostre, a nawet przesadne skargi o rozbijanie „Kultury” z ambon i konfesjonałów doszły aż do Warszawy. Skarżącym się odpowiadało duchowieństwo: Nie misjonarze was rozbijają, a tylko wy sami towarzysze się rozbijacie swoim nietolerancyjnym stanowiskiem i upartem twierdzeniem, że koloniści powinni was prosić dla swoich dzieci o łaskawe pozwolenie na pacierz w szkołach „Kultury”. W czerwcu 1921 roku prezes „Kultury” orzekł stanowczo, że zarząd „Kultury” nie może przyjąć zasady religijnego wychowania, a tylko drogą łaski mógłby się zgodzić w poszczególnych wypadkach na wprowadzenie pacierza do szkół, skoro tego wszyscy towarzysze wyraźnie, oficjalnie zażądataj. Wobec takiego stanowiska powstał związek „Oświata”. Polacy katolicy zrzeszyli się. Wtedy „Kultura”, uważając się za silną, bo oparta o b. konsula K. Głuchowskiego i grupę bogatych wendziarzy, zaczęła prawić o konkurencji, a chcąc zapewnić sobie poparcie w tej wywołanej przez siebie walce, wysłała depeszę do Warszawy o powołanie na posła polskiego w Brazylii socjalisty Hieronimka (H. Cohn) z Paryża. Na szczęście nie odniosło to skutku, chociaż życzenie wyrażone było przez „Kulturę” *w imieniu całej kolonji (?)*

W numerze „*Dziennika Ludowego*“ z Chicago z dnia 27 kwietnia 1922 r. w korespondencji z Paryża p. Hieronimko pisał o tem, co następuje: „W numerze „*Dziennika Ludowego*“ z 1 marca przeczytałem dziś o sobie wzmiankę, omawiającą moją kandydaturę na polskiego posła w Brazylii. Uzupelniam tę wiadomość tem, że żądanie to zostało postawione przez stowarzyszenie „Kultura“ w Kurytybie z podpisami doktorów Kossobudzkiego, Czakiiego i Wierzbowskiego; przez dziennik „Świt“ — Jeziorowski i przez stowarzyszenie „Union-Concorde“ w Saõ Paulo — prezes Wicher. Żądanie o tę moją nominację wyżej podpisani wysłali telegraficznie 26 lutego na ręce Piłsudskiego, Daszyńskiego i p. Skirmunta. Na agitację na moje imię w pierwszej chwili się zgodziłem, by udaremnić posłowanie znowu jakimś karjerowiczowi dyplomatycznemu, a natomiast zapewnić je uczciwemu i inteligentnemu demokracie“.

Tę samą sprawę kurytybski „*Lud*“, w artykule zatytułowanym „Gdzie konia kują — tam i żaba nogę nadstawia“ tak oświecła: ...mimo postanowionej już nominacji P. Pruszyńskiego, jednostki samozwańcze w Paryżu wysunęły nagle P. Kohn-Hieronimka na posła naszego w stolicy Brazylii, w nagrodę za usługi, oddane Piłsudskie-

mu niegdyś w czasie wygnania jego w Paryżu. Jakiś przybysz z kraju pozyskuje zaufanie malutkiej kolonijki polskiej w Rio de Janeiro i nakłania ją, by jako przedstawicielka interesów Ojczyzny w stolicy, zażądała nominacji tego żydka socjalisty na posła polskiego. Dotychczas kolonijka ta spoczywała sobie w błogim śnie, prócz jakiejś sprawy cementowej, aż nagle podbijana i podpuszczana, zaczęła się uważać za kompetentną do rozstrzygnięcia spraw, w zakres jej działania wcale nie wchodzących. Potrzebowała jednak pomocy i po pozyskaniu większości kolonji polskiej w Sao Paulo zwróciła się o pomoc do Parany. I nie zawiodła się. Nie brak tu generałów i wodzów bez armji i żołnierzy, wprawnych oddawna w pisywaniu adresów i różnych człołobitności; sprawę prędko i pocichu załatwiono. Nie odwołano się do kolonji i towarzystw poważnych — lecz spiskowo na małym podwórczku wzajemnej adoracji ubito targ i niebawem gazety krajowe dowiadują się i piszą, że czerwone jak krew wychodźtwo w Brazylii, a zwłaszcza w Paranie żąda jedynie i tylko P. Hieronimka-Kohna na posła. A jakże? Inaczej strach i zgroza, co się dzieć będzie. Wszczęła się burza — burza wielka — w szklance wody. Na szczęście nie wzruszyło to Warszawy“.

„Minister spraw zagranicznych p. Skirmunt i jego zastępca przeszli nad całą tą wojenką do porządku dziennego i dawną nominację utrzymali“.

Już z tych głosów widać, o co w tej całej walce chodzi, a bezstronny obserwator stwierdzić musi, iż bądź co bądź szkolnictwo polskie w Paranie bardzo wiele duchowieństwu zawdzięcza, i głosić o całym duchowieństwie, iż „drzemało“ jedynie jest — delikatnie się wyrażając — grubą polemiczną przesadą, której kłam zadają gmachy szkół w Kurytybie, Orleansie, Thomas Coelho, Abranches, Prudentopolis, Lucenie, Sao Matheus, Rio Claro, Dom Pedro, Muricy, Agua Branca, Rio Vermelho i t. d.

Nie bez ironji też pisze do przeciwników „Oświaty“ ks. Piasecki w piśmie „Lud“ w artykule: „Kultura“ budzi drzemiących księży!?”

„Obywatele“! Nie przez „długie lata“ ja-koście się wyrazili o księżach, ale przez krótki czas nabiliście mamony pełne trzosi, a dopiero przed rokiem do „Kultury“ daliście się popchnąć, bo i to może się opłaci — może wam, a w każdym razie „partji“. Zróbcie wy nie „drzemiący“, chociażby tylko tyle, ile zrobili księża „drzemiący“, a może wam mądrzejsza część naszego społeczeństwa przebaczy wasze niekulturalne brednie“.

„Budzić śpiących księży nikt wam nie przeszkadza i owszem za zasługę wam poczyta. Jeżeli bowiem drzemiący księża potrafili dotychczas zrobić nawet na polu narodowym i oświatowym więcej niż wy, to obudzeni przewyższą was tem pewniej.

„Wybudowaliście dotychczas jedną szkołę z ukradzionego kościoła, a drugą budujecie z cegły i tyle robicie hałasu.

„Byli tu księża, kiedy jeszcze was nie było, dźwigając cały ciężar pracy oświatowej w duchu narodowym. Będą może jeszcze ostoją naszego narodu, gdy was zabraknie lub gdy „ofiarna praca“ wam się uprzykrzy“.

Słowem walki partyjne w kraju — i na wychodźtwie brazylijskiem mają swój odpowiednik.

Stosunki kościelne w Paranie.

Reprezentantami inteligencji na kolonjach są głównie księża. Duchowieństwo tutejsze należy do dwu zakonów, wreszcie są też księża świeccy. Ojcowie misjonarze są podlegli prowincji polskiej w Krakowie. Ostatnio powstała w Brazylii prowincja polska z ks. Rzymełką, wizytatorem na czele. Księża werbiści, członkowie zgromadzenia *Verbum Divini* podlegli są brazylijskiej

provincji niemieckiej. Pożądanymi krzewicielami ducha polskiego są w Paranie ks. misjonarze, dobrzy Polacy. Księża werbiści mówią po polsku, ale są obojętni dla sprawy polskiej, co nie może dziwić, gdy się weźmie pod uwagę, że podlegają niemieckiej hierarchji duchownej. W seminarjum brazylijskiem w Kurytybie wychowują się Polacy już w Brazylii urodzeni; Polacy tylko z pochodzenia i mowy, lecz z ducha więcej Brazyłjanie, niż Polacy. Szkodliwe dla polskości są też parafje mieszane, zwłaszcza z Niemcami, wówczas, jak np. w Santa Catharina, germanizacja szerzy się gwałtownie. Również w Rio Grande do Sul.

Obecnie parafij czysto polskich niema, są tylko parafje przeważnie polskie lub kapelanje z polskimi księżmi. Parafje według podziału terytorjalnego są następujące: Kurytyba, kapelanja polska z ks. werbistą; w okolicy Kurytyby: parafja Muricy (ks. werbista), parafja Abranches (ks. misjonarz), parafja Orleans (ks. misjonarz Chylaszek, b. wizytator prowincji polskiej). W parafji Thomas Coelho jest ks. misjonarz. W parafji Araucaria jest ks. Noch, polak, urodzony już w Brazylii na kolonji Abranches. W mieście Ponta Grossa kapelanja polska z ks. werbistą, mówiącym lichy po polsku, obejmuje okolicę aż poza Palmeira. Parafja Rio Claro i okolice tej kolonji: Vera Gua-

rany, Marechal Mallet i Dorizon, ogółem 1.200 rodzin polskich są pod opieką ks. misjonarza. W parafji Cruz Machado jest misjonarz. W parafji Cupim — Iraty jest ks. kapucyn. W Sao Matheus misjonarz, również w Agua Branca. Na terenie Parany między parafją Rio Claro a kapelanją Cruz Machado wrzyna się parafja oo. franciszkanów, zakonu niemieckiego. W parafji Porto Uniao da Victoria jest ks. franciszkanin z zakonu niemieckiego, Polak. Pozatem w Paranie jest szereg kolonij nowych, do których dojeżdżają periodycznie ks. misjonarze.

W Paranie są też parafje rusińskie z ks. bazylianami, z ihumenem ks. Szkirpanem w Prudentopolis. Parafje rusińskie są wrogo usposobione względem Polaków.

W stanie Santa Catharina w parafjach Lucena-Itayopolis i Rio Vermelho—misjonarze, w kolonji Massaranduba—salezjanin, w parafji Rio Coal — ksiądz świecki.

W stanie Rio Grande do Sul w parafji Treze de Maio na kolonji Erechim jest ksiądz świecki, Niemiec rodowity, ks. Schmidt, mówi po polsku. Podobno w kolonji tej jest 25.000 dusz bez opieki religijnej. W parafji Ijuhy jest ks. Brazyljanin. W parafji Guarany jest ks. misjonarz. W parafji Sta Feliciana jest ks. świecki. W Porto Alegro

jest ksiądz Polak, urodzony w stanie Santa Catharina.

Dla charakterystyki stosunków przytoczę fakt, jaki zdarzył się w stanie Santa Catharina w kolonji Pinheiro. Po emigracji 1891 roku osiadło tutaj 60 rodzin polskich, które własną ciężką pracą wytrzebiły lasy, porobiły drogi, zbudowały mурowaną kaplicę i szkołę z drzewa, pomału wzięli się też koloniści do uruchomienia szkoły. Dzieci szkolnych było 22. Zdawało się, że praca na tem polu pójdzie dalej. Aż tu naraz coś ich podkuśiło sprzedać swoje szakry Włochom i wędrować gdzieś do rajy nad rzeką Iguassu czy gdzieś za Guarapuawą. Kaplica i budynek szkolny dostały się Włochom za darmo. Niewątpliwie, gdyby więcej było polskich kapłanów patriotów, ci potrafiliby wpłynąć na kolonistów, aby za pierwszym podmuchaem wiatru nie rozlatywali się po Brazylji, rozpraszając się i tonąc wśród obcych.

Pożądanem byłoby, aby ks. misjonarze posiadali własny nowicjat i seminarjum dla wychowywania księży Polaków, urodzonych w Brazylji. Majątek parafjalny winien być zapisywany na ks. misjonarzy. Parafje nie powinny być pod opieką ks. werbistów, obcych ludowi polskiemu.

Ks. misjonarze chcą otworzyć w Kurytybie konwikt, obliczony na razie na 10 chłopców, star-

szych od lat 14, którzyby mogli uzupełnić swe wykształcenie. Wychówankowie, aby uzyskać uprawnienie państwowe, mogą uczęszczać do szkół rządowych wedle wyboru ich rodziców, a więc do gimnazjum, do szkoły normalnej (seminarjum nauczycielskiego), do szkoły handlowej, zawodów praktycznych, rzemiosł, szkoły rolniczej. Poza tem w konwiktach będą pobierali naukę religji, języka, geografji, historii kraju ojczystego i śpiewu. Na żądanie mogą pobierać naukę muzyki (na harmonjum) i malarstwa.

Brak środków nie pozwolił dotychczas ks. misjonarzom na urzeczywistnienie tego zamiaru.

Ks. misjonarze posiadają obecnie w Kurytybie dom na Avenida Dr. Jayme Reis nr. 115, gdzie też mieści się redakcja „Ludu“ (tygodnik).

W Paranie pracują siostry szarytki z Chełma w Prusach Zachodnich i siostry Rodziny Marji ze Lwowa. Potrzebny jest w Kurytybie dom tych zakonnicek z nowicjatem i pensjonatem dla córek zamożniejszych Polaków w Paranie. Potrzeba więcej tych zakonnicek do pracy na kolonjach.

Niemcy przed wojną wygrywały do celów propagandy narodowej i szkolnej oo. franciszkanów.

Do utrzymania polskiego ducha narodowego na kolonjach w Paranie potrzebny jest jaknaj-

większy wpływ ks. misjonarzy, szczerych, świątłych Polaków.

Wśród inteligencji.

Czytelnik poznał już szkolnictwo polskie w Paranie, poznał nauczycieli i dochowieństwo. Zapyta więc i o prasę parańską, boć przecie w akcji oświatowo-kulturalnej prasa gra ogromną rolę.

Organem Związku polskich demokratów Ameryki południowej jest tygodnik „Świt” w Kurytybie. OO. misjonarze wydają „Lud” (tygodnik), ks. werbiści „Gazetę polską w Brazylii”.

Zcharakteryzujmy naprzód „Świt”, jego przeszłość i terażniejszość. Wyrażał i wyraża on obecnie poglądy Związku polskich demokratów.

W 1913 r. grono robotników kurytybskich z drobnych składek wydało jako organ „Związku robotniczego” pierwszy numer „Ogniwa”, które stało na gruncie walki klasowej, zwalczało kler, pisało o niedoli proletariatu. Z braku środków „Ogniwo” nie wychodziło stale i mało miało czytelników.

W tymże czasie p. K. Warchałowski, autor opisu Parany („Do Parany”) wydawał w Kurytybie „Polaka w Brazylii”.

W Europie widać było groźne chmury na horyzoncie politycznym. Uzbrojone od stóp do głów państwa germańskie miały rzucić się na swych przeciwników dla zdobycia hegemonji nad światem. Jaką rolę w tej walce miała odegrać Polska, rozdarta między trzech zaborców? Idea niepodległości Polski żyła, miała bojowników, którzy parli naród do akcji niepodległościowej. Wieści o polskich przygotowaniach wojskowych dochodziły do Parany.

Nie pora już była dla robotników kurytybskich rozprawić na temat walki klasowej i niedoli proletariatu, gdy Europa stawała w ogniu wojny, gdy proletariusz niemiecki i austriacki stawiał twardą, bezwzględną stopą na ziemi polskiej, zamieszkałej i przez proletariuszów polskich. Trzeba było zająć zdecydowane stanowisko w stosunku do potęg walczących. Powstała wtedy w Paranie Polska Komisja Wojskowa Ameryki południowej, założona przez W. Rodziewicza. Komisja ta miała na celu wzmoczenie akcji legionowej. Pismo robotnicze „Ogniwó” wyrażało ten cel. Tymczasem „*Polak w Brazylii*” pod kierunkiem ideowym p. K. Warchałowskiego stanął na stanowisku Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu. „*Gazeta polska w Brazylii*”, własność ks. S. Trzebiatowskiego, werbisty, proboszcza parafji polskiej

w Kurytybie, pismo redagowane fatalnym językiem polskim, zajęło wobec akcji legjonów Piłsudskiego przychylny stanowisko i stała się też organem aktywistów.

W styczniu 1915 r. „*Ogniwo*“ wyszło jako biuletyn Polskiej Komisji Wojskowej Ameryki południowej i zamieściło taką odezwę: „Obywatele! Chwila obecna, jaką Naród Polski przeżywa wymaga od nas zawieszenia kierunku partyjnego i rozpoczęcia akcji ogólnonarodowej, zmierzającej do wolności Polski, Narodu-Ludu. Idziemy śladem naszych towarzyszy z Królestwa, Galicji i Poznańskiego. Uczynić to należy koniecznie, gdyż duch a raczej zaraza moskalofilska zaczyna zatruwać nasze wychodźstwo. Redakcja „*Polaka w Br.*“ stała się ekspozyturą moskalofilstwa, świadomie szerzy oszczerstwa i fałsze. Do walki z moskalofilstwem musimy wystąpić. „*Ogniwo*“ przeto na czas wojny staje się wydawnictwem Polskiej Komisji Wojskowej Ameryki Południowej“.

W tymże numerze pisano:

„W imię „dobra Polski“ moskalofilstwo krzyczyło w 1905 r. „nie róbcie rewolucji, bo prusacy przyjdą“. — I dziś moskalofilstwo krzyczy „nie róbcie powstania, bo Niemcy nas zabiorą“. Zna-

na stara piosenka, moi panowie z przedpokojów carskich ministrów. Bata carski znacie, przyjmujecie go jako swoją wiernopoddaniczą powinność. Boicie się bata niemieckiego, bo wy niewolniki, pleśń narodu, nie wierzycie w moc i siłę narodu-ludu, zdolnego porwać kajdany i żyć życiem wolnego człowieka, wolnego Polaka. Przyszłość i dolę Narodu traktujecie, jak dolę psa niewolnego, który z rąk jednego pana może przejść najwyżej do rąk drugiego, lecz nigdy nie może zostać samodzielnym, bez pańskiej opieki i pańskiego bata. Prawdziwie psia polityka, godna Dmowskich, Cieńskich, Grabskich i pana z „*Polaka*“, ukrywającego się pod literą „W“, polityka godna pachołków carskich, handlarzy godności narodowej, okłamywaczy ludu. Żadne represje zaborcze, żadne katorgi i wyłączenia tak zgubnie nie działają dla przyszłości narodu, jak tego rodzaju zgnilizna polityczna i narodowa“.

W styczniu 1915 r. zjednoczyły się wszystkie polskie organizacje niepodległościowe i zamiast „*Ognitwa*“ wydały „*Pobudkę*“. Organizacje te były zastępujące:

Komitet Obrony Narodowej — Dr. Szymon Kossobudzki, Ignacy Szańkowski, Witold Wierzbowski.

Komitet Obywatelski w Marechal Mallet — Roman Paul, Romuald Krzesimowski, Kazimierz Ryziński.

P. K. W. (Polska Komisja Wojskowa) — Wacław Rodziewicz, Józef Piekarski, Zdzisław Marjan Jełowicki.

Delegaci z Araukarji — obywatele K. Jeziorowski, Kazimiera Szymańska, Michał Zdaniak.

Do jakiego zacietrzewienia dochodziła walka między obozem, propagującym wspólną linię frontu z Niemcami i Austrią przeciw Rosji, a obozem, który również chciał niepodległej Polski, lecz dążył do tego celu odmiennymi drogami, opierając się na przeciwnikach germanizmu, do jakiej aberacji umysłowej dochodziły te spory polityczne tutaj w małej Kurytybie za oceanem Atlantyckim, trudno sobie wprost wyobrazić. W zwolennikach akcji Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu widziano wprost szatanów. W tym czasie inteligentny Polak, przybyły przed paru laty z Paryża, p. S. Żagołowicz zorganizował w Kurytybie wystawienie „Kościuszki pod Racławicami“. Sztuka miała ogromne powodzenie, wystawiono ją parę razy, byli na niej obecni również Brazylijczycy. Amator, który grał rolę Bartosza Głowackiego, opowiadał mi, że na jednym z przedstawień, na którym byli obecni konsulowie pruski i austriacki,

namawiała go pewna pani doktorowa, aktywistka, wierząca fanatycznie w zwycięstwo mocarstw centralnych, aby w chwili swego wystąpienia na scenę zawołał:

— Niech żyje cesarz niemiecki! — Niech żyje cesarz austriacki!

Na szczęście, amator ten nie posłuchał owej rady czy nakazu, choć pani ta „robiła deszcz i pogodę” w obozie aktywistów.

„Pobudka” występowała przeciw tworzeniu się armji polskiej we Francji, twierdząc, że akcja ta nie była oparta na żadnych gwarancjach. Wówczas p. K. Warchałowski, po wiecu w Kurytybie, stanął na czele Polskiego Komitetu Centralnego w Brazylii i popierał tworzenie się armji polskiej we Francji.

W 1917 r. p.p. K. Warchałowski i Kosiński prosili rząd brazylijski o uznanie Polaków, zamieszkałych w Brazylii, za odrębną narodowość z prawem posiadania własnej reprezentacji. Rząd brazylijski zgodził się na to i w grudniu 1917 r. zatwierdził urzędowo „Polski Komitet Centralny” pod prezydencją p. K. Warchałowskiego. Jak wiadomo, Brazylija wypowiedziała Niemcom wojnę. Po przyłączeniu się przez nią do deklaracji wersalskiej, uznany przez nią został Polski Komitet Narodowy w Paryżu. Wówczas to p. K. War-

chałowski jako prezes Polskiego Komitetu Centralnego w Rio de Janeiro działał już urzędowo jako przedstawiciel Polski.

W d. 31 sierpnia 1918 r. w Rio de Janeiro przy ul. Rio Branco odbyła się droga dla każdego Polaka w Brazylii uroczystość wywieszenia sztandaru polskiego nad domem Polskiego Komitetu Centralnego.

W 1919 r. Brazylija uznała Polskę za państwo niepodległe.

Oczywiście, że aktywistyczna „Pobudka” nie miała już racji bytu. Skarżyła się, że z powodu szykan ze strony władz brazylijskich i poczty nie mogła porozumiewać się ze swymi czytelnikami. Zresztą mało kto ją czytał. Wreszcie „Pobudka” zmarła śmiercią naturalną. Z końcem wojny zamiast „Pobudki” jako organ Związku Polskich Demokratów, ekspozytury lewicy polskiej w Brazylii, ukazał się „Świt”.

Pismo to pracuje „oświatowo-kulturalnie”, jak to opisałem w rozdziale: „Walka Kultury” z „Oświatą”. Zajmuje się również sprawami ekonomicznymi: projektem izby handlowo-przemysłowej, banku polskiego, kolonizacją w Guarapua- wie na krańcu Parany, bez powodzenia — z braku zaufania kolonistów. Od stycznia 1920 r. „Świt”

był organem byłego, usuniętego konsula polskiego K. Głuchowskiego.

Obecnie konsulem polskim w Kurytybie na miejsce p. K. Głuchowskiego został p. Zbigniew August Miszke. Nowy konsul będzie miał trudne zadanie do spełnienia: łagodzenie walki domowej, jaka w ciągu ostatnich lat w Paranie wśród Polaków wrzała. Mówiono mi w Kurytybie, że gdyby udało się zorganizować Polaków w Paranie w jeden zwarty związek oświatowy, mógłby on liczyć do 4000 członków. Do tego celu jeszcze daleko, ale warto dążyć.

Kadź narodowa ogromnie jest zamącona na wychodźstwie brazylijskiem, ale położenie nie jest beznadziejne, gdyż wbrew sztucznie rozdmuchwanym pozorom ogół kolonij polskich w Paranie czerwonym nie był, nie jest i nie będzie.

Niewielka grupa socjalistów przybyła tutaj po roku 1905. Byli ideowcy, ale, niestety, za ideowcami, pragnącymi pracować i żyć swobodnie w Paranie, ciągnęły i szumowiny, maskujące swe złe instynkty frazesami socjalistycznymi. Dużo o tych pseudo-socjalistach w Paranie słyszałem. Trudnili się nawet grabieżą i zająć się nimi musiała policja i sądy parańskie. Niektórzy, doszedłszy do łatwo nabytego mienia i potrafiwszy ukryć swe występki, próbują wziąć się do po-

rządnego życia. Nie piszę tutaj historii wypadków kryminalnych w Paranie, więc kończę na tem.

Grupka czerwonych demokratów w Paranie chciałaby Polskę utrzymać w złudzeniu, że oni są gospodarzami w Polonji parańskiej. Pragnąc utrzymać to mniemanie, wytwarza atmosferę ucisku duchowego, przemocy nad każdym umysłem, chcącym myśleć swobodnie, niezależnie. Najlżejsza krytyka doprowadza tych ludzi do szału, co nawet rozsądniejszym socjalistom już się uprzykrzyło. I w samej grupie socjalistycznej widziałem malkontentów z działalności tutejszych prowodyrów. Poznałem ludzi dzielnych charakterem, czynami, którzy sami ucierpieli od tego teroru socjalistycznego.

Mimowoli i ja tego teroru moralnego zasmakowałem. Jest w Kurytybie szkoła im. Piłsudskiego, utrzymywana ze składek, prowadzona lichy; miała marnego nauczyciela (obecnie inny). Kilka słów krytyki w „Ludzie”, do którego pisywałem, mające na celu podniesienie poziomu tej szkoły, zwykła notatka dziennikarska, która w Polsce osiąga swój cel, tutaj w Kurytybie wywołała całe kolumny wymysłów w „Świcie”, za to, że odważyłem się skrytykować szkołę „Kultury” i czerwonego pedagoga. Czerwony hotelarz, u którego mieszkałem, widocznie w imię czerwonej

solidarności wymówił m^o mieszkanie. Brakło tylko bojówki czerwonej, a ideowość socjalistyczna jaśniałaby w komplecie swych środków.

Inny fakt. Córka właściciela wyrobów meblarskich uczy się po francusku. Cóż dziwnego! Ojciec dba o wychowanie dziecka. Dziewczynka skończyła szkołę polską w Kurytybie, umie dobrze po polsku i rodzice chcą jej dać możliwie staranne wychowanie. Ni ztąd ni zowąd w „Świcie“ ukazuje się notatka, że córka stolarza ma zbyt wysokie pretensje do francuszczyzny. Oburzony ojciec przychodzi do redakcji z awanturą. W związku z tem czerwony pedagog szkoły, do której uczęszcza kilkadziesiąt dzieci polskich w Kurytybie, grozi ustąpieniem ze szkoły, o ile ojciec dziewczynki, uczącej się po francusku, nie zostanie wykreślony z liczby członków towarzystwa szkolnego, utrzymującego szkołę. Ojciec owej dziewczynki ustąpił, ale „Kultura“ długo uspokoić się nie mogła i jeszcze były różne perypetje. A wszystko to się stało dlatego, że pewnej czerwonej pani, nie umiejącej po francusku, nie podobało się, że córka stolarza uczy się po francusku, więc redaktorowi poleciła o tem napisać niewłaściwą notatkę w „swym“ organie.

Jakże to wszystko trąci bardzo a bardzo głęboką prowincją! I jakże daleko tym

rzekomym postępowcom parańskim do istotnego postępu!

Ale podobne obrazki podobnej konsekwencji, drapującej się w postępowe szatki, mamy i w kraju, więc dla ilustracji stosuneków wśród wychodźstwa polskiego w Brazylii całkowicie starczą fakty opisane. Więcej niema się co o tem rozwozić.

Domówienie.

Jestem już u kresu opisu swej podróży i swego pobytu w Paranie.

To, co widziałem i co z ust wiarogodnych zebrałem, starałem się z możliwą bezstronnością na kartach tej książki zobrazować.

Moje osobiste poglądy na przyszłość kolonizacji polskiej w Paranie i wogóle w Brazylii są dosyć pesymistyczne. Nie znaczy to jednak, by — jak to mówią — machnąć ręką na całą Polonję parańską i przejść nad nią do porządku dziennego. Przeciwnie, uważam, iż obowiązkiem Kraju Macierzystego jest zrobienie wszystkiego, co tylko w mocy, dla podtrzymania i utrzymania polskości naszych wychodźców. Co do tego nie mam oczywiście żadnych wątpliwości.

Mój pesymizm odnosi się zasadniczo co do celowości dalszego kierowania wychodźtwa polskiego do Brazylii.

Może się myłę, ale — jak widać choćby z kart tej książki — mój pesymistyczny punkt widzenia ma dosyć poważne podstawy.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Przedmowa	3
Do Parany	5
W Trieście	7
Na pokładzie okrętu	13
Rio de Janeiro	29
W ojczyźnie kawy	43
Instytut Butantan w S. Paulo	63
Parana	69
Ludność Parany	75
Stosunek rządu brazylijskiego do Polaków	79
Z kraju antypodów	92
Przez góry i lasy	102
Rzut oka na przeszłość kolonizacji polskiej	110
Rolnictwo na campos i przemysł	118
Herva mate	136
Ziemia obiecana	140
Guarapuava	147
Wendziarze a kooperatywy	157
Życie na kolonjach	172
Walka „Kultury” z „Oświatą”	211
Stosunki kościelne w Paranie	221
Wśród inteligencji	226
Domówienie	236

K. 785



1000000000086

STUDJA NA DOBIE

- № 1. G. X. Jankowski: „O byt ekonomiczny“.
№ 2. T. J. Choiński: „Seksualizm w powieści polskiej“.
№ 3. X. Dr. Jasionowski: „Teozofja i teozofowie współcześni“.
№ 4. X. J. J. Załuski, biskup kijowski: „Morderstwa rytualne w Polsce“.
№ 5. X. prof. Aleksander Woycicki: „Zadania i potrzeby katolicyzmu społecznego w Polsce“.
№ 6. Tyszka Henryk: „Anglja a Polska“.
№ 7. J. J. Bzowski: „Samoobrona duszy polskiej“.
№ 8. E. L. Migasiński: „Polacy w Paranie współczesnej“.
№ 9. X. Tworowski: „Czy zrywać z Rzymem?“
№ 10. Tyszka Henryk: „Francja a Polska“.

STUDJA NA DOBIE

wychodzą nakładem

Księgarni „KRONIKI RODZINNEJ“

w Warszawie,

Plac Zamkowy (Podwale 4).